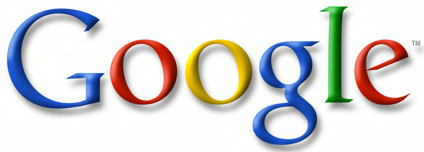





DOMI NUS ILLU MINA TIO MEA
Taylor Institution.


302820368W

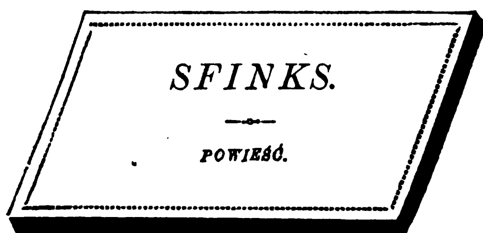
WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM X.

Wydawnictwo na korzyść Jubilata.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1877 г.

SFINKS.

Na ludziach, co świat jeszcze kochają, co młodzi sercem tak dalece, że wszystko żywe i wesołe kołacze im do serca i głowę zawraca,—klasztor ze swemi cichemi mury, ciemnemi okopciałemi sklepieniami i przerywaném tylko powolnemi kroki człowieka lub zegaru milczeniem, robi ściskające, smutne wrażenie, takie właśnie, jakie na ich czole czyni chłód zimnego sklepu. Radzi są co najprędzéj wynijść z niego na świeże powietrze, do ruchu, do tłumu i wrzawy, jakby się obawiali, aby kamienna trumna umarłych dla świata nie zamknęła się nad nimi na zawsze, nie przytrzymała ich zimnym swym uściskiem. Lecz dla tych, co ciałem i myślą przewędrowali przez krainy wesela i młodości, ten obraz doskonałego spokoju, „pokoju, jakiego świat dać nie może", tyle ma ponęty i uroku!

Niech co chcą piszą ludzie dumni i nową jakąś nauką pijani, oszaleni, niewidzący prawdy za złocistemi blaskami nowości; niech wyrzekają przeciw instytucyi, któréj uprzedzenie pojąć im dziś nie dozwala lub wystawia fałszywie ze stanowiska na jakiém stoją;—ileż to przecię zawiedzionych i utrapionych przez świat, westchnie ku niedostającéj im ciszy klasztornéj! Te westchnienia daleko silniéj mówią nad wszelkie rozumowania przeciwne. Samo pozornie najcięższe dla człowieka wyrzeczenie się własnéj woli, jakże się sta-

je pożądaném, gdy ilekroć jéj użył, zawsze go wiodła ku zgubie, gdy znużony padał, nie wiedząc co począć z sobą. Naówczas z rozkoszą wyrzekł się kierunku życiem i zdał je w ręce starszego, jako lekarza duszy; z rozkoszą oddzielił się od świata zawodów, walk, czczego już dla niego na zawsze.

W wiekach wiary wszyscy dzisiaj kończący samobójstwem moralném lub cielesném, których boleść upadla lub zabija, szli w zacisze klasztorne, rozdmuchać w sobie ostatnią, zawsze na dnie tlejącą iskierkę religijnego uczucia, aby się ogrzać przy świętém, od niéj roznieconém ognisku. Dawniéj klasztor istotnie był portem, dokąd nie zawiewały wiatry ani burze świata, gdzie słodka dla skołatanych, jednostajna cisza, długie lata w chwilę niepostrzeżoną zmieniała. Tak go pojmowali założyciele zakonów wielu, takim go czynić były powinny istotne potrzeby natury ludzkiéj. Że mogły się klasztory stać schronieniem próżniactwa, nic przeciw ich użyteczności, jako przytułku skołatanych życiem, nie mówi. Wszystko na świecie ludzie zepsuć umieją, i wszystkiego nadużyć.

Nie wiem czemu, ja także lubię ciszę klasztorną i nie minę, gdy mogę, żadnego z tych starych mieszkań pustelniczych, nie zaczerpnąwszy w nich spokoju, jak się czerpie u cichego źródła chłodną i orzeźwiającą wodę dla ust spieczonych podróżą. Dotąd jeszcze stare nasze klasztory tchną dawnym spokojem.

Lat temu kilka przejeżdżałem przez małe w naszéj staréj, poczciwéj Litwie miasteczko (nazwisko pozwolicie mi zataić, jak ja pozwalam wam je zgadywać), miasteczko, u którego przedmieścia, w pewném od wrzawy mieszczańskiéj i rynkowéj oddaleniu, wznoszą się białe i czerwone mury kapucyńskiego klasztoru i kościoła.

Mieścina ta zewsząd wzgórzystym i pięknym otoczona krajem, który zamyka prawie dokoła widok sinych, ciemnych lasów sosnowych i jodłowych, wznosi się na dolinie opasanéj gajami, dotąd niewytrzebionemi, brzoz podszytych jałowcem.

Gaje tego rodzaju widzieć można tylko na Litwie. Składają je smukłe białe brzozy, przez których przerzedzone szeregi sinieje niebo dalekie; a ciemne i pokrzywione jałowce rozściełają się u nóg, jakby broniąc przystępu. Rzadko inne drzewo zabieży od brzeźniaku, a wzrosłszy w nim, stoi z brzegu i zdaje się smutne, osamotnione, jak wśród obcych, radeby uciec, a nie może.

Mała rzeczułka, z jednéj strony wijąca się po ogromnéj zielonéj łące tatarakami obrosłéj, z drugiéj tworząca staw czysty, osadzony wierzbami staremi, podchodzi prawie pod same mieszczan ogrody. Za rzeczką zielone uprawne wzgórki, gdzie niegdzie urozmaicają stare drzewa z wykarczowanych pozostałe lasów, grusze po miedzach stojące, oraz sosny, na których barć oparta ochroniła je od siekiery. W dolinach pomiędzy pagórkami, widać wsie szare i białe, ciemnych kościołów kopuły i dzwonnice staruszki. Z drugiéj strony miasteczka ogromny klasztor kapucyński, postawiony w XVII wieku, wspaniałemi murami swemi i drewnianym krzyżem kościoła na ciemném tle jodeł się maluje.

W tym wieku powrotu do wiary katolickiéj tylu rodzin polskich od niéj odpadłych wprzódy, powrotu spowodowanego zarówno gorliwością Zygmunta III, wymową księdza Skargi i reakcyą konieczną przeciw niestrawionym a zapalczywie przyjętym, jak pożądana nowostka, zasadom protestanckim,—wznosiły się u nas

kościoły i klasztory w większéj może liczbie niż wprzódy, gdy wiara jedna, niezachwiana trwała jeszcze.

Nawróceni na wiarę ojców i dziadów synowie i wnuki, śpieszyli ze wspaniałemi budowy i bogatemi dary, dowodząc swéj gorliwości ku katolicyzmowi i szczerości nawrócenia. Mnożyły się wspaniałe klasztory a szwedzki marmur —którego pobożny użytek wskazał Zygmunt III, sprowadzając go do wileńskich kościołów — zdobił nietylko ołtarze, ale zewnętrzne facyaty kościołów, na których wyginanych gzemsach wznosiły się kamienne kwiatów kosze i kamienni aniołowie ze złoconemi rozpiętemi skrzydły. Świecące krzyże wieńczące miedziane kopuły, strzelały nagle z głębin lasów i pustyń. Posypywano kalwaryjskie drogi ziemią umyślnie z Jerozolimy przywiezioną; chwytano święte obrazy w Rzymie (jak Sapieha kodeński), kradziono relikwie męczenników świętych, zakupowano w Augsburgu bogate trumny, srebrne sarkofagi, przepyszne monstrancye od złota i drogich kamieni, zamawiano najdroższe obrazy u najsławniejszych malarzy. Domy boże jaśniały przepychem, który im ze skruchą i pokutą ofiarowała gorliwa pobożność nowo nawróconych. Wielkie sioła i włości zapisywano sługom bożym, aby się modlili o przebaczenię winy ojców i późne opamiętanie obłąkanych dzieci.

W tym to czasie wzniósł się klasztor i kościół Kapucynów, na samém wybrzeżu lasu jodeł i sosen, opodal naówczas od małéj mieściny, którą składało kilkadziesiąt mizernych domowstw nad brzegiem błotnistéj rzeczki Bystrzyczki.

Późniéj dopiero Bóg płacąc dzieciom za ojca, zasilił miasteczko handlem. Urosło ono niespodziewanie, i jakby podziękować chciało klasztorowi, do murów

jego pokornemi przysunęło się lepianki. Do nagłego i niespodziewanego wzrostu téj dosyć od innych oddalonéj i zasuniętéj w lasy osady, przyczyniły się niemało: sława odpustów kościelnych i obrazu Św. Antoniego, który cudami począł naokoło słynąć. Corocznie w czerwcu, pobożne tłumy pielgrzymów, odbywszy nowennę, zalewały miasteczko, cały prawie tydzień w niém trwając. Stary parafialny modrzewiowy kościołeczek, założony tu w XIV wieku, po przejściu parafii i *cura animarum* do zakonników, został opuszczony. Otoczyły go do koła nowe mogiłki; poprawiony, podparty, późniéj przebudowany, stał się cmentarną kapliczką, gdzie w dzień Św. Józefa odprawiało się uroczyste nabożeństwo, bo to był dawny patron parafii.

Nowe mury z całém staraniem i przepychem, na jakie tylko dawniéj budując się zdobywano, wzniosły się na obszernym placu, nadanym dziedzictwem OO. Kapucynom. Nie żałowano ziemi, cegły i pracy. Ogród zarwał aż jodeł od lasu i szeroko się rozłożył po za klasztorem; cegła z gnojonéj długo wypalana gliny, dźwięcząca, czerwona, w krociach tysięcy wzniosła się i wyciągnęła ogromnemi mury opasującemi nietylko mieszkanie klasztorne, kościół, podwórzec, ale wielki i prawie wytworny ogród kapucyński, gdzie na kwiaty, drzewa, szpalery i kwatery, sadzawkę, kapliczkę, mostki i niewinne starców rozrywki, było dość miejsca. Tam widziałeś dawniéj owe cyfry z bukszpanu, imię Jezusa i Maryi zielenią na piasku wypisujące, cudne kompasy na ziemi wysadzane, i tysiączne pobożne wynalazki tego rodzaju.

Fundator miał widać na myśli uprzyjemnić życie samotnikom, o ile tylko było w jego mocy. Ciemne dla modlitwy i dumań szpalery lipowe, altany, w któ-

rych stały kamienne ławy, stoły i świętych posągi; osadzona olchami, na których bociany klekotały, sadzawka; sad bogaty w wyborne owoce,—bawiły oko i dozwalały cieszyć się zielenią, powietrzem i szczebiotaniem ptactwa, nie patrząc na obcych ludzi i nie będąc dla nich widowiskiem. Tu mógł zachwycony lub spłakany zakonnik upaść wśród przechadzki na natchnioną modlitwę, nie wstrzymując się myślą, że ludzie obcy, ludzie tego świata, wezmą uczucie jego prawdziwe, za obłudny rachunek. W owych czasach, gdy taka jeszcze mnogość protestantów kraj zalewala, zakonnik często nawet modlitwę ukrywać musiał przed światem; bo i ona mogła być powodem zgorszenia i grzechu.

W pośrodku ogrodu pagórek wyniosły, na którym przezroczystą zbudowano szopkę opartą na dębowych z kory nieodartych słupkach, dozwalał spojrzeć ztąd na cały otaczający krajobraz, który oko obejmowało, panując nad nim. Ztąd miasteczko, rzeczułka niebieska lub złocista wedle stanu nieba, zielone łąki i sioła szarzejące, i wzgórza, i ciemne lasy, i żółte pola, i ruch gościńca osłonionego obłoczkiem kurzawy, widać było jak na dłoni. Tu nieraz najstarszy z zakonników z siwą brodą, o kiju, przychodził pogrzać się na słońcu, gdy cały ogród murem i szpalerami zacieniony, już w chłodzie wieczoru lub jeszcze w rosie porannéj spoczywał. Tu patrząc na mogiłki czarnemi i białemi krzyżykami, płowemi świeżemi grobami zasiane, modlił się o śmierć nienagłą, przytomną, na którąby się, jak podróżny na ucztę idący, mógł przygotować za wczasu i ubrać duszę w najlepsze szaty.

Bliżéj klasztoru, zwrócone ku południowéj stronie, zakryte od północy, sławne kapucyńskie gwoździki pełne, i białe lilie hodowane rękami starców, zakwita-

ły na pstrych grządkach, gdzie jeszcze nie było żadnego z tych nowo poznanych i polubionych u nas kwiatów obcych ziem, ale stare i z klimatem naszym już oswojone narcyzy, irysy, orliki i t. p.

Wpośród kwiecia i liścia rozsypane znaki pobożności, przypominały wszędzie modlitwę. Wysoki mur opasujący arkadami dokoła cały ogród, w kilku miejscach zdobiły kapliczki z kalwaryami i posążki Świętych. Wzniosły krzyż drewniany, pomalowany brunatno, dźwigał ramiona litości nad gałęzie drzew zielone. Przy nim rósł jeden z tych rzadkich, pięknych jałowców, przybierających kształt drzewa i podobnych do jodły.

Prócz zakonników i ptaszków, rzadko ciekawy przychodzień zawitał do cichego ogrodu. Tu przecięż niejedno, długie nawet życie między kościołem, celą a grządką kwiecistą spłynęło; niejeden siwobrody starzec podlewał i oczyszczał posadzone jako wątłą latorośl drzewko, na którego liście poglądał niespokojnie, sądząc, że los wychowańca przepowie mu zgon blizki. Kwiaty kapucyńskie nietylko zabawą dla nich samych, ale często wdzięczną dla sąsiadów bywały ofiarą, zwłaszcza białe, wonne lilie i przepyszne gwoździki szkarłatne.

Kościół podobny wszystkim kapucyńskim, był bardzo obszerny, trochę przyciemniony i ozdobny snycerskiemi na drzewie robotami, które tu kruszce zastępowały. Wielki ołtarz, ławki i kilka mniejszych ołtarzy bocznych, wszystko z dębu wyciosane, zastanawiało delikatnością roboty i pięknym, choć w smaku XVII w. rysunkiem. Posągi kilku Świętych także były z drzewa. W pośrodku nawy pod sklepieniem, stała jakoby w powietrzu zawieszona Kalwarya, Chrystus konający na

krzyżu, i Jan z Matką Bożą, oczyma łzawemi wpatrujący się w Zbawiciela. Za ołtarzem głównym, całkowicie w drewnianą snycerszczyznę strojnym, zamknięty chór Kapucynów zajmował obszerną salę.

Nieraz z niéj dochodzące głosy pieśni poruszały przechodnia, co ukląkł na chwilę pomodlić się w kościele. Na sklepieniach kilka obrazów z życia Matki Bożéj, wprawną ręką Dankerts'a malowanych, zachwycało kolorytem i wielką rysunku śmiałością. W pośrodku na kopule było Wniebowzięcie wyrażające chwałę Maryi i chwałę kościoła, którego ona według wielu tłómaczów była figurą. Ciemny kościół, od ozdób drewnianych przyciemniony bardziéj jeszcze, czysty i utrzymany starannie przez rok cały, ukazywał się w chwale, blasku i wdzięku, gdy jedno z wielkich świąt obchodzonych tu z przepychem, na jaki ubodzy żebracy Chrystusowi zebrać się mogli—nadeszło. Na Św. Antoni, Św. Franciszek, Porcyunkulę, Zielone Święta zwłaszcza i Boże Ciało, wszystko tu okrywało się zielenią i kwiatami. Od posadzki kamiennéj, potrząśnionéj tatarakiem i jedlinką siekaną, do najukrytszych ołtarzy, wszędzie błyszczały kwiaty i szemrały liście. Pilastry nawet ostawiano jedliną, a w wielkim ołtarzu potężne wazony, bukiety rozkwitłe, błyszczały razem z mnóztwem świec jarzęcych. Ta zieloność i kwiecistość świętego miejsca, nadawała mu nowy i nieopisany wdzięk. Z pośrodka gałęzi gdzie niegdzie na murze wyglądał stary wyszczerbiony grobowiec, z herby rytemi na kamieniu, znikłemi postaciami rycerzy nieulęknionych i niewiast pobożnych a mężnych.

Na posadzce kamiennéj, niedaleko wnijścia do podziemnych sklepień grobowych, oznaczonego dwoma żelaznemi kółkami, leżało wieko marmurowe założyciela,

skromne i umyślnie z pokorą rzucone pod nogi pobożnych. Tu żadnego znaku, żadnego herbu, coby wysokie urodzenie i piastowane przypominało godności— kilka tylko wierszy proszących o modlitwę za grzesznika.

Znacznie późniéj na facyacie kościoła położono czarny marmur z długim napisem pochwalnym, na który wysiliła się wdzięczność zakonników. Tam żony, dzieci, starostwa, komissye graniczne i poselstwa na sejmy założyciela obszernie i skrupulatnie wyliczone zostały, cnoty uwielbione wymownie. Wśród innych grobowców, uderzało mauzoleum synowskie, hetmańskiego dziecięcia, co dokończyło ojcowską ręką poczęte mury; mauzoleum wspaniałe, przedstawiające rycerza w całéj zbroi, wspartego na zdjętym hełmie, jakby chciał pot otrzeć z uznojonego czoła. Symboliczny wieniec owoców i kwiatów, ubierający ramy grobowca, oznaczał przymioty towarzyskie i dobre uczynki zmarłego.

Kamienna przedziwnéj roboty kropielnica, wsparta na czterech aniołkach, attrybuta czterech cnot unoszących, zdobiła wnijście kościelne. Wspaniały organ, błyszczące swe flety wznoszący jak pęki strzał ku górnemu sklepieniu, zajmował cały chór nad wnijściem. Drewniane, takiéjże roboty jak posągi wielkiego ołtarza anioły z trąbami, stały na wierzchu jego. Organ ten za szczególną dyspensą, dla odpustów mnogi lud przywabiających, mieli sobie dozwolony Kapucyni.

Taki był kościół zakonników. Ale trzeba go było widzieć w dni uroczystości, pełny ludu, w świetle mnóztwa świec jarzęcych, w obłokach dymu kadzideł, w kwiatach i zieloności, aby całą świetność i piękność jego ocenić. Wygodny i obszerny klasztor przytykał

do niego, długie swe ramiona podparte skarpami i zakończone półokrągłemi wieżyczkami, wyciągając od kościoła na prawo i lewo. Tu z równą troskliwością myślano o wygodném pomieszczeniu ojców i upięknieniu niewinném pobytu ich w tym porcie schronienia doczesnego.

Nieskończone korytarze, sklepione i wygodne schody, łączyły z sobą piętra i cele. Na ścianach tych długich linij murów, ten sam Dankerts de Ruy, żywoty S. Franciszka, S. Antoniego i wiele z historyi świętéj, w wielkich arkadach cele oddzielających, wystawił. Błyszczały jasnemi kolory te nieśmiertelne dzieje religijnego ducha, aby na każdym kroku miał je przytomne oczom duszy i ciała zakonnik. Stary gdański zegar, poważnym krokiem od lat przeszło dwóchset idący, przerywał sam jeden wielką ciszę korytarzy. Drzwi celi i izb wychodzące na nie, okładane były dębowemi odrzwiami, nie wytwornéj roboty, ale przedziwnych linij, pełnych prostoty. W jednéj arkadzie paliła się lampa niezgasła dniem i nocą, przed ogromnym krucyfiksem, u którego zwykle na krótką modlitwę przyklękali przechodzący zakonnicy. Daléj piękny założyciela portret, ale bez buławy, zbroi i błyskotek, w stroju pielgrzyma, przypominał go modlitwom przechodzących. Jeszcze daléj twarze synów jego, dobroczyńców spadkowych klasztoru, oraz znakomitszych zakonu generałów i Świętych, pozawieszane były naprzeciw okien, między drzwiami cel. Obrazy zakonników do ostatniéj, najbliższéj nas należały epoki; dawniéj bowiem nazwiska się zapierając, przez pokorę też nie dozwalali rysów znikomego ciała podawać potomności.

Zwłoki szły do wspólnego grobu, pamięć w zapomnienie pokory pełne; świętym potrzeba było zostać, aby żywot na ziemi przedłużyć.

Na tych ogromnych korytarzach, po których długo z przyjemnośsią przechadzać się było można, cisza uroczysta panowała nieprzerwanie prawie. Odmykające się ciężko drzwi celi, kroki uzbrojonych trepkami nóg zakonników, świergot ptasząt, a zwłaszcza jaskółek klejących gniazdka pod dachami, stąpanie powolne zegaru, słychać było po całym gmachu. Na korytarze wychodziły drzwi wielkich sal refektarza, biblioteki i innych. Ztąd także na pierwszém piętrze było wyjście na chór.

Refektarz wedle zwyczaju ogrzany piecem niezmiernéj wielkości, z niebieskich kafli zbudowanym, w którym można było na raz całą furę drzewa spalić, znajdował się jak zawsze na dole. Sufit jego z ruchomych desek złożony, przepuszczał ciepło do nieopalanych cel zakonników.

Wszystko tu obrachowano na ogromną skalę; a że ilość choć szczupłych celi była bardzo wielka, refektarz więc rozciągał się niemal przez całe jedno skrzydło klasztorne, wsparty będąc tylko na murowanych słupach, podtrzymujących belki misternie wyrabiane, zczerniałe od czasu i ciepła. Całą szerzynę ściany poprzecznéj zajmował i tu jeszcze krucyfiks; drugą obraz Ś. Antoniego. Na murach były zakopcone freski i wypisane zdania z Pisma Świętego. Dokoła otaczały go dębowe ławy i takież stoły na skrzyżowanych w X sparte nogach, zastawione kuflami glinianemi, polewanemi misami i wytwornéj czystości naczyniem. Drewniane bukszpanowe łyżki leżały na swoich miejscach, wysłużywszy już kilku pokoleniom i powoli ustępując miejsca nowszym, gorszym, lipowym. Od strony okien wzniesiona trybuna dębowa dla lektora, który wedle

zwyczaju zakonnego czytywał w czasie jedzenia, odznaczała się piękną, ale niewytworną robotą.

Okna refektarza wychodziły na ogród. Przez nie widać było kwatery kwiatowe osadzone bukszpanem, i zapach lilij zalatywał przez kraty, misterną robotą ślusarską wykute, w pośrodku których wieniec obejmujący imię „Marya" wyrobił pobożny rzemieślnik.

Oprócz opuszczonéj sali obrad i wyborów, na piętrze się znajdującéj, gdzie widzieć było można nad ławami wiele ciekawych portretów familii założyciela z twarzami widocznie innego świata, innéj epoki — była tu jeszcze wielka biblioteka.

Sklepiona ta sala, w górze obwieszona żywych kolorów freskiem wyobrażającym czterech Doktorów kościoła, z dodatkiem Ś. Franciszka przysłuchującego się ich dyspucie, — ostawiona była szafami dębowemi, roboty téjże ręki co i ołtarze kościelne. Ale tu snycerz widocznie się wysilił. Wieńce kwiatów, owoców, emblemata pobożne, stroiły każdéj szafy wierzchołek. Na stole w pośrodku stojącym, wspartym na czterech delfinach, stał śliczny kościany krucyfis staroświecki, przypominający, aby nauce przewodniczyła wiara.

Biblioteka początkowa, ofiarowana przez hetmana, pomnożona darami synów jego i wnuków, obfitowała w dzieła ciekawe. Nawrócony niedawno właściciel, miasto spalić folianty różnowierców, dał je z innemi zakonnikom, aby co na zgubę duszy służyło, w innych ręku na ratunek obrócić się mogło. W zamkniętych szafach, w dole zbrojnych kratą, trzymano tych niebezpiecznych więźniów, których grzbiety tylko pargaminowe poglądały złocistemi litery z zamknięcia. Klucz

prohibitorum był u O. gwardyana, który wedle potrzeby udzielał starszym Bezy, Melanchtona, Oekolampada, Kalwina, Lutra, Serweta i mnóztwa broszur XVI wieku tu złożonych. Na górnych półkach kollekcya Bollandystów, Bullarya, wielkie biblioteki i encyklopedye teologiczne, przepyszne edycye Ojców kościoła, Biblie poliglotty, kommentarze, słowniki i zbiory podróży zalegały, ledwie się ciasno mogąc pomieścić. Tu kryły się w oddziale *manuscriptorum*, ciekawe *historia domus*, konnotacye, *compendia privilegiorum* przez pobożnych braci spisywane; tu niejedna nota rzucona na białym brzegu foliantu, zdradzała umysł niepospolity lub nieznaną światu wielką walkę odbytą z szatanem wątpliwości w zaciszy klasztornéj.

Niestety! im bliżéj nas, tém trudniéj było o noty i rękopisma, bo duch zakonny nikł i z serc wygasał. Dawniéj droga biblioteka, teraz zasuwała się pyłem, a zamek jéj potężny jeden już tylko braciszek i zakrystyan umieli otwierać. Z okien biblioteki widać było podwórzec klasztorny, na którego zielonéj murawie stały dwa posągi: Matki Bożéj i Ś. Antoniego z Dziecięciem Jezus na ręku, z lilią w dłoni; widać było gościniec i część miasteczka, łąki, rzekę, dalekie wsie i lasy.

Gdym jeszcze zwiedzał to miejsce, klasztor żył dawném, pozostałém z przeszłości życiem. Poczciwi zakonnicy byli przyjaciołmi całego sąsiedztwa, ich klasztor najgościnniejszym z domów, ich obiady ze sławnym sztokfiszem uchodziły w poście za najsmaczniejsze, choć je dobre serce więcéj niż wytworne przyprawki krasiło; a stary miód tylko na Porcyunkułę i Ś. Antoni w małych kieliszeczkach podawany, sławny był na mil dwadzieścia dokoła.

Wszystkie prawie cele były jeszcze zajęte, ale po większéj części przez siwych jak gołębie starców, którzy jedną nogą stali już w grobie, choć z żywością młodzieńczą pieszo nieraz biegli z pociechą i modlitwą do oddalonego łoża chorych i konających.

Któż nie zna celi kapucyńskiéj? Wszystkie one na jeden wzór stawione; z jedném okienkiem na ogród, z gwoździkiem na oknie, z maleńkiém łóżeczkiem zasłaném twardą, sukienną pościelą, z krucyfiksem w głowach tapczanu, ze dzbanem wody u drzwi. Rzadko nawet obraz nagie mury téj ciasnéj komórki wielkiego ula rozwesela.

Całe sąsiedztwo kochało Kapucynów i żyło z nimi jak z przyjaciołmi. Dobijano się o dozwolenie kilku tygodni pobytu na wsi jednemu z ojców przy dworków wiejskich kapliczkach. W niedzielę i święta tłumnie zbierano się do kościoła.

W poście posyłano ryby, w lecie brano od nich kwiaty, radośnie pokazywano śliczne i misterne ich roboty, zielone i białe stoczki. Szlachta okoliczna składać się zdawała familię zakonników, a każdy z chęcią, z troskliwością śpieszył, uprzedzając ich potrzeby, i dając datek, radował się jakby go odbierał. Pomimo ciszy klasztornéj, zamknięcia, posępnych murów i sąsiedniego ciemnego jodłowego lasu ze swym szumem posępnym, tak tam było lekko i wesoło! Kwiaty wschodziły w ogrodzie bujne, rozkoszne, silne; ptacy szczebiotali na gałęziach; chłopięta do posługi kościelnéj wzięte z pucołowatemi twarzyczkami aniołków, figlowały na podwórzu; starcy nawet uśmiechnięci byli spokojni, tak widocznie w téj ciszy klasztornéj kosztowali szczęśliwości.

Nigdy spór, nigdy zwada żadna nie gorszyły są-

siedztwa, a familia zakonna kochała się jak istotna rodzina, lepiéj od niejednéj krwią i interesami połączonéj. Lecz powoli, powoli zaczęły się wypróżniać cele, a zapełniał cmentarz; grzędy ogrodu chwastem zarastały, brukowany podwórzec otoczyły chciwe ruin pokrzywy; wielki krzyż ogrodowy spróchniał od spodu i upadł. Gwardyan ujrzawszy go nazajutrz po burzy na ziemi, zapłakał; bracia milczący i zamyśleni odeszli.

Gdym raz pierwszy zajrzał do tego uroczego klasztoru, był on jeszcze w całym błasku życia i pomyślności. Przejeżdżając gościńcem, który około wrot dziedzińca kościelnego się przesuwa, zasłyszałem śpiewy, ujrzałem drzwi otwarte i zatrzymałem się, zdjęty ciekawością. Była to godzina południowa, nikogo w kościele prócz kilku chłopców i dziadów; w chórze za wielkim ołtarzem śpiew zakonników rozchodził się poważny pod wysokie sklepienia. Ukląkłem naprzód, potém poszedłem oglądać napisy, nagrobki i obrazy. Właśnie gdym się z ciekawością Wniebowzięciu Dankerts'a przypatrywał i dobywał ołówka dla zanotowania téj pięknéj kompozycyi, ujrzałem przed sobą zakonnika (bo śpiew w chórze już był ustał, a chłopcy uwijający się z miotłami, musieli o bytności mojéj rozchodzącym się z chóru powiedzieć).

Staruszek powitał mnie zwykłém chrześciańskiém pozdrowieniem, przypominającém dawne wieki, kiedy znak krzyża i te słowa tajemnicze różniły w tłumie od pogan pierwszych sług ukrzyżowanego Messyasza.

— Cóż to za piękny kościół! zawołałem w uniesieniu. Jakie wspaniałe malowidła!

— Prawda, że śliczne? uradowany przerwał mi śmiejąc się wesoło staruszek. Stare to są panie dzieła staréj pobożności i talentu! A widziałżeś pan pięknc

posągi drewniane w wielkim ołtarzu, które tak wychwalają artyści? Widziałeś pan ołtarzowe obrazy nasze? Jeśliś pan ciekaw a lubiący te rzeczy, poprosiłbym go i do klasztoru: na korytarzach są téj saméj ręki sławnego Dankerts'a roboty; w bibliotece też; a w sali wyborów portrety, jak mówią, ciekawe.

Widząc, że na samo wyliczanie oczy mi się zapalały, uśmiechnął się starzec i począł od oprowadzenia najprzód po obszernym kościele, tłómacząc, wskazując, objaśniając, ciesząc się jak dziecię, gdym wychwalał.

— Pobożni ludzie dawniéj— rzekł—niech im Bóg da za to niebo! co mieli najdroższego, to pod skrzydła krzyża składali. Hetmani, najwyżsi dygnitarze, myśleli o ubogim zakonniku, aby się on za nich pomodlił, gdy wysokiego stanu obowiązki, gdy świat otaczający odrywał ich pomimo woli od Boga i modlitwy. Pobożna myśl więcéj wzniosła monumentów, więcéj dzieł wielkich sztuce natchnęła, niż duma nawet i próżność. Dziś... dodał — ale nie czerńmy swych czasów, mają i one zaprawdę swoje dobre!

Westchnął zakonnik. Po cichu rozmawiając, przyszliśmy pod ołtarz w kaplicy ukryty; ale starzec, przeciwko zwyczajowi, nie zwrócił uwagi mojéj na obraz zajmujący wielkie ramy dębowe, kolorem drzewa świeższą wskazujące robotę. Spojrzałem od niechcenia tylko, myśląc, że w istocie może robota nie zasługiwała na uwagę. Ale jakżem się zdziwił, widząc nowy, świeżo jeszcze skończony, kolorytem uroczym ozdobny obraz, zdradzający mistrzowską prawdziwie rękę.

Stanąłem zdumiony, z oczyma weń wlepionemi. Nowych obrazów tego rodzaju nikt już podobno u nas nie ujrzy; głębokiéj wiary, zapału i prawdziwego talentu potrzeba było, aby stworzyć coś podobnego. Obra-

zy religijne naszych czasów są zimne i sztywne, życia w nich nie ma, bo ducha braknie.

Ten, z całą naiwnością starych mistrzów szkoły florenckiéj, wystawiał znajomy rys podania. Był to wizerunek S. Łukasza, zachwyconego widzeniem Matki Bozkiéj, któréj rysy anielskie miał przenieść na płótno. W górze obrazu, na czystym lazurze, wśród lekkich obłoczków, w wieńcu drobnych aniołków splecionych rączkami, ukazywała się Królowa niebios w białéj szacie zwycięztwa. Korona z siedmiu gwiazd błyszczała nad jéj czołem. Na ręku dziecię Jezus spoczywało, z dziwnym wyrazem Bóztwa w maleńkiéj twarzyczce, spoglądając z matką razem na Świętego Ewangelistę.

W dole starzec klęczący, zachwycony, z pendzlem w dłoni, z oczyma wlepionemi w obraz niebieski, zdawał się żyć i oddychać. Wpół otwarte jego usta, jakby zbytek uczucia i westchnienie radosne rozwarły. Dwóch aniołków uśmiechających się podtrzymywało płótno i paletę. Wół, symboliczne znamię ofiary, padł na nogi i świetnie przytulił skrzydła. Zwierzę to nawet było tak naturalne, a tak razem idealne, tak wiele miało wyrazu, żem się coraz bardziéj wpatrując dziwił i zachwycał. Ogół tego utworu kolorytem pełnym życia i harmonii uderzał. Każda twarz doskonale mówiła, co jéj malarz kazał; wszystko żyło, a żyło tém idealném życiem drugiego świata, którego chciwie w dziełach sztuki szukamy.

— Zkądże ten obraz? zawołałem zdziwiony.

— Alboż istotnie tak piękny? spytał mnie naiwnie starzec, patrząc mi w oczy z uwagą.

— Cudnie piękny!

— No! doprawdy! Dziwy, panie!

— Któż go malował? spytałem znowu: bo widocznie świeży.

— Boć nie ma w istocie i tygodnia, jak go poświęcono i na ołtarz wzniesiono.

— A zkądżeście go dostali?

— E! to robota klasztorna! dodał staruszek ciszéj, potrząsając głową: — tutejsza...

— Jak to? tutejsza? coraz bardziéj zdziwiony spytałem żywo.

— Tak jest, tak. Malował go-ci brat Maryan.

— Zapewne kopiował z jakiego starego, a kopia mu się, nie ma co mówić, prześlicznie udała.

— O! nie! on to całkiem swoją inwencyą zrobił. Ale ojcu gwardyanowi wcale się nawet to nie podobało; prawdę rzekłszy, przedmiot nam niebardzo do ołtarza przypadał i nowe musieliśmy dać robić ramy, bo daleko większy rozmiar od obrazu co tu był wprzódy, a który w kawałki się od wilgoci z muru sączącéj popadał.

Gdyby kto inny mi to mówił, zaledwiebym uwierzył, żeby w celi tego klasztoru zasuniętego w głuchą ciszę lasów litewskich, mógł się taki utwór urodzić: utwór niepospolitego natchnienia, pojęty po mistrzowsku i po mistrzowsku rzucony na płótno.

— A malarz ten? spytałem staruszka.

— Brat Maryan mówicie? to laik klasztorny... odpowiedział zażywając tabaki Kapucyn.

— Wielki malarz! a tak nieznany! tak nieoceniony! zakrzyknąłem z podziwieniem, oczu nie mogąc oderwać od obrazu.

Staruszek zdawał się pochwał tych słuchać z powątpiewaniem o mojéj znajomości rzeczy; odwodził mnie nawet od tego obrazu do fresków Dankerts'a

i snycerszczyzny niemieckiéj, ale długo napróżno. Ja cały zajęty byłem nieznanym wielkim malarzem współrodakiem.

— Nie mógłbym odwiedzić brata Maryana w jego celi? spytałem nieśmiało po chwili namysłu.

— Czemuż nie? zapewne można będzie. Ale to panie trochę dziwny człowiek, smutny, zamknięty w sobie, milczący. W klasztorze wybacza mu się to, po części przez miłość chrześciańską, po części, że i klasztor ma od niego dosyć—pracuje dla nas. Nie wiem, czy odwiedziny nieznajomego będą mu smakowały; lubi biedaczysko samotność.

— Ale na chwilę?

— Chodźmy! rzekł ojciec Serafin: chodźmy, spróbujemy; jeśli się nie modli, to nas musi przyjąć.

Po drodze nie mogłem wytrzymać, żebym nie rozpytywał o brata Maryana, ale niewiele o nim dowiedzieć się mogłem.

— Świat go utrapił, mówił ojciec Serafin; szukał pokoju, jakiego on dać nie może, w cichych murach naszych. Nic o nim tak dalece nie wiemy, prócz że zapewne szczęścia nie zaznał. Ze wszystkiego widać, że malarzem być musiał i za świeckiego życia. Ślady niezagasłych cierpień aż tu z nim przyszły. Modlitwa, praca wiele ran goi. W nich on szuka lekarstwa i pociechy.

Zbliżyliśmy się do drzwi celi, i ojciec Serafin zapukał.

Głos przytłumiony odpowiedział niezrozumiale ze środka.

— To ja, to ja! rzekł łagodnie starzec: ja z gościem, co waszego Świętego Łukasza w kościele zobaczywszy, chciał koniecznie brata poznać i w celi odwiedzić.

Drzwi się otworzyły, i weszliśmy do szczupłéj izdebki zakonnika. Była to cela wszystkim innym podobna, jedno okno kraciaste oświecało ją tylko. Wązkie łóżeczko, stoliczek i stołek prosty stały na swoich zwyczajnych miejscach. W pośrodku ze zdumieniem postrzegłem najniewygodniéj rozpięte duże płótno na trzech prostych kijach sznurami jako tako powiązanych, oparte. Potrzeby malarskie, farby, kamień, paleta, pendzle leżały obok na ziemi. Między obrazem a ścianami zaledwie przecisnąć się było można. Jednym rzutem oka pojąłem, jaką męczarnią było żyć w téj ciupce tak ciasnéj, i tworzyć tu, nie mając gdzie usiąść, jak łokcie wyciągnąć. Niepodobieństwem było zrobić kilka kroków lub przejść, nie zachowując największéj ostrożności. Światło padające było niewygodne i niedostateczne, słońce biło na płótno, a smugi cieniów rzuconych przez kraty, krzyżowały się na niém i dzieliły je dziwacznie.

Pospolity artysta, który tyle potrzebuje wygódek, światła tak jednostajnego, tak obszernego miejsca, nie pojąłby nawet jak tu malować było można. Prawie pod kątem prostym z konieczności ustawiony obraz, zdawał się umyślnie jak najniewygodniéj umieszczony. Inaczéj byłby całkowicie zaparł przejście między drzwiami a łóżeczkiem. Dowiedziałem się późniéj, że gwardyan opuszczoną salę obrad dawał bratu Maryanowi na pracownię, ale ten chcąc czémś okupić przyjemność malowania, dobrowolnie na niewygody ciasnéj celi się skazał.

Na wielkiém płótnie węglem, śmiało, ogromnemi pociągi, narzucony był projektowany rysunek. Kilka innych ram wisiało na ścianach, stały na podłodze wsparte o nie, tak, że ruszyć się tu wśród tylu rzeczy

trudno było. W pośrodku celi, w habicie bez kaptura stał zakonnik wysokiéj postawy i ślicznego charakteru głowy. Wypełzłe z włosów czoło, porysowane zmarszczkami poprzecznemi, oczy wpadłe lecz świecące, nos suchy, kształtny, usta wązkie i blade, ale pięknych linij, szyja muskularna i silna, wystawały tylko z pod grubéj sukni braciszka. Ręka brunatnym włosem pokryta, trzymała pendzel, gdym wchodził. Wyraz téj postaci i twarzy pełnéj zapału, smutku i rezygnacyi, zachwycał jak niespodziane zjawisko.

Stanąłem w progu. Braciszek spojrzał ku wchodzącym i zmieszał się widocznie; rumieniec przelotny pokrył mu chude policzki, zadrżała ręka; szybko pendzle wsunął w paletę, rzucił o podłogę i pośpieszył ku nam.

Jak błyskawica tylko dumne jakieś uczucie przeleciało po twarzy jego, natychmiast zmienił się gwałtownêm wysileniem jéj wyraz i schylone czoło pobladło znowu.

Na zapytania moje, zadziwienia i pochwały, odpowiedział kilku niewyraźnemi słowy, pełnemi skromności i pomieszania, pomieszania dziwnie wydającego się przy pooranêm czole i siwiejącym włosie. Zdawało się jakby bronił nam wnijścia i chciał wyprzeć na korytarz koniecznie. Mnie zaś bardzo o to chodziło, żeby zobaczyć inne roboty braciszka. Podwoiłem pochwał i usilnéj prośby, a za wstawieniem się ojca Serafina, pozwolono mi nareszcie wpół prawie gwałtem wcisnąć się do celi i spojrzeć na nowe obrazy. Wszedłem śpiesznie, z uwagą jednak, jakie wymagało przeciskanie się między natłokiem sprzętów.

Najpierwsza robota, mokra jeszcze i niedawno ha-

bitem przechodzącego nielitościwie starta, wyobrażała Ś. Antoniego z Dzieciątkiem Jezus. Nie wiedziałem wówczas kto, czy sam malarz, czy jeden z braci przechodząc posunął po niéj suknią i prawie całkiem zniszczył. Westchnąłem, bo obraz był prześliczny. Wielkie płótno z zaczętém podmalowywaniem, wyobrażało przyjęcie stygmatów Ś. Franciszka. Chrystus w niebiosach i zakonnik na ziemi, połączeni cudownemi promieniami, obaj po mistrzowsku byli pojęci. Z części wnosząc o całości, nowe dzieło mogło przejść Ś. Łukasza. Założyciel zakonu zostawiony w półcieniu sztucznym (gdyż najwyższe światła otaczały Zbawiciela), zaczęty był z doskonałą znajomością wszystkich materyalnych sztuki resursów. Drugi zakonnik od blasku zasłaniający się ręką, pełen naiwnéj naturalności, zdawał się nie widzieć i nie pojmować nadziemskiego zjawiska.

Twarze dwóch zakonników wystawiały doskonałą sprzeczność dwóch natur ludzkich: natury poetycznéj, idealnéj, z prozaiczną i poziomą. Obie zresztą były piękne, łagodne i szlachetne. Chrystus ukazujący się w niebiesiech miał Bóztwo w obliczu. Widok otaczający, złożony z drzew odwiecznych, pokręconych dębów, smukłych jodeł i ciemnych sosen, wyborne tło stanowił.

Koloryt ciepły był i żywy, a tak misternie urozmaicony, stopniowany, że choć bez pomocy wzorów i całkiem z praktyki (*de pratique*) malowany obraz, zdał się owocem długich studyów. Stałem przed nim długo, nie mogąc się od niego oderwać. Inne pomniejsze *quadri* przedstawiały poczęte lub wykończone już całkiem obrazki: *Śmierć Ś. Józefa*, *Ucieczkę do Egiptu*, *Nawró-*

cenie Ś. Pawła, Męczeństwo Ś. Katarzyny i t. d. We wszystkich taż sama wprawna ręka, silne uczucie, koloryt pełen harmonii.

Gdym się wpatrywał w te niespodzianie napotkane skarby, brat Maryan stał w progu, prawie zawstydzony, ze spuszczonemi oczyma i rękami, rzadką swą siwiejącą już brodę na piersi zwiesiwszy. Nic mi nie odpowiedział na pochwały, na zapytania, jak gdyby lękał się wylać, jakby się bał w sobie obudzić myśl nowemu stanowi niewłaściwą. Próżno usiłowałem go do rozmowy nakłonić; musiałem wreszcie odejść, dziwnie niepowodzeniem tém dotknięty. Z pokorą i łagodnością pożegnał mnie braciszek, ale bał się prawie rzec słowa, lękał spojrzeć na mnie, w którym opuszczony świat widział. Próbowałem nabyć jedną z prac jego, lecz gdym o to przebąknął żądanie, odpowiedział mi skłopotany, że prace jego do niego nie należą, że niemi rozporządza ojciec gwardyan.

Poszliśmy więc ze staruszkiem do celi gwardyańskiéj, gdzie przyjęty gościnnie i uczęstowany, gdym się spytał, czyby nie można co z robot brata Maryana dostać? — rumiany, otyły i rubaszny przełożony odpowiedział mi z głośnym i szerokim śmiechem:

— Mój jegomościuniu! alboż to doprawdy co tak osobliwego?

— Są to bardzo piękne obrazy, a kiedyś może i wysokiéj będą ceny. Brat Maryan będzie drugim Leksyckim, jest nim już dzisiaj.

— Któż to dobrodzieju Leksycki?

— Sławny krakowski malarz, zakonnik reguły Ś. Bernarda.

— A! a! Jestże tam co skończonego u brata Maryana?

— Zdaje mi się, dodałem żywo, że Ucieczka do Egiptu...

— To dobrze!! Pieniędzy od jegomości nie chcemy, ale gdybyś pan co w zamian ofiarował dla klasztoru?

— Co będziecie życzyli sobie? Bardzo chętnie! rzekłem żywo.

— Gdyby tak piękny ornat ponsowy? Nie mamy już w czém przystojnie dni świętych Męczenników obchodzić.

Mówiąc to, zdawał się powątpiewać, ażali to otrzymać może.

Zgodziłem się chętnie na żądanie.

Gwardyan zwycięzko trochę się uśmiechnął, jakby dziwiąc się i litując nademną, a podnosząc się z miejsca, rzekł:

— Chodźmyż po tę Ucieczkę.

Zwróciliśmy się powtórnie do celi brata Maryana.

Gwardyan wszedł do niéj nie pukając, a malarz nie musiał nawet usłyszeć skrzypienia drzwi, bośmy go zastali klęczącego przy łóżku z twarzą w dłoniach ukrytą. Przed nim był dziwny krucyfiks, który mnie uderzył — krzyż bowiem Zbawiciela wetknięty był na grzbiecie bronzowego Sfinksa. Na rubaszne powitanie przełożonego, zerwał się dopiero żywo i jakby zawstydzony stanął przed nami, uśmiechając się, z założonemi po monastycznemu na piersiach rękami.

— A! a! jak to tu przejść! zawołał otyły gwardyan. Ledwie się za temi gratami przecisnąć można. Pozawczoraj już jakieś malowidło zatarłem, a co gorsza daleko, nowiuteńki habit powalałem na nic. Ot — dodał — ten pan życzyłby sobie waszéj Ucieczki do Egiptu, malowidła, które wychwala bardzo. Ofiaruje

za nie ponsowy ornat dla konwentu, na dni Męczenników. Jeśli to wam bracie nie zrobi wielkiéj przykrości rozstawać się ze swoją pracą...

To mówiąc, łagodnie spojrzał na mnicha. Ten pobladł trochę, ale nic nie rzekł, tylko głowę skłonił, szybko zwrócił się ku obrazowi, zdjął go z pośpiechem, wlepił weń oczy raz jeszcze jakby go żegnał i (bojąc się może, żeby mu późniéj odwagi nie zabrakło) oddał w ręce przełożonemu.

— Wszystko to, rzekł, własność klasztorna. Bogu dzięki, żem się zdał na coś przecię. Bierzcie, proszę!

Cenę ornatu wypłaciłem natychmiast, uszczęśliwiony nabyciem tak łatwém rzeczy tak pięknéj, a tak niespodzianie wśród drogi schwytanéj. Ojciec gwardyan z Serafinem, odwołani dla pilnéj sprawy, wyszli na chwilę, a ja pozostałem sam na sam z bratem Maryanem.

Zbliżyłem się do niego, usiłując wybadać, czyby nie przyjął jakiéj małéj ofiary dla siebie, pozbawiając się obrazu, którego zdawał się żałować; ale mi odpowiedział z uśmiechem litości łagodnéj:

— Reguła nasza nie dozwala nam mieć własności; zresztą ja nic nie potrzebuję. Spokój, cisza klasztoru, oto moje skarby.

To mówiąc, przyłożył rękę do serca, i dwie łzy zakręciły mu się w oczach.

— Świat więc zranił ci serce? spytałem ze współczuciem.

— Nie pytaj pan, odpowiedział. Musiałbym przypominać to, o czém chcę zapomnięć. Miłożby ci było dla próżnéj ciekawości, drogiego, najdroższego na długo pozbawić mnie pokoju, który nareszcie zyskałem?...

— To nie jest ciekawość, odparłem, to prawdziwe współczucie. Ująłeś mnie wielkim talentem, jesteś artystą. Niedawno może wdziałeś tę suknię. Cierpiałeś wprzódy pod inną, a cierpiałeś srodze zapewne, gdyś w końcu skryć się musiał pod kaptur mniszy z duszą, zdaje mi się, nie do niego stworzoną.

— Jak to? rzekł Kapucyn, z pogodnym smutkiem wpatrując się we mnie. Już sądzisz o mnie bracie! tak mało mnie znając? tak rychło? Któż wie do czego stworzony byłem! dodał. To pewna, żem tutaj szczęśliwy, o ile człowiek na ziemi szczęśliwym być może.

Wtém usłyszeliśmy kroki nadchodzących zakonników; brat Maryan umilkł. Zaledwie gwardyan z Serafinem weszli, pożegnaliśmy się. Nie wypadało mi pozostawać dłużéj, aby nie zabierać czasu zakonnikom i nie przerywać podróży. Uniosłem z sobą tylko przedmiot do długich rozmyślań i zdobytą Ucieczkę do Egiptu.

Słońce się miało ku zachodowi, gdym przeprowadzony przez poczciwego ojca Serafina, uporczywie częstującego mnie tabaczką, przeszedł znowu cicho dziedzińce klasztorne i dostał się do moich ludzi i koni zniecierpliwionych niespodziewanie długą po klasztorze wędrówką. Wszystkie projekta podróżne złamane zostały stratą czasu; musiałem nocować w miasteczku, gdyż o dobre cztery mile dopiero mogłem się spodziewać wygodnéj karczmy na trakcie, a tyle już zrobić nie było podobna przed nocą lasem i dosyć złemi drogami.

Nazajutrz raniuchno wstąpiłem jeszcze na mszę do Kapucynów, potém na kawę do ojca gwardyana, ale brat Maryan, jak mi mówiono, był trochę niezdrów i już go widzieć nie mogłem. Nie bardzom się o to

starał, lękając się mu uprzykrzyć, widząc jak niemiło świat przypominać może to, co od niego przychodzi do zakonnika, pragnącego zapomnieć wszystkiego, co za sobą zostawił.

W kilka dopiero lat później, dostałem w miasteczku wieści o pochodzeniu zakonnika i jego młodości, a znacznie późniéj przypadkiem wpadły mi w ręce i inne materyały téj powieści. Ani jak, ani zkąd ich nabyłem, nie widzę tu potrzeby wypisywać.

Brat Maryan wedle jednych już nie żył, wedle drugich w dalekim podobno gdzieś klasztorze kończył spokojnie życie. Nic o nim z pewnością powiedzieć mi nie umiano. Sam klasztor zostawiony pustką, rujnował się z ową przerażającą szybkością, z jaką nikną dzieła ręki ludzkiéj dane na pastwę czasowi.

Kilka lat zmieniło go do niepoznania. Mur obwodowy powywalał się w wielu miejscach, z kościoła poopadały tynki, na klasztorze dach świecił licznemi dziury, zielsko zarastało dziedzińce, wróble gnieździły się w bibliotece i refektarzu. Pająki, nietoperze, myszy, mieszkały same po celach i korytarzach milczących.

Freski Dankerts'a pozaciekały, a wiele obrazów i snycerszczyzny nie wiedzieć gdzie i jak poznikało. Nagie ściany, na których tylko ślad długo przytkniętych ram pozostał, dziwnie smutne robiły wrażenie. Bezbożne ręce Żydów z miasteczka, wiele drzewa z budowli klasztornéj do pieców swoich poprzenosiły. W ogrodzie cyfra tylko Maryi wśród chwastów jeszcze trochę widna była. Zdziczały i strzeliły w górę szpalery, zazieleniała sadzawka zielskiem, wiatr powyłamywał drzewa.

Stary zakrystyan sam jeden jeszcze pilnował ruin

i czekał śmierci na dawném swém stanowisku. Złamany we dwoje, blady jak upiór, a jak grób milczący, obchodził z kluczami gmach we dnie, a w nocy przysłuchywał się głosom, które zdawały mu się z pustéj wylatywać budowy. Przysięgał on, że nieraz słyszał grające z cicha organy i księży o północy odśpiewujących *Requiem*.

Nie byłbym mógł nigdy nic stanowczego powiedzieć wam o młodości tego, którego późniéj znałem pod suknią mniszą i nazwiskiem brata Maryana; gdyby nie nowa podróż i przypadkówy nocleg w miasteczku. Wiedziałem już z będących w moich ręku papierów, o dalszém życiu i losach artysty, co oblókł habit zakonny; ale nic jeszcze o jego pochodzeniu i dziecinnych latach, o których milczały udzielone mi notatki. Napróżno starałem się czegoś dowiedzieć od sąsiadów klasztoru: starzy wymarli, młodsi zapomnieli.

Jużem był powiedział sobie, że się nic nigdzie nie dowiem, gdy nocując w miasteczku, znudzony w długi wieczór jesienny, ujrzałem wchodzącego do mojéj izdebki Żyda, gospodarza domu, który potrząsając jarmułką, z jedną ręką w kieszeni czarnéj sukni, wsunął się, by w oczy zajrzeć podróżnemu i trochę go wybadać.

Był to starzec już pochyły, na jedno oko ślepy z wypadku, o siwych ogromnych włosach i długiéj brodzie, chudy, zgięty, ale pomimo lat żywy. Jedyném okiem, które mu pozostało, błyskał dowcip i przebieg-

łość; głos jego silny jeszcze i młody (bo nie stracił zębów), zadziwiał przy pomarszczonéj twarzy.

Zaczęła się rozmowa poczęta jak zwykle wzajemném badaniem. Żyd starał się dowiedzieć, kto byłem, zkąd jechałem, dokąd, i po co? ja niedbale wypytywałem o okolice, o ceny zboża i t. p.

— A pan tu pierwszy raz w téj stronie? rzucił Żyd.

— Nie, byłem już razy kilka, odpowiedziałem, i w klasztorze.

— Był pan dawniéj w klasztorze?

— Tak; jeszcze za Kapucynów.

Przyszedł mi na myśl brat Maryan i westchnąłem.

— Szkoda poczciwych zakonników, dodał Żyd przypochlebiając mi się. Od ich wyjścia i miasteczko znacznie podupadło.

— A znaliście zapewne dobrze zakonników?

— O! o! jakże nie! wszystkich! Trzymałem u nich grunt, gdzie była wapielnia.

Od słowa do słowa, przeszliśmy do brata Maryana.

— Malarza? spytał Żyd.

— Wiesz i o tym? podchwyciłem ciekawie.

— Nu! jak nie! ruszając ramionami zawołał Żyd, stając przy piecu gorącym i zakładając ręce za pas.

— Wiesz zkąd był rodem?

— Ja? Rodem był prawie z miasteczka, bo tuż z okolicy. Gdyby nie mrok, pokazałbym jegomości miejsce, gdzie stał domek jego ojca. Dziwo, że wiem jego historyę i ojcowską! Pewnie lépiéj nikt jéj nie wie!

Tak przypadkiem od starego Szmula dopytałem się pierwszéj części historyi, którą czytelnikom moim daję.

Wprowadzony na trop, uzupełniłem ją późniéj w sąsiedztwie zebranemi powieściami.

Niedaleko opisanego w pierwszym obrazku naszym litewskiego miasteczka, za rzeczułką, na któréj brzeg drugi wiódł wątły mostek, jakby cudem dziwnym na dygocących utrzymujący się palikach, w dolinie małéj, u kraju lasu z sosen, jodeł, brzóz i grabów a nizkiéj dębiny złożonego, stał mały domek przed laty. To *przed laty*, nie oznacza więcéj nad kilkadziesiąt. Dziś tam kupa gruzu tylko i poorane do koła pole, a stary omszony krzyż wśród grzędy świadczy, że niegdyś szła tędy drożyna, gdzie teraz miedza tylko się przesuwa. Domek ów dawny, który otaczały pozostawiane na świeżéj trzebieży brzozy białe i wysmukłe sosny, płoty kamienne, malownicze chat litewskich stróże i płytkie zarosłe rowczaki,—trzymał środek między dworkiem szlachcica a chatą wieśniaka.

Widać było spojrzawszy na niego, że człowiek, co tu zamieszkał, był także ni prostym wieśniakiem, ni szlachcicem. Coś pośredniego między tymi dwoma. Dworek miał ganek o dwóch cienkich słupkach i wystawce, który już pretensyi niby do szlachectwa dowodził. Bo dawniéj, jak wiadomo: *rodziłem się pod gankiem*, znaczyło: *jestem szlachcicem*. Ale pominąwszy ganek, była to tylko dość obszerna i porządna chata z bierwion sosnowych na mech układanych zbudowana, z małemi okienkami, o sporych, czystych szybkach. Wysoka słomiana strzecha, pod cieniem drzew porosła rychło zielonym aksamitnym mchem, unosiła na sobie

jeden murowany, czerwonawy komin, dość niekształtny i nadkąszony od słoty i wiatrów. Maleńkie podwórko obrzucone płotem kamiennym, zamknięte było z jednéj strony szopką skleconą niestarannie, o wrotach podwójnych i nieszczelnie z dranic zbitych. Za dworkiem ciągnął się ogródek warzywny i sadek owocowy, w którym szczepy wcale nie bujały. Zielona łączka, żerdziami niedbale opasana, musiała także do właściciela dworku należeć. Las sąsiedni prawie do szopki przytykał, i w piękne ranki wiosenne słychać tu być musiało wśród ciszy pól, gruchanie dzikich gołębi, dziwaczne stukotanie dzięciołów, zawodzenie słowika, nawet szmery owadów leśnych. Bocian, przyjaciel człowieka, usiadł na strzesze szopki, aby sąsiadować z nim wedle zwyczaju i pod jego opieką gniazdo módz odlatując zostawić.

W tym dworku-chałupce, mieszkała podówczas cała rodzina Bartłomieja Rugpiutisa. Nazwisko samo i jego litewskie znaczenie, dowodziły pochodzenia tego człowieka i jego pierwiastkowego stanu. Ale pan Bartłomiéj dawno z właściwéj Litwy (a raczéj ze Żmujdzi) wyszedłszy, tu uchodził już za coś nakształt szlachcica, bo ubierał się w kapotę. Wszyscy tak u nas zaledwie sierp porzuciwszy lub łokieć sklepowy, chwytali zaraz za tarczę i szablicę. *Rugpiutis* po żmujdzku oznacza *troskliwego o żniwo*, o zboże. Zacni też a poczciwi przodkowie Bartka o nic się więcéj długie lata nie troszczyli, krom o zbawienie duszy a o chleb powszedni. Poddani żmujdzkich włości familii hetmana, który zbudował kapucyński ów klasztor wyżéj opisany, Rugpiutisy pracowali dotąd jak dawniéj około rodzinnego zagonu. Jeden Bartek przypadkiem ze stanu,

w którym się urodził, wyszedł na nowe stanowisko. Potomek hetmański wziął go był najprzód za pacholika, przypadkowo z potrzeby wybrawszy jako roztropniejszego na miejsce zmarłego nagle sługi. Zostawiono go potém przy dworze. Bartek wiele się tu nauczył, ale też zapomniał wiele. Nauka świeżo nabyta była ułamkową i śmieszną, a zapomnienie dotknęło najważniejszych wieśniaczych cnot ludu, skromnych prawda, ale wysokiéj ceny w oczach tych, co szacują uczynki ich prawdziwą wartością, nie połyskiem i pozorem.

Bartek chciwie chwytał wszystko, co było z brzegu; niewiele mu chodziło o użytek, jaki z tego miał uczynić. Ciekawy był i pragnął wyniesienia się nad swoich: co tylko go od nich oddalało, dobrém mu się zdawało. Cudaki w głowie potworzyły się z pomieszanych wiadomostek; ale on tak był nabytkiem swoim szczęśliwy! Pochlebnik niezręczny, ale niczém niezmieszany, i bezwstydny, nieustannością uniżeń i pochlebstwa płacił za jego grubiaństwo i niezgrabność. Rysy jego twarzy nieforemne, okrągłe, sklepane, czoło nizkie a szerokie, usta ogromne a obwisłe, szare oczka, wieczny uśmiech głupkowato-frantowski i niczém niezachwiana wiara w siebie, widoczna w każdym ruchu—stanowiły powierzchowność tego człowieka. Mały, pękaty, kwadratowy, silnie zbudowany, miał odwagę bezrozumną dziecka, co się jeszcze nigdy na niczém nie sparzyło, nieprzezorność dziecięcia roztrzepanego, a w złym razie głupiał zupełnie, nie pojmując co się z nim dzieje.

Chciwy jak najwięcéj się nauczyć, nie pytał czego i jak się uczył, byleby coś nowego. Wszystkich rzemiosł po trochu zakosztował, każdego umiał po odro-

bince, a nic do rzeczy. Lecz talenta swe wychwalał z tak silną i niezachwianą w nie wiarą, że nią nieraz nawet zawiedzionych obietnicami swemi znowu potrafił w pole wyprowadzić.

Jedyną myślą i dążeniem Bartka było wznieść się i pozyskać niezależność. Tak też służył i nadskakiwał panu, że wkrótce nietylko zupełną swobodę, ale kawał ziemi na pograniczu miasteczka odebrał w nagrodę. Goły, ale znakomicie odważny, ruszył na plac budować się tak właśnie jak Fernand Cortez na zdobycie Meksyku: bez odpowiednich środków, ale z silną żądzą dopięcia co zamierzył.

Nieforemny ów dworek, któryśmy widzieli, był prawie dziełem rąk jego, a przynajmniéj dziełem jego przemysłu.

— Co to mądrego ciesielka! rzekł nocując u ogniska pod sosną na *swojém* już polu, pierwszego wieczoru po objęciu wytkniętego żerdziami dziedzictwa, pustego jeszcze. Co to mądrego ciesielka! Siekiera, piła, sznur a dobra wola, ot i cieśla!

Nazajutrz więc zaraz kupił w miasteczku siekierę i piłę, ale jednakże *dla bezpieczności*, jak powiadał, najął na tydzień jakiegoś cieślę do pomocy, aby się jego robocie przypatrzyć. Po tygodniu, wyczerpawszy z niego co tylko potrafił pochlebstwem, gorzałeczką, gawędką poufałą, rozstał się z pomocnikiem, i na gotowych podwalinach, począł bierwiona sosnowe, już posprowadzane na plac, układać. Ale wybrnąwszy szczęśliwie z uszaków, gdy przyszło do dachu, znowu sam sobie rady dać nie mógł. Powrócił więc do cieśli. Założywszy z nim pierwszą parę krokwi, odprawił majstra, który widząc jak z niego żartują, doprawdy się już pogniewał.

Gniewającego się pana majstra Bartek pocałował w ramię, a sam wrócił do poczętego domku. Ile się napracował, nim krokwie powciągał i poustawiał, sam tylko Pan Bóg a on drugi wiedział. Często nie mogąc sam ciężarowi podołać lub dać sobie rady, czyhał na drodze na przechodzących do kościoła i miasteczka wieśniaków, i za niuch tabaki lub wesołą pogadankę, zyskiwał pomoc ich łatwo.

Tak nareszcie wzniósł się dach; ale czém go było poszyć? Słomy nie było za co kupić; łaskawego pana, coby może dopomógł, daleko szukać, wyjechał z domu; komissarz nielitościwy, był głównym nieprzyjacielem Bartka. Poszedł do głowy po rozum.

We dworze uczył się różnych rzeczy; między innymi był jakiś Klein, Niemiec, co drzwi, uszaki, ławy i stołki, a nawet kufry pokostował. Patrząc na jego robotę i rozcierając mu farby, Bartek, jak powiadał, nauczył się *malować*. Niemiec ani się spodziewał, żeby mu figlarz Żmujdzin miał taką spłatać sztukę, a koniec końców chleb odebrać. Ale po niejakim czasie, obeznawszy się z farbami, smażeniem pokostu i robotą całą, Żmujdzin poszedł cichaczem do pana, ofiarując się oficynę nową darmo pokostować, byleby mu kupiono farby i kamień. Starego tedy Kleina odprawiono, a Bartek stanął do roboty i wyszedł zwycięzko.

Cały dwór wziął go za wielkiego człowieka, obaczywszy jak on, *co się nigdy nie uczył*, doskonale wypokostował wszystko, *gdyby sam Klein*. Pan śmiał się, a Bartek dostał wówczas w darze kamienną płytę, kurant, rogowy nóż i pendzle; wziął je był z sobą nawet na nowe dziedzictwo. Ten kamień rzucony z początku pod drzewo, przyszedł mu na myśl, gdy słomy do poszycia dworku zabrakło. Spojrzał na poczęty i tak

szczęśliwie do góry doprowadzony budynek, westchnął, uderzył się w czoło kilka razy, potém niewiele myśląc, chwycił za tłomoczek, za kij, świsnął, obejrzał się na cztery wiatry i poszedł drogą w prawo.

Na prawo widać było w pewném oddaleniu nowo wystawiony i żółty jeszcze od drzewa świeżego dwór, którego bieluteńkie kominy błyszczały na zielonym dywanie wznoszącego się po za nim pagórka. Tam udał się Bartek, dźwigając na plecach cienką swą płytę i cały przybór malarski. A idąc nieraz poskrobał się w głowę; dziwne bowiem i trudne do spełnienia krzyżowały się w niéj projekta.

Nowego dworu właścicielem był ex-ekonom dóbr pańskich, których cząstkę wioski nabył na dziedzictwo, nałupiwszy i nadusiwszy niemało grosza. Znany ze swego sknerstwa i szachrajstwa, niełatwo dawał się wyprowadzić w pole; a tu właśnie o coś podobnego szło Bartkowi. Zbliżając się do wrot, zwolnił kroku, chcąc widać koniecznie na drodze gdzie spotkać się z nowym dziedzicem. Tak też się dobrze wyrachował, czy los mu posłużył, że właśnie nowy obywatel wychodził w białym kitlu w pole, gdy Bartek niby już pomijał obojętnie zabudowania jego.

— A! niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ot to kopę lat *wielmożnego pana* nie widziałem.

Wielmożny pan bardzo już połechtał dumę szlachetki.

— Na wieki wieków! To *waćpan panie* Bartłomieju, rzekł stary wypłacając się tąż samą monetą. A jak mi się tam miewacie?

„Źle! pomyślał Bartek: za *wielmożnego* płaci gotówką *waćpanem*, nie chce zostać w długu, podobno nic nie wskóram."—At, zwyczajnie, dodał głośno: mam

się jak groch przy drodze. Ale cóż to ja widzę? Panisko śliczny dwór pobudował! Co za dwór! a! a! co za dwór! wykrzyknął z coraz wzrastającym niby zapałem i uniesieniem, jakby go pierwszy dopiero raz oglądał. Dalipan w całéj okolicy nic podobnego nie zobaczyć. Całą gębą pański dwór!

— Alboż to asan co myślałeś? ozwał się uśmiechając połechtany po duszy ex-ekonom.

— Otoż z jegomości teraz taki pan całą gębą, pan wielmożny! obywatel!

— Widzisz kochanku, Pan Bóg nagrodził i pobłogosławił poczciwéj pracy mojéj. Ale to na starość chleb, gdy zębów, już omal.

— Gadaj pan zdrów! oj! oj! Sto lat wam! Dajże mnie Boże takie zęby nie urzekając!

I przeżegnał się; a po chwili dodał:

— Ale taki jednéj rzeczy tu braknie. Źle, źle, jak Bóg miły, niedobrze i nie dokończono, i nie po pańsku.

— A cóż tam u licha widzisz niedokończonego? panie Bartłomieju!

Bartek raz drugi niby stroskaną robiąc minę, głową pokiwał.

— Widziałem, rzekł do siebie, wiele pańskich dworów, ale nigdzie bez tego się nie obeszło. Chyba to może na późniéj odłożone; ale i tak nic do rzeczy.

— Cóż ty tam szepczesz: nic do rzeczy?

— A! juściż! Drzewo niepokostowane! Okiennice, uszaki, okna, wszystko się w mig popaczy, pozsycha, powykrzywia, a potém popróchnieje i pognije!

— Dla czego? drzewo suche, spuszczane w jesieni!

— Śmiéj się pan z tego! Co to pomoże kiedy nie pokostowane?

— A! ty myślisz, że ja pokostować będę?

— Nie wiem, ale gdybyś pan robił całą gębą po pańsku i chciał, żeby potrwało, trzebaby koniecznie. W każdym porządnym dworze nieinaczéj.

— Frant, stręczysz mi się na robotę.

— Cha! cha! ja! zawołał śmiejąc się Bartek z dość dobrze udaném podziwieniem. Właśnie wielmożny pan trafiłeś. Gdybyś mnie pan jak prosił i przepłacał, czasu nie mam, zamówiony jestem do Zaciszek.

A w Zaciszkach mieszkał główny nieprzyjaciel exekonoma, stary kawaler, któremu darować nie mógł obywatel świeżéj kreacyi jakiegoś wykrzykniku obelżywego, wyrzeczonego z powodu projektu starania się o jego siostrę.

— Zgodzono mnie malować cały dwór na *de novo* i wcale po pańsku, dodał Bartek. Ten sobie nie żałuje.

— Hm! ten szerepetka z Zaciszek! rzekł przez zęby szlachcic—doprawdy?

— Wziąłem nawet *bargeld* dwa złote zadatku, mówił Żmujdzin; muszę pośpieszać na noc tam koniecznie, przyrzekłem być dzisiaj. Dobranoc wielmożnemu panu!

— Poczekaj-no bo, poczekaj! zawołał ex-ekonom. A jakim tam kolorem będziecie malowali?

— Już to oni nie żałują! *Honeste!* Biało! biało! odparł Bartek. Blejwasem całusieńki dom, blejwasem, a tylko od tyłu czerwono. A co mają płacić temu partole, temu partaczowi pijanicy z miasteczka, u którego zawsze farba pęka i osypuje się, a taki drogi? Zgodzili mnie. Ja niewiele wymagam. Dobranoc wielmożnemu panu! muszę pośpieszać, spóźnię się.

— Czekaj-no! sam widzisz, że już późno... przecedził przez zęby niewyraźnie szlachcic, zastanawiając

się i myśląc. Do Zaciszek przed nocą nie zajdziesz. Kiego licha się tak śpieszyć? Dwór ci nie uciecze, przenocuj u mnie.

Bartek choć udawał, że mu było pilno, nie dał się jednak bardzo długo prosić i mówić sobie do trzech razy; zawrócił się, skrobiąc w głowę, niby niechętnie... i skutkiem dyplomatycznych kłamstw swoich nazajutrz miał robotę we dworze, kilkadziesiąt złotych zarobku, a tymczasem wyprawieni ze słomą ludzie kryli mu chatę w dodatku. Z dziedzińca nowego dworu ujrzawszy złocisty daszek chałupy swojéj, z bijącém sercem dokończył jako tako pokostowania i pośpieszył napowrot.

Murów, drzwi i okien brakło. Nie zafrasował się wcale Żmujdzin, obejrzał tylko, jakby latające po świecie myśli chciał połapać na drodze, nacisnął czapkę na uszy, i ruszył do miasteczka z miną poważną. Mina ta była mu potrzebna. Tu trudniéj było niż ze słomą: brakło bowiem cegły, wapna i majstra, a w dodatku pieniędzy. „Bez majstra, rzekł w duchu, obszedłbym się łatwo. Alboż to święci garnki lepią? Widziałem-ci to jak się piece stawiają; trochę mam wyobrażenia o zasklepieniu i wiązaniu cegieł; wapno rozprawię. Kielnia to blichtr tylko, bo i drewnianą łopateczką toż samo zrobię. Aby kamień to i młotek, aby sznurek a tarciczka, to i pion. Ale wapno i cegła, to sęk! Tego nie zrobię sam, trzeba dostać.”

Przychodziło mu na myśl kupić, ale obrachowawszy się z kassą w skórzanym woreczku u pasa wiszącą, i pomyślawszy, że będzie potrzebował pieniędzy na zagospodarowanie, nie czuł się w siłach kupić, postanowił *dostać* cegły i wapna, jak mówił, po prostu *psim* swędem. To znaczyło, że chciał nie zapłacić a mieć.

Pod miasteczkiem na tak zwanych *Glinkach*, nieopodal od chałupy Bartka były cegielnie żydowskie; tam udał się Żmujdzin, grając rolę sługi od dworu starosty. Począł się dopytywać o gatunek cegły, o cenę, i dawał niby mimowolnie do zrozumienia, że za dwakroć sto tysięcy na nową stajnię potrzebować mogą. Żydzi gorąco chwycili się tego z łatwowiernością, któréj powodem było, że wiedzieli, iż starosta nie miał cegielni. Bartek popatrzawszy, pomruczawszy, odszedł tymczasem, ale tak, aby go mogli wyszpiegować w miasteczku. Chaim, stary, szczwany lis, postawił kwartę miodu, i począł badać go, naglić, usiłując wyrozumieć. Żmujdzin udawał głuptaska, potém trochę podpiłego.

— Bo to widzisz asan, rzekł dobrodusznie: rzeczy są jeszcze dalekie i niepewne. Albo będą murowali stajnię, jeśli cegły dostaną tanio, albo ją będą stawiali z drzewa.

Żyd się zapalił, domyślając się tajemnicy jakiéjś, któréj nie było.

— Ja tylko tu tak przyszedłem ze swego domysłu, dodał Żmujdzin. Mnie tu nikt nie posłał, ręczę wasanu, że nikt mnie nie posłał. At tak, chciałem sobie zobaczyć.

— Nie zapieraj się wasan.

Bartek począł się zaklinać, ale tak doskonale, że Żyd mocniéj się jeszcze utwierdził w przekonaniu, iż to był poseł tajemny.

— Co waść do mnie się uczepiłeś! mówił napastowany, niby się broniąc. Ja nic nie wiem! Ja tak sobie zaszedłem; ja sam tu niedaleko się buduję i potrzebuję cegły dla siebie, zajrzałem zobaczyć i potargować. A jakby była dobra a tania, nawiasemby się

jaśnie wielmożnemu panu o niéj mogło powiedzieć jakie słówko.

I tak dobrze grał komedyę, że Żyd nadzieję dostarczenia dwóchkroć sto tysięcy cegieł dla starosty, opłacił darmo dostawiając parę tysięcy kopciałki i dobréj wypalonéj cegły Żmujdzinowi do jego chałupy. Szczęściem wkrótce potém istotnie zamówiono cegłę u Chaima, a Żyd pozostał w przekònaniu, że Żmujdzin tajemnie mu to wyrobił; był więc jeszcze dla niego z wysokim szacunkiem.

Gdy już cegła stała w kostrach na placu, poskrobał się znowu Rugpiutis w głowę, i począł głęboko zamyślać się nad wapnem. Kapucyni mieli wapniarnię na kawałku gruntu przytykającym do ich ogrodu, przedaż wapna robiła im kilkaset złotych do roku, a mieszczanie najęci wypalaniem jego się zajmowali.

W sobotę poszedł Bartek do Kapucynów, a że był z natury swéj bardzo pobożny, i wiele miał do Boga interesów, gorliwie się też modlił. Po nabożeństwie zaszedł do celi ojca gwardyana.

Tu pokłoniwszy się i ucałowawszy pasek ojca dobrodzieja, westchnął.

— A co tam powiesz moje dziecko? spytał starszy łagodnie. Czego tak głęboko wzdychasz?

— Ja tu dobrodzieju, do jego łaski, po radę przyszedłem.

— No, i po jakąż to przecię?

— Aby tylko dobrodziéj łaskawego dał ucha.

— Dla czegoż nie, mój kochanku? jeśli ci potrafię poradzić, z całéj duszy.

— Miałem to ja sen dobrodzieju!

— O! o! sen! Sen mara, Pan Bóg wiara, kochanku.

— Toć to ja wiem, ale sen bardzo dziwny.

— Naprzykład? spytał zażywając tabaczki starszy. Cóż tam takiego?

Bartek znowu westchnął, ręce załamał, w niebo spojrzał.

— Trzeba dobrodziejowi wiedzieć, że ja jestem biedny chudy pachołek, sierota, biedota. Starosta wywiózł mnie ze Żmujdzi, a że mu się służyło poczciwie i co mogło skarbiąc łaski jego czyniło, dał mi kawalinę gruntu, ot tu nieopodal pod lasem. Ja tedy własnemi rękoma i z wielkim mozołem pobudowałem sobie chałupinę. Dostałem cegły na pieczysko, a majstra i wapniska mi braknie. Wapno zwłaszcza spać i jeść mi nie daje, a kupić go nie mam za co. Otoż wczoraj, nastękawszy się około tego wapna, którego z palca nie wyłamać, a nie wiedzieć zkąd go wziąć, bo nawet nie słyszałem czy gdzie bliżéj dwóch mil się znajduje...

Starszy się uśmiechnął i zażył tabaki.

— Wczoraj tedy usypiam z tą troską gryzącą. Aż we śnie widzę patronkę moją, która mi się objawia w jasnym obłoku i powiada wyraźnie: „To czego żądasz tak bardzo, znajdziesz u oo. Kapucynów. Jutro pomódl się w kościele, a potém idź do o. gwardyana, pokłoń mu się do nóg, a otrzymasz czego żądasz. On cię zrozumie, wysłucha i obdarzy.” Obudziłem się w zimnych potach, pomodliłem, i ot kłaniam do nóg dobrodziejowi.

Gwardyan wesoło się rozśmiał.

— A wiesz waść—rzekł—musi to być prawda co powiadasz, bo i ja sobie teraz przypominam, że się mnie także śniło, abym ci dał wapna. Ale razem ode-

brałem rozkaz z Nieba, aby za każdy korzec wysypać ci trzydzieści pasków z ogórkami kapucyńskiemi.

Bartek pobladł.

— Tego rodzaju sny święcie spełniać potrzeba, bo są widocznie natchnione z Niebios, dodał gwardyan. Ileż ci tam korcy wapna potrzeba mój kochanku?

Bartek po swojemu skrobiąc się w głowę, myślał, jakby się z tego wykręcić? ale pomysłu mu brakło. Starszy śmiał się w duchu z konceptu Żmujdzina.

— Coś nie mogę się obrachować, rzekł nareszcie Rugpiutis. Ale wie dobrodziéj co? Prosiłbym tymczasem o wapno, a po ogórki przyjdę na ostatku, gdy już będę wiedział, ile mi się ich należy.

Naśmiawszy się do woli z przebiegłego chłopka gwardyan dał mu chętnie wapno potrzebne, a z niém razem naukę, aby mogąc pracować, nie żebrał bezwstydnie. „Pracuj moje dziecko, rzekł: nie jesteś wcale głupi, masz zdrowie i siły, wiek po temu, mógłbyś łatwo zarobić co; wstyd i upokorzenie ostatnie wykręcać i wypraszać figlami.”

Zamiast przyobiecanych pasków, dano Bartkowi robotę, kazano odnowić pokost na drzwiach cmentarwych i balustradzie chóru kościelnego.

Tak wszystek już mając gotowy materyał, Żmujdzin jął się roboty; ale ta niełatwo mu poszła. Źle sobie przypomniał, jak się co robić powinno, i nie mógł podołać całkiem nowéj dla siebie pracy. Rzuciwszy więc zaimprowizowaną kielnię i linię, poszedł do miasteczka. Tam trzy dni tabaczką częstując wszystkich majstrów mularzy, dla których szczególny teraz powziął szacunek, smakując nadzwyczaj w ich towarzystwie, przypatrywał się robocie, opowiadając im bajeczki. Czwar-

tego dnia wrócił do chałupy i śmiało już wdał się w wyprowadzanie komina. A chociaż mur jego inwencyi nie bardzo był gładki, choć komin nie trafił w zostawiony naumyślnie otwór na środku dachu chałupy, przecięż jakoś to się zrobiło. Z piecem było mnóztwo trudności, ale nałamawszy rąk, głowy i cegły, dał i temu jako tako rady.

Stanęła tedy owa chałupa, ale drzwi jeszcze, okien i stołów brakło. Główne wejście zaparłszy tymczasowo zbitemi z kilku opółków wrotkami na drewnianych biegunach, Bartek puścił się na wędrówkę raz jeszcze, i to nie ostatni.

„Najpotrzebniejsza mi teraz, mówił do siebie w drodze, przyjaźń jakiego stolarza. Poczciwi to ludzie w ogólności ci stolarze! Naród cnot pełen i uczuć najmoralniejszych, nie tak jak mularze, którzy z Żydami jedzą i za pan brat przestają z nimi. Prawda, że stolarze napijać się czasami lubią, ale któż bez słabości? Mularze, teraz zwłaszcza, gdym już piec postawił, wydają mi się dziwnie barbarzyńskim ludem."

Przebiegł myślą wszystkich w miasteczku majstrów stolarzy, ale na żadnego z nich pono wiele rachować nie mógł, bo frasobliwie głową kiwał. Wszystkie interesa z mieszczany najłatwiéj się w szynkach zawiązują i kończą. Bartek więc zasiadł pod wiechą, czekając co mu los nadarzy. Wierzył on bardzo w trafy, w szczęśliwy los, ale przez nabożeństwo nazywał Opatrznością fatalność, któréj ponęty go łudziły.

Nieraz tak sobie samym kłamiemy. Szczęście tak dobrze Bartkowi dopisywało, że się go i nadal spodziewał.

Pod wieczór nadeszła z flaszką wódki, córka majstra cechowego Łukasza, Justysia, którą Bartek znał

i dawniéj. Wypadało koniecznie do niéj się poumizgać, a że to łatwo zwłaszcza po piwie przychodziło Żmujdzinowi, począł od: *Dobry wieczór panience*, przeszedł z dziwną łatwością do zapytań o zdrowie godnéj rodziny, nareszcie odprowadził dziewczynę do drzwi domu ojcowskiego.

Justysia, jedyne dziecię pana Łukasza, wielkiéj używała swobody; wywdzięczając się więc za miłe słówka Bartka, zaprosiła go do środka. Początek tych odwiedzin nie poszedł łatwo, gdyż majster powód ich przypisał nie tak wdziękom Justysi, jak raczéj ponętom flaszki z wódką, niesionéj przez nią pod fartuszkiem. Ale gdy nie w ciemię bity Rugpiutis, rozpoznał przyczynę zimnego przyjęcia, i kwaśno mu ofiarowanego odmówił kieliszka, a cały się zajął Justysią, zmieniła się całkiem postać rzeczy. Stolarz przypomniał sobie nagle, że Bartek był uwolniony przez pana, miał własny kawałek gruntu, i gadano o nim, iż skrycie grosz gromadził. Chłodne więc z początku przyjęcie przybrało rychło pozór gorącéj przyjaźni, zwłaszcza gdy Bartek miodu przynieść kazał i począł zręcznie rzemiosło stolarskie wynosić.

— Bo to zdaje się nic, nic! mówił podweselony. Stoi na pniu drzewo, kloc gruby i bez formy, czarny, niezgrabny. A niech-no do niego zaweźmie się stolarz, patrzaj! już wypiłował tarciczkę, a z tarciczki dłubie, dłubie i robi co dusza zapragnie: stoliczki, stołki, szafki. Ot, ot! aż miło spojrzeć. To mi sztuka! Nie wielka rzecz mularzowi nagromadzić cegły, polepić, i coś tam z tego wybudować, to i bobry panie budują. Stolarz u mnie panie człowiek.

Przy miodzie poczęła się coraz serdeczniejsza gawędka, i od słowa do słowa Żmujdzin wszystkie swoje

starania o nową chałupę szumnie nazwaną dworkiem, z pewnemi jednak potrzebnemi odmianami i poetyzując niektóre okoliczności, opowiedział.

— Gniazdeczko się ściele, rzekł w końcu; a późniéj, ba i czas będzie pomyśleć o ptaszku! Człowiekowi samemu źle i nic do rzeczy żyć. A byle było dwoje, będzie wszystko.

Majster wziął to za delikatne przymówienie się do Justysi, zwłaszcza, że w opowiadaniu dowiedział się o wyprowadzonym już kominie i postawionym piecu. Justysia zaś dla pewnych, bardzo ważnych, niemogących się tu wyłożyć przyczyn, potrzebowała koniecznie iść za mąż, nie w miasteczku, gdzie była nadto znajoma, ale kędyś daléj. Zastawiono więc sidła na Bartka, a Bartek niby dla interesu kilka dni przebawił w miasteczku, uczęszczając także do szklarza, z którym uczynił umowę o okienka, nawzajem mu zobowiązawszy się wypokostować dwie szafy. Że one koniecznie pokostowane być były powinny, o tém postarał się szklarza przekonać. Dziwił się Żyd, jak tego dotąd wcale się nie domyślał.

Ze stolarzem było trudno i szło tępo: trzeba było doprawdy umizgać się do bladéj Justysi, do któréj Bartek wiele serca nie miał, a lękał się, by potém nie roszczono do niego jakich dziwacznych pretensyj i nie kazano mu się żenić. Justysia, niebezpieczna Syrena, szczerze chcąc już pójść za mąż, tak się przymilała do Bartka, że Żmudzin począł zamyślać się o niebezpieczeństwie swego położenia. Napróżno usiłował on prowadzić interesa serdeczne stępo: ona ciągnęła go galopem do celu. Zląkł się, by go za sobą nie uniosła. Historya drzwi i ławek mogła się skończyć tragicznie. Żmujdzin podumał nad tém, zważył wszystko, i wie-

czorem z miasteczka po dwóch tygodniach pobytu, zniknął nagle.

Powróciwszy do chałupy z oknami pod pachą i kupioném narzędziem stolarsko-ciesielskiém, wziął się sam Rugpiutis do roboty ław, stołów, drzwi i polic. Nie szło to łatwo: paczyło się i darło surowe drzewo pod surową ręką; ale choć niegładko, dokonał Bartek dzieła, winszując sobie, że w czas się opatrzył, jak dalekoby go zawieść mogło upodobanie w stolarskiém rzemiośle i Justysi. Jakiś dobry duch czuwał nad Żmujdzinem, bo mu jeszcze jednego niebezpieczeństwa oszczędził. Trzeciego czy czwartego dnia po powrocie z miasteczka, zajęty był właśnie ogładzaniem deszczek na lipowy stół głównéj izby, gdy wyszedłszy na próg gdzie suszył tarciczki, ujrzał z daleka drogą od miasta ku chałupie idącą postać kobiecą. Przeczucie jakieś mówiło mu, że to była Justysia, goniąca za nim i uważająca go już za narzeczonego. Bartek zaledwie miał czas zawołać: „I nie wwódź nas na pokuszenie!" rzucił się żywo na strych, wciągnął za sobą drabinkę i zaszył się w siano. Wkrótce dały się słyszeć kroki nadchodzącéj, a potém wołanie, a potém śpiewka wesoła.

Justysia (doskonale ją widać było ze strychu), ubrana jak od święta, świeża, z minką figlarną, w gorseciku czerwonym, fałdzistéj spódniczce i białéj jak śnieg koszuli, w granatowym kabaciku, stanęła w progu, różnemi głosami wołając na wszystkie strony:

— Panie Bartłomieju! Panie Bartłomieju!

Bartek wciąż szeptał sobie: „I nie wwódź nas na pokuszenie!" A wpatrując się niepostrzeżony w Justysię, zimnym się potem oblewał.

Dziewczyna śpiewając, usiadła na progu, aby po-

prawić pończochy, zajrzała potém do izby, opatrzyła cały domek jakby już swój własny, nie minęła najmniejszego kątka, rzuciła nawet okiem na strych, gdzie marzł biedny Rugpiutis. Wyczekawszy się dobrze, stolarzanka nareszcie położyła w pierwszéj izbie na najwidoczniejszém miejscu tombakowy pierścionek ze szkiełkiem, i powoli, bardzo powoli, oglądając się kilkakrotnie, odeszła nazad do miasteczka.

Bartek zlazł złamany ze strychu, i to nieprędko: obawiał się długo powrotu natrętnéj dziewczyny.

Na tém skończył się romans poczęty, gdyż Justysia, nie mogąc dłużéj czekać, we cztery tygodnie potém wydała się za czeladnika przybyłego z daleka i przyjętego przez ojca na naukę. Bartek zjawił się dopiero na wesele, udając, że z dalekiéj za interesem starosty powraca podróży; a tak dobrze kłamał wielką rozpacz i żale, że Justynka (poczciwe serce) uwierzyła mu i pozostała na długo najwierniejszą jego przyjaciołką. Z jéj nawet natchnienia, posłuszny mąż, poprawił nieco stolarszczyzny w domku Bartłomieja. Na zimę tedy chałupa była zupełnie skończona, opatrzona, i poświęciwszy ją wprzód (bo Bartek był niezmiernie pobożny), wniósł się do niéj dumny dziedzic, nasycając się dziełem swojém.

Wprawdzie ze ścian wiało, komin dymił niepohamowanym sposobem, drzwi żadne szczelnie się nie przymykały; ale to były maleńkie niedogodności w miarę wielkiéj rozkoszy posiadania domu. Aby go zaopatrzyć we wszystko co było potrzeba, począł znowu Bartek uciekać się do przemysłu, jedno sam klecąc, drugie dostając psim swędem. Tak naczynia i spiżarniane zapasy po trochu się zebraly. Justysia teraz

najlepsza przyjaciołka Bartka, odwiedzała go czasem dobrą niosąc radę; on się już od niéj na strych nie chował, nie widząc niebezpieczeństwa.

Nadeszła wiosna, Bartek począł się mocno zadumywać znowu. Zaledwie śniegi zlazły, pomyślał o opasaniu granic dziedzictwa swego płotami. Główny dziedziniec wedle zwyczaju potrzeba było murem z dzikich kamieni obrzucić. W téj stronie Litwy o nic nie łatwiéj niż o kamień. Leżą ich tysiące wszędzie po polach, błotach, nad drogami, najrozmaitszych barw, dziwnych czasem kształtów, niekiedy drobne, to znów ogromne i na wpół w ziemię wryte, zdają się szczątkami potrzaskanego jakiegoś świata. Pokładów skał nie ma w ziemi nigdzie: gładkie, otarte, przyszły tu widać z wielkiemi wody potopu i oschłe zarzuciły łożysko bajecznego morza, co łączyć miało Baltyk z Czarném. O drobne więc kamienie łatwo było, ale węgłowe wielkie i idące na spód bryły, nie bez potu i znoju trzeba było wyważać z ziemi, toczyć na miejsce i ustawiać pod linię. Wierzchnie zebrały się tuż prawie i bez wielkiego zachodu; trochę nakrajanéj na cudzéj łące darniny posłużyło do spojenia wątłéj, ale mającéj z czasem nabyć trwałości budowy. Ogród i łączkę otoczył Bartek żerdziami, o które równie łatwo mu było jak o kamień. Z pomocą przyjaciół zaciągnięto dwa wielkie szare kamienie do wrot i płaską płytę czerwoną na próg chaty, wykuwszy na niéj nieforemny krzyżyk. Dwie mniejsze zastępowały ławki w ganeczku. Podrapawszy ogród motyką, posiał na nim trochę konopi, lnu i jarego żyta.

— Tandem, rzekł biorąc za kij i oglądając się z uśmiechem: potrzeba mnie się ożenić, a ożenić boga-

to, bo inaczéj sobie rady nie dam. Potém pomyślimy o sposobie do życia.

Zaparłszy starannie drzwi chałupy i poleciwszy strzelcowi starosty, który tędy około lasu chodził, aby mu jéj pilnował, Rugpiutis puścił się, pomodliwszy i nażegnawszy drogę, siebie i cztery świata strony. Nie wiedział dokąd idzie, ale stałe miał postanowienie powrócić jeśli nie żonatym, to zaręczonym.

Z tą myślą, zakasawszy poły, utwierdziwszy na kiju nowe bóty, podtoczywszy spodni i rozpocząwszy rozmyślanie o słodyczach stanu małżeńskiego, machinalnie puścił się ku Nowemu Dworowi. Minął jednak nie zastanawiając się Nowy Dwór, i wijącą się pomiędzy wzgórkami drogą zapuścił się daléj, niekiedy tylko spoglądając na słońce. Wiedział, że droga, którą szedł, prowadziła do Zasiszek, ale po co się nią kierował, nie myślał; ze słońca wnosząc, mógł się spodziewać zajść na noc do téj wioski.

Okolica, którą tak wesoło bosemi nogami przebiegał Bartek, pięknym była obrazem, ale nań mało zważał podróżny. Na prawo kamieniste litewskie wzgórza, gdzie niegdzie rzadkim gaikiem odziane, wznosiły uprawne swe grzbiety. Dołem płynął strumień popsuty moczeniem konopi, natkany licznemi kołami, które je wstrzymywały na dnie,—przecięż piękny. Liczne stada gęsi, nadające imię Zasiszkom, rozkoszowały się na wodzie. Brzegi strumienia, gęste zielono-żółte zarastały tataraki. Na piaszczystych wybrzeżach czerniały rozsypane ciemne kształtne jałowce, drobna rokicina z popielatą zielenią tuliła się w wilgotnych dołach. Z gęstych drzew wyglądał dwór biały o wysokim dachu. Były to Zasiszki. Od dworu linią stały wysznurowane

czarne chatki wieśniaków, ich odryny, szopy i stodoły. Gdzie niegdzie z pomiędzy dachów jodła, brzoza lub grabina podnosiła szumiące czoło. Dwór Zasiszki, którego właściciel był, jakeśmy widzieli, srogim antagonistą pana ex-ekonoma, dosyć wspaniale wyglądał z daleka. Na prawo murowana kuchnia, na lewo lamus i sernik wysoki z blaszaną chorągiewką, daléj maleńki skarbiec, patrzały z drzew gęstych.

Mieszkał tu stary kawaler pan Tomasz z Burdzic Burda z siostrą swą panną Weroniką Burdzianką, starą już, ale jeszcze żywą i nietracącą nadziei wyjścia za mąż panną. Ani wiedział jak do wrot dziedzińca doszedł nasz Bartek, i jak musiał się już na wszystkie strony oganiać kijem i bótami na nim wiszącemi, oskakującym go psom.

Burda siedział w ganku. Jak wszyscy próżniacy, którzy czatują tylko na gawędkę, pan Tomasz łaknął jéj wielce, bo nie miał co robić, a pracować prócz tego nie lubił. Obaczywszy człowieka w stroju podróżnym, odwołał zażarte psy, i począł kiwać nań, aby się zbliżył do ganku.

Pan Tomasz (gdyż historya nasza obejść się nie może bez jego wizerunku) był typem dawniéj może pospolitym, dziś zapewne rzadkim. Małego wzrostu, gruby, szerokich ramion, konopiastego włosa, siwych oczek, wielkich brwi mężczyzna. Ospa oznaczyła go desenikiem wyszukanym na policzkach, teraz czerwoną zachodzącym barwą. Oprócz tego był piegowaty, miał plamę od ostudy na nizkiém czole i cztery piękne brodawki na twarzy. Pomimo tych przypadkowych dodatków, uchodził w owych błogosławionych czasach za wcale przystojnego mężczyznę, z mocy aksyomatu, któ-

ry powiada, że chłopu dość być trochę piękniejszym od dyabła. W istocie p. Tomasz miał *to trochę*, i uważał się za kawalera przystojnego. Nizkie jego czoło napiętnowane ostudą niekiedy siną, a najczęściéj koloru brudnego i nieoznaczonego, zdobiła jedna ze czterech brodawek na saméj skroni nakształt przejrzałéj poziomki wyrosła. Na tym pagórku puszczały się już coraz bujniéj i gęściéj długie białe włosy. Druga siostra umieściła się przy nasadzie nosa, trzecia w środku lewego policzka, czwarta na brodzie. Był to rodzaj samorodnéj hiszpanki. Usta pana Tomasza koloru brodawek, były obwisłe, a dolna warga przecięta zupełnie na dwoje, co mu szczególny nadawało wyraz. Ryże, zamaszyste, do góry podczesane bakenbardy, kolczyk w uchu z turkusem, dopełniały fizyognomii. Ubiór pospolity, w lecie mieszkańcom wsi właściwy, składał się z kitla i szarawarów płóciennych z czarnym pasem rzemiennym. Chustki na szyi nikt w domu latem nie nosi, i pan Tomasz cierpieć jéj nie mógł, zwał ją nawet pogardliwie chomątem. Naprzeciw p. Tomasza siedziała panna Weronika Burdzianka, osóbka maleńka z zadartym noskiem, trochę do brata podobna, ale nieskończenie od niego przystojniejsza, z jedną tylko nic nieznaczącą brodaweczką na uchu, którą brać było można za znamię przyczyniające piękności. Skutki umywania starannego ogórkową wodą, okazywały się na prawie białéj jéj twarzy. Tłuściuchna była, okrągła, rumiana, blondynka, lubiąca zaloty, piosenki wieczorne, plotki pokątne, odpusty tłumne, skoki rubaszne, młodzież śmiałą i ochoczą i t. p. Spodziewam się, że z tych kilku słów łatwo już rozumiecie pannę Weronikę, któréj podobnych kapryśnych, dziś wesołych jak ptaszęta, jutro milczących jak ryby blondynek, mają -

cych łzy i śmiech na pogotowiu, zawsze tak jest wiele po świecie! Któż z was jednéj przynajmniéj w życiu nie znał panny Weroniki?

Brat panny, Tomasz Burda, lubił także polowanie, hulankę, czasem kieliszek w dobrém towarzystwie, ale słabość miał prawdziwą, nieszczęsną namiętność do płci pięknéj. Całe życie kochał się, starał lub pokątnie biegał za wszystkiemi ładniejszemi dziewczętami dworskiemi i wiejskiemi, jakie mu się tylko na oczy nawinęły. Panna Weronika udawała, że tego nie widzi, i była zupełnie neutralną, nawet gdy pan Tomasz wdzierał się do garderoby, zostającéj pod jéj bezpośrednim zarządem. Ta powolność panny Weroniki zyskała jéj szacunek i niezłomną przyjaźń brata. Kto wie, azali nie było trochę rachunku w postępowaniu siostry? Tak bajali sąsiedzi, którzy sądzili przebiegle, że zamykając oczy na figle braterskie, siostra zagradzała mu drogę do ożenienia, a tak spodziewała się odziedziczyć kiedyś po nim majątek. Panna Weronika była o dziesięć dobrych lat młodszą od pana Tomasza, pan Burda zaś liczył sobie (gdy go do tego zmuszono, rozumie się), coś około czterdziestu. Ale były to tylko domysły i gadaniny, jakich na wsi pełno, i nic więcéj.

Opadnięty od psów warkliwych Bartek i oswobodzony od nich jedném słowem gospodarza, postąpił ku gankowi, ze zwykłém pobożném powitaniem:—Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! A zkądże to kochanku?

— A! to wielmożny pan mnie nie poznaje?

— Dalifur (to było zaklęcie zwykłe pana Tomasza)—dalifur nie, kochanku. Coś mi się ochapią, ale, ale, czy nie ze dworu starosty?

— Tak, tak, dawniéj—odparł Bartek—a teraz dzie-

dzic gruntu własnego pod X—iczami i domu, a do usług pańskich malarz z professyi. Pokostowałem cały dom w Nowym Dworze, prawda, że tylko na czerwono.

— U tego szlachetki! szerepetki! nowéj daty szlachcica i dziedzica! U tego...

— Łupiskóry! dodał Bartek.

— Cha! cha! wybornie, masz słuszność, Łupiskóra. Ojciec jego handlował końmi, syn z ludzi skórę drze. Inaczéj już go nie będę nazywał. Siostruniu, każ mu dać kieliszek wódki, a jako dworskiemu starki. No, ale cóż cię tu sprowadza?

— Szukam roboty, może jaka u wielmożnego pana się znajdzie?

— Zobaczymy. A powiedzże-no mi najprzód jak to tam w Nowym Dworze?

Bartek zrozumiał, że trzeba mu było pomalować Nowy Dwór na czarno, dziedzica także nie szczędząc; a że nie było w istocie nic bardzo dobrego o nim mówić, puścił cugle językowi.

— W Nowym Dworze—rzekł uśmiechając się figlarnie—jak zwyczajnie w Nowym. Wszystko nowe, pan jak z igły, bóty nowe, bo niedawno chodził w postołach, i państwo nowe, bo niedawno przed panami czapkę zdejmował do ziemi. Ludzie skwierczą, pan cały dzień łaje; jedno drugiego się nie trzyma. Chce coś z pańska kroić, a niebardzo mu się klei, wszędzie z pod pańskiego kontusza ekonomski kańczug przegląda. Kupił już Jegomość dryndulkę po nieboszczyku proboszczu z Chorochorowa, żeby po staremu kałamaszką nie jeździć.

Pan Tomasz słuchając śmiał się i coraz pobudzał jeszcze Bartka do gadania. W końcu tak mu się

żmujdzkie koncepta podobały, że zaprosił przybyłego na noc, i wytrzymał go cały wieczór u drzwi swego pokoju, częstując piwem i gorzałeczką, do których wrodzony jakiś pociąg miał Rugpiutis.

Nazajutrz rano znalazła się jakaś robota, pod któréj pozorem zatrzymał Bartka pan Tomasz. W istocie chodziło mu tylko o łatwą pogadankę, w któréj nie miał wcale potrzeby ze słowami się rachować, gdzie pytanie każde żądaną wywoływało odpowiedź, żart przychodził na zapotrzebowanie, a szeroki i bujny śmiech rozlegał się swobodnie. To też przy ucierającym farby Rugpiutisie, pan Burda przesiedział cały ranek, i pośpieszył do niego znów po spoczynku poobiednim. Ludzie dworscy widząc tak wysoce ceniony talent przez pana, z uszanowaniem poglądali na wielkiego człowieka w osobie Żmujdzina, i pękali od śmiechu ledwie gębę otworzył, a tak byli przekonani, że co tylko powie, warte jest współczucia i sowitych oklasków! Bartek ucierając farby i rozmawiając żywo i ochoczo, rzucał przecięż oczyma po swojemu, tak, że nic nie uszło jego uwagi. Na pozór cały oddany pracy, więcéj się zajmował tém, co go otaczało, niżeli robotą, nad którą zdawał się wysilać. Postaci, ruchy, obyczaje ludzi otaczających połapał zaraz na korzyść swoją, i wiedział już drugiego dnia kto ze sług jest ulubieńcem pana Burdy, kto upodobany i protegowany przez pannę, znał na palcach wszystkie intrygi dworskie. I niekoniecznie w widoku jakichś korzyści czynił te spostrzeżenia, po większéj części przychodziły mu one starym nałogiem, mimowolnie, jak rodzaj zabawki, co to przecię w danym razie i przydać się na coś może. Wśród roboty, ku wieczorowi, nagle kurant stanął w ręku Bartka, usta mu się szeroko rozwarły, głowa

podniosła, szyja wyciągnęła, osłupiał. Przyczyną tego niezwyczajnego podziwu była postać, którą ujrzał na drożynie od obór ku folwarkowi wiodącéj. Było to dziewczę lat może ośmnastu lub dwudziestu (świeżość nie dozwalała sądzić dokładnie o latach, bo świadczyła przeciw innym oznakom wieku), ciemnowłose, czarnookie, maleńkie, zgrabne, krągłe, z pańską miną i chodem jaśnie wielmożnym. Była ona tém, co to dawniéj zwano hożą czarnobrewką, ale i czémś więcéj jeszcze. Owa młodziuchna i śliczna czarnobrewka miała twarz, chód, dumne wejrzenie i ruchy wielkiéj pani, coś szlachetnego i samowolnego w sobie, zdradzającego albo szlachetność wrodzoną, albo bardzo tylko przesadzone udawanie charakteru wręcz przeciwnego naturze. Biała jak mleko, zaledwie nieco zarumienione mając policzki (a po staremu jagódki), z twarzyczką podłużną, prześlicznie zaokrągloną, z oczyma dziwnie jasnemi i wielkiemi, a czarnemi jak dwa węgle, okrytemi powieką oszytą długą ciemną rzęsą i opasanemi wyżéj brwią jak ciemna linia śmiało rzucona przez malarza, z usteczkami rumianemi, drobnemi i podrzuconemi w dwóch końcach ku gorze, z bródką dołkiem oznaczoną, świeża, tak, że puszek zda się jak na nietkniętym owocu jeszcze ją okrywał—szła Franka przesuwając się jak zjawisko przed oczyma Bartka. Czarne jéj włosy, wyczesane i świecące, spadały w dwóch długich warkoczach na kształtną kibić. Ubrana czysto i starannie a nie jaskrawo (miała na sobie blado-różową sukienkę i czarny fartuszek, biały klinik na niemniéj białéj szyjce i czarne trzewiki odbijające od świeżéj pończoszki), wydawała się Bartkowi czémś wielkiém, najmniéj kuzynką jejmości. Wracała wprawdzie z obory od dojenia krów z kluczami w ręku, a za nią niosły

dwie hoże dójki, śmiejąc się i chychocząc, ogromne naczynie z mlekiem, przykryte czystém cedzidłem; ale w Litwie i panienki dworskie często do krów chodzą. Bartek z uszanowaniem zmierzył oczyma śliczną dziewczynę, która ukradkiem spojrzała także na niego, a tak w nią oczy wlepił chciwie, że aż uśmiech mimowolny, ale prędko pohamowany, na usta jéj wywołał. Pan Tomasz nadchodzący schwytał Żmujdzina na uczynku.

— A co to waszeć już, dalifur, na dziewczęta mi się zagapiasz? zawołał pan Burda, śmiejąc się.

Zawstydzony Bartek począł zapalczywie trzeć farbę i szukać konceptu na odpowiedź, aby się wykłamać z zagapienia. Nie chciał być bowiem posądzony o utratę przytomności z jakiegokolwiek bądź powodu, a uczuł, że musi mieć minę dość głupawą. Wyobrażał też sobie, że ta panna nieskończenie być musi wyższą stanem od niego; a kto zna obyczaje litewskie, zwykłą skromność stroju wieśniaczek i chętne zajmowanie się gospodarstwem, nie zadziwi się omyłce Bartka. Była to omyłka, z któréj wkrótce wyprowadzony został przez pana Tomasza.

— A któż to waści wpadł w oko? zawołał Burda: czy sroga Naścia upodobana zazdrosnemu ekonomowi? czy Parasia rumiana ulubienica Fedora gumiennego? czy może sama Franka?

— Wszystkie trzy! rzekł ochłonąwszy Bartek.

— O! dalifur! na raz za wiele! zawołał pan Tomasz, rycząc od śmiechu.

— Dla oczu nie, odparł Żmujdzin, schylając się nad kamieniem.

— A prawda, że Franka ładna? spytał stary kawaler, klaskając językiem.

— Któraż to, wielmożny panie?

— Niby nie wiesz! o! franta kawałek! Różowa sukienka, nieszpetna panienka! dodał Burda rad wielce z rymu i konceptu, przymrużając jedno oko.

— Królewski kąsek!

Tomasz wąsa przymusnął.

—Prawda! rzekł. Ot wiesz co? dodał żywo, jakby myśl chwytając: masz chatę, masz ochotę, jak widzę,— ja ci będę swatem, żeń się i kwita.

Bartek spojrzał wielkiemi oczyma na pana Tomasza, biorąc to za żart gospodarza, i ruszył ramionami, wracając do tarcia.

— Wysokie progi na moje nogi! rzekł wzdychając.

— Dalifur nie! sierota! moja siostra ją z łaski na opiekę wzięła. Nie bez tego, żeby też wydając ją za mąż, trochę grosiwa i coś na gospodarstwo nie dała. Ot gotowa dla waszeci żona, a cóż?

— Nadto coś na wielką panią wygląda.

— A! at! to tylko z daleka!

— Hę? A pan ją zna i z blizka? spytał złośliwie Bartek.

Pan Tomasz pokręcił go za ucho.

— Łotrze! zkąd ci ta domyślność?

— Służyłem we dworze pana starosty, to dosyć powiedzieć.

— Ale u mnie wcale co innego; u mnie tego nie ma.

— Och! och! mruknął Żmujdzin pochylony obiema rękami na kurancie. Znamy wielmożnego pana! Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! Szlachta jadąc na odpust do Chorochorowa z córkami, objeżdża grunta zasiskie.

Pan Tomasz serdecznie śmiać się począł.

— O Frankę nie masz się co bać: to dla mnie zakazane. Faworyta mojéj siostry, od mała przy niéj dniem i nocą.

Bartek głęboko dumał.

— Dyable piękna, rzekł po chwili; ale nadto ma minę wielmożnéj pani.

— A pracowita, dodał p. Tomasz, a łagodna gdyby gołąbek!

— Cóż to ją pan tak zachwala jak zepsuty towar na przedaż?

— Żart żartem, żeń się doprawdy, począł naglić p. Tomasz.

— A gdyby? Mnie bo i potrzeba żony, ale z dodatkami wielu, z pieniędzmi, z krowami, z koniem, trzódką, kuferkami i strasznie bogatéj!

— Franka nie żartem będzie miała wyprawę, rzekł nastając dziedzic.

— Gdyby to nie pan rekomendował! odparł Żmujdzin śmiejąc się.

— A cóż to ja szkodzę? Będziesz miał opiekuna we mnie, nic więcéj.

— I przyjaciela przy żonie? hę?

Obaj poczęli się śmiać, i na tém skończyła się rozmowa. Bartek wieczorem wymknął się na wzwiady i przeszpiegi. Z dość dobrze udaną obojętnością począł wypytywać o Frankę, nim się do niéj zbliżył. Ale wszyscy jakby sobie dali słowo, wynosili jednogłośnie jéj przymioty, najmniejszéj nie okazując plamki.

— Wiesz waćpan co? powinienbyś się z nią ożenić, rzekł Bartek ekonomowi, wysłuchawszy zapalczywych jego pochwał.

— Albo to ja głupi! odpowiedział tamten machając ręką nad głową.

— No? a toż czemu?

— Waćpan—rzekł intendent z miną głębokiego dyplomaty—waćpan udajesz bardzo przebiegłego, a takiéj błahéj rzeczy zniuchać i domyślić się nie możesz.

Franka paniczowi się podoba (paniczami zowią się kawalerowie do lat choćby siedmdziesięciu), a nie śmie się do niéj umizgać, bo dziewczyna harda jak królowa, i wie, że wstydemby go tylko nakarmiła. Czeka więc zaczaiwszy się, a gdy obdarzywszy ją suto i ująwszy, zaręczy za jakiego mazgaja, wtenczas Franka jego! a mężysko, no! potrzyma się za głowę!

— Takie to interesa! zawołał Bartek. Masz waćpan racyę, to bardzo być może.

— Panicz i mnie ją stręczył, i kilku innym, dorzucił ekonom; ale nie w ciemię nas bito. Ładna Franka, piękne dwie krowy, ślicznych para klaczy i inne dodatki, ale, ale... To, „ale" niebardzo smaczne. Ja się dzielić nie lubię.

Bartek twardo się zamyślił, wziął powoli za czapkę, i dawszy w koło „dobranoc!" wyszedł kiwając głową, szturchając w palce.

— E! rzekł w końcu do siebie: kto nie waży, ten nie ma! A no! spróbujmy! Gdyby co najgorszego wypadło, jużciż to ja nie pierwszy podobno; a to takie głupie nieszczęście, że plunąć na nie chyba, a nie gryźć się niém.

Trafem spotkał Frankę na drodze i pozdrowił ją zdjęciem czapki i słowami: „Dobry wieczór!"

Dziewczyna uśmiechnęła się i nie zdała być daleką i trudną do zawiązania rozmowy. Bartek przeprowadzając ją powolnie do blizkiego przełazu, z całym jaki tylko miał dowcipem, śmiałością i wesołością się popisał. Dumna i poważna Franka kilka razy białe śmiejąc się pokazała ząbki. Na ten dzień tak się skończyło.

Nazajutrz kilka razy rzucał farby malarz i podchodził pogadać między bzy pod okno garderoby. Franka

też z kluczami przeszła mimo niego daleko więcéj razy niż wczoraj. Przebiegły Żmujdzin wyrachował nawet, że dłuższą drogę wybrała do lochu pod pozorem, że ta była suchsza.

Na zawiązujące się stosunki p. Tomasz patrzał okiem wesołém i żartował z Bartka. Żmujdzin uśmiechał się, ale nie zapierał i nie bronił, gdy mu zarzucono, że się we France pokochał. W istocie nie było się czego wstydzić.

— No, ale co z tego będzie? spytał nareszcie Burda w tydzień potém, gdy już cały dwór szeptał o miłostkach ładnéj dziewczyny ze żmujdzkim, jak go nazywano, niedźwiedziem.

— Co ma być! odparł Rugpiutis. Niedźwiedź, zwyczajnie niedźwiedź, wydrze barć i pójdzie w las.

— O! tak nie, mój kochanku! szybko i marszcząc się rzekł pan Tomasz. Niedźwiedź mógłby dostać po skórze.

— A jakże?

— Niech niedźwiedź weźmie sobie barć na plecy i rusza.

— Wie pan jak się łapią niedźwiedzie w puszczach około Miednik?

— Nie.

— Ja panu powiem! Przy barci robią klatkę, meszka lezie do miodu, a wpada w niewolę.

— A na co mu się miodu zachciewa?

— Ba! to prawda! Ale gdyby niedźwiedź zabrał sobie barć, to co będzie miał w dodatku?

— Mówiłem ci już nieraz.

Bartek potrząsnął głową.

— Wie wielmożny pan co! Gdybym ja się oże-

nił, a ktoś mi dając posag żonie, chciał kupić moją hańbę...

— To cóż? z przymuszonym śmiechem zapytał pan Tomasz — to cóż?

— Nie dałbym się.

— Któż ci to naplótł banialuk?

— Tak to, samo przyleciało.

— Zkąd? Nie zkąd, tylko z głupich ludzkich języków?

— O! z wiatrem, wielmożny panie!

— Niechże sobie i pójdzie z wiatrem. Waść licho wie co i dla czego wymyślasz. Chcę wyposażyć Frankę, przez wzgląd na Weronikę. Nie mam do niéj żadnéj pretensyi.

Dość naturalnie mówiąc to, ruszył ramionami; ale pomieszany wzrok nie uszedł baczności Żmujdzina.

— Żadnéj pretensyi? spytał głupkowato Bartek, udając łatwowiernego.

— Dajże mi pokój! pogardliwą robiąc minę, rzekł Burda. Taż się to dziecko wychowało u mnie, ani mi się taką piękną wydaje jak wam, bo rosło to ze smarkacza pod memi oczyma.

— No, kiedy tak, to prosiłbym pana... schylając się do kolan Burdy zawołał Bartek:— prosiłbym pana o Frankę i o poparcie życzenia mojego u wielmożnéj panny. Niech ją państwo wydadzą za mnie. Mam grunt własny, dworek (nigdy Bartek chatą nie nazywał tego, co istotnie nią było), mam i sposób do życia.

Radość źle utajona błysnęła w oku pana Tomasza, który natychmiast poszedł do siostry. Bartek porzucił robotę i wymknął się ku garderobie, dając z za bzu znaki France.

Franka na próg wybiegła.

— A co? spytała.

— A cóż! słowo się rzekło.

— A pan?

— Ma mnie z pozwoleniem za dudka, poszédł wesolutki jakby się dopiero na świat narodził. Ale pamiętaj panienko śliczna!

— Wszakżem przyrzekła!.... dumnie przerwała Franka.

— Ja od dziś zaraz ruszę ztąd niby do domu, ale na zawołanie od zmroku zawsze czatować będę. Jeśliby panu przyszła jaka dziwna fantazya, proszę mi dać znak albo zawołać, a ja się przystawię w mig.

Tych kilka słow tylko powiedziawszy, rozeszli się szybko. Gdy p. Tomasz powrócił przed officynę, już Bartek zamyślony, z udaną pilnością czyścił starannie zaklapane pendzliska.

— Ciesz się, Rugpiutis! rzekł: panna pozwala, ja także, ma się rozumieć. Dajemy France pięćset złotych, dwie krowy, dwie szkapy ze źrebiętami, dziesięć owiec i wyprawę przystojną. Dla sieroty trzeba coś, puszczając ją w świat, uczynić. Dzisiaj was zaręczym, a po zapowiedziach ślub. Ale pamiętaj szanować żonę, żebyśmy nie żałowali tego, co dla was czynimy.

Żmujdzin rzucił się do nóg z pozorném wylaniem, i uściskał je, a podnosząc się, rzekł:

— Wielmożny panie, gdyby nie jedna wada, jestem pewien, że Franka byłaby ze mną szczęśliwa.

— No i cóż to?

— Z rodu wszyscy jesteśmy niepohamowanie zazdrośni — Boże odpuść! — źli jak szatani i podejrzliwi haniebnie. Już to tak się rodzimy wszyscy Rugpiutisy, ze krwią się to przelewa widać. Mój dziad żonę

swoją po pijanemu zabił z powodu jakichś nieforemnych podejrzeń. Ojciec nieraz okrutnie i najniewinniéj pierwszą swoją łomotał. Stryj skaleczył srodze komissarza, który się zbyt przysuwał do jego Teklusi.

— Bądź sobie zazdrosny jak chcesz! rzekł markotnie pan Tomasz, odgadłszy do czego to zmierzało. Co mi tam do tego, że wy jesteście zazdrośni!

I odszedł, z ukosa spoglądając na Bartka. Wieczorem odbyły się zaręczyny, suto i huczno obchodzone. Panna Weronika złośliwém wejrzeniem mierzyła Frankę, zawsze dumną i milczącą, Żmujdzina na pozór oddającego się wesołości, i brata, który szeptał coś do ucha raz w raz dziewczęciu. Tomasz zachował się zresztą bardzo przyzwoicie, a postrzegłszy, że Rugpiutis szepty jego uważa, z podełba już potém tylko rzucał niekiedy okiem ku pięknéj czarnobrewie, jakby mówił w duchu:

— Co się odwlecze, to nie uciecze!

Stara panna zdawała się być doskonale o wszystkich prawdopodobnych skutkach tego związku oświeconą; znać to było z jéj miny szyderskiéj i błyszczących oczek. Bartek ciągle udawał największe zaufanie i uszczęśliwienie niczém niezmącone, śladu niepokoju i podejrzliwości nie pokazał po sobie. Franka czerwona była jak wiśnia, onieśmielona, ale dumna jak zawsze i nieprzystępna. Ludzie dworscy chychotali, wskazując palcami to ją, to pana, to Bartka, widzącego wszystko, nawet szyderstwo, ale grającego ślepotę umyślną. Hulanka i tańce przeciągnęły się długo w noc; narzeczony nie spuszczał oka z Franki; gdy się rozeszli, czekał aż p. Tomasz do siebie pójdzie, i położył się dopiero spocząć w krzaku bzów pod oknami panieńskiego pokoju.

Rano pożegnawszy wszystkich, zabrał manatki i w oczach ludzi poszedł drogą wiodącą do Nowego Dworu i swojéj chaty. Pan Tomasz odprawił go, opłaciwszy suto i uczęstowawszy starą gorzałeczką na drogę, niedość umiejąc pokryć, jak był rad, że się go pozbywa.

Po odejściu narzeczonego, zaczął dopiero nadskakiwać po swojemu France, która uprzedzona, spodziewała się tego. Stara panna zajęła się tymczasem wyprawą, która nie tak rychło mogła być ukończona, a dla niéj nawet nastawał pan Tomasz, aby ślub odłożyć. Chciał, jak powiadał, przyzwoicie opatrzyć sierotę. Tymczasem czyhał, nie spuszczając z oka najmniejszéj sprzyjać mu mogącéj okoliczności.

Smutna i brudna historya! Lecz gdybyśmy wszystko niemiłe i wstrętliwe wyrzucać chcieli z życia i powieści, cóżby pozostało? Tak mało jest pięknego i czystego! Życie się składa ze świateł i cieni, a powieść, zwierciadło życia, musi nieraz zejść w brudne zakręty żywota, aby odtworzyć w pełni to, co się zowie światem i człowiekiem. Ileż to zgubionych istot przez podobnych panów Burdów, co zerwać owoc i uwieść młode stworzenie namową, upojeniem, siłą, za nic sobie mają!

Na ten raz jednak spełzły zamiary pana Tomasza. Dziewczyna na jego poszepty odpowiadała zawsze milczeniem ledwie nie pogardliwém, lub śmiechem gorszym jeszcze. Czasem brała miłostki za żarty, czasem gniewała się prawie. Burda przywykły do łatwych zwycięztw, zrozumieć tego nie mógł. Czas ubiegał z okrutną szybkością, zapowiedzi zbliżały się, a wyprawa, jakkolwiek do niéj coraz coś nowego dodawano dla przeciągnięcia, już była na ukończeniu. Co noc Bartek

niepostrzeżony, niespokojny czuwał pod oknami narzeczonéj.

Nareszcie do ostatniéj niecierpliwości przywiedziony, jednego dnia pan Tomasz, srogie sobie czyniąc wyrzuty, postanowił wcale nie w porze, po ciemku, wkraść się do pokoju siostry, dokąd od niejakiego czasu przeniosła się była Franka, mimo uwag panny Weroniki. Nie wiadomo dla czego stara panna nigdy na klucz drzwi swoich w nocy zamykać nie dozwalała. Sama sypiała w rodzaju-alkowy ciemnéj, do któréj prowadziły drzwi osobne. Brat troskliwy o wygody siostry, niedawno jéj w ten sposób urządzić kazał oddzielną sypialnię. Służąca, którą teraz zastępowała Franka, sypiała w przedpokoju na wielkim kufrze, a raczéj gdańskiéj skrzyni, na któréj uścielano sienniczek i ubogą pościółkę przenośną.

Gdy wszyscy we dworze już się byli pokładli, skrzypły drzwi, ale razem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Franki:

— Złodziéj! złodziéj!

Głos ten przenikliwy, donośny, rozszedł się po całym domu. Panna Weronika zaszyła się w pościel, lękając nadzwyczajnie złodziei i rozbójników. W téjże chwili prawie kilku ludzi ze światłem zjawiło się u okien i we drzwiach. Bartek w ubraniu podróżném wpadł z lichtarzem do izby.

— A! to pan! zawołała ze wzgardą Franka.

— A! to wielmożny pan! powtórzył, kłaniając się nizko, Żmujdzin. Gdyby panna Franciszka wiedziała o tém, nie krzyczałaby tak głośno.

To mówiąc, uśmiechnął się, ale na żółto.

Pan Tomasz w niepojętym kłopocie zaszył się w kątek, i mrugał, kiwał, aby go nie wydawano. Wstyd

mu było siostry i ludzi. Dziwną rachubą, czy nie wiem jakim ostatkiem wstydu, pan Tomasz sam nadużywając, najsrożéj ludziom na pozór wszelkiéj bronił rozpusty. Najpierwszy do posądzeń, bez najmniejszego powodu najczęściéj rzucanych, karał ostro, a sam udawał człowieka najniewinniejszego, najprzykładniejszego, choć wszyscy otaczający go wiedzieli jak się prowadzi i co dokazuje. Powinni byli udawać, że o niczém nie wiedzą. Bartek wchodząc natychmiast w położenie dziedzica, obejrzał się, rozśmiał, i rzekł niby do stojących za nim u drzwi:

— To nic, to nic. Kot półkę zrzucił i stukotu narobił. Dobry wieczór pannie Franciszce, przechodziłem dziwnym trafem mimo dworu, wracając z Krumli—posłyszałem jéj głos...

To mówiąc, dał znak panu Tomaszowi, że wszystko się pokryje. Ludzie odeszli, światło zagasło, pan Tomasz cicho się wysunął z Bartkiem, który rzekł do Franki:

— Niech jednak panienka drzwi zamknie na klucz, bo kot czasem i klamkę otworzy, jak się sera dowącha.

— Wielmożny panie, rzekł do dziedzica, gdy zostali sami: a co będzie?

— A cóż ma być? Dziękuję asanu i...

— Wielmożny pan, jak uważam, słowa nie dotrzymał i wcześnie chciał mnie wystrychnąć na kozierożca. Ja pod tym znakiem nie rodziłem się. Już nie wypada mi się z Franką żenić.

— Hę! chcesz co wytargować?

— Na co tu targ, kiedy to taka sprawa, któréj opłacić nie można.

— Ale ja palca jéj nie tknąłem!

— Gądaj pan zdrów, a ja wiem co wiem! i po wszystkiém!

Tomasz rozśmiał się przez próżność, ale zaklął się zaraz:

— Dalifur, panie Bartłomieju, głowa mnie bolała, chciałem dostać z półki konwaliowéj wody, i...

— Gadaj pan zdrów! A ja wiem co wiem! powtórzył Bartek. Tymczasem prosiłbym wielmożnego pana dać temu pokój nadal. Za to, co się stało, nie zawadzi mi gęby zatkać, nie przeczę, bo jak ludzie, nie wyjmując i mnie, zaczną paplać... Pan się stara o Magdalenę Snopkównę z Suchéj Wierzby, wiem. Ja gotowem panu sam popsuć językiem interesa. A tam drażliwi na to.

To powiedziawszy, Bartek odszedł, ukłoniwszy się, i zniknął. Pan Tomasz gniewny i zrażony, zaprzestał starań, choć w duchu prędzéj późniéj poprzysiągł zemścić się na Żmujdzinie. Różne myśli przychodziły mu do głowy: to odmówić posagu, to dać chude szkapy i krowy stare; ale rachował zawsze na przyszłość, nie chciał zrażać Franki, i prędko je zarzucił. Przy weselu okazał się wspaniałym, i państwo młodzi odjechali udarowani, ubłogosławieni przez pannę Weronikę i jak tylko być może najszczęśliwsi.

Pan Tomasz stał w ganku, patrząc na odjazd z dość głupią miną, skrobiąc się w głowę. Siostra się uśmiechała nad pończoszką, on powtarzał po cichu:

— Li, li, li, zakpili! Dalifur, frant ze Żmujdzina... Proszę o kieliszek starki, panno Weroniko... Kat go wiedział, że licho takie przebiegłe.

Gdy Burda odśpiewuje tak elegię w ganku na gościńcu, Bartek pieje dytyramb radosny, zacina parę tłustych klaczy, za któremi biegną dorodne ło-

szaki, i dwie krowy śliczne wloką się przywiązane do ładownego wozu. Żona siedzi na zielonym kufrze okutym porządnie. Obok niéj rozstawione w przyjemnym dla oka właściciela nieładzie pudełka, nasypki, graciki.

Z boku wspaniały, malowany wygląda kołowrotek i przęślnica. Za niemi pastuszek najęty pogania kilkoro owiec i świnek długouchych, ciągle wyrywających się z gościńca dla skosztowania co rośnie w polu. Bartek coraz to się obejrzy na swoją Frankę, piękną jak królowa, ale smutną czegoś, zadumaną. To uśmiech radości, to szyderstwa (gdy spojrzy ku dworowi) błyszczącém mu strzela okiem. Niebardzo zważa na kamienie rozsypane po drodze, na których podskakują koła wozu, tak urocza dla niego twarzyczka żony. Coraz to ją obejdzie oczyma i pokiwa głową, jakby swojemu szczęściu nie wierzył; potém zatnie klacze, śpiesząc do swojéj chaty. Późno w wieczór stanęli w Brzozowym Ługu (tak się zwało uroczysko, gdzie pobudowana została chata Bartka) i zastali tam już kilka wózków gości sproszonych na przenosiny z miasteczka i ze dworu Starosty. Franka pomieszana ledwie spojrzała na wystrojoną chatkę, na zastawione stoły i zebraną ciekawą gawiedź. Noc była piękna, tańcowano w dziedzińcu po księżycu i przy łuczywach do rana, pijani spoczywali pod cieniem drzew i płotem kamiennym.

Nazajutrz około południa całkiem już pusto było w chacie, państwo młodzi zostali sam na sam. Bartek się zamyślił, uprzątając w sieni.

— Warto pójść Ś. Antoniemu podziękować za ożenienie, bo com się ożenił tom się ożenił. Prawda to być musi, że śmierć i żona od Boga przeznaczona! Gdzieby się to kto spodziewał! Z takiego dworu taki

skarb wywieźć! Bo to skarb i klejnot! A! anioły malowane po kościołach nie tak piękne. Skromna i posażna, wszystko co trzeba w dom się wnosi. Co zaś najlepsze, że łagodna jak baranek, pokorna i słuchać mnie będzie. Będęż sobie pan! będę sobie pan!

To mówiąc, zaśpiewał:

— „I o nic nie dbam! i o nic nie dbam!"

Franka już chodziła po wszystkich kątach i gospodarzyła w śpiżarni, w obórce, koło koni nawet; ustawiła kufry swoje (w których posag gotówką wypłacony zamknęła), podpierając na cegłach w głowach swojego łóżka. Rozwiesiła obrazki świętych przywiezione z sobą; zgotowała obiad, nakryła do stołu, i z progu zawołała męża na jedzenie. Bartek z założonemi w tył rękoma przechadzał się po dziedzińcu.

Wszystkiemu był rad i w wyśmienitym humorze. Po obiedzie, otarłszy usta i przeżegnawszy się, rozparł się Bartek na stołku i spytał żony:

— A gdzie duszko klucze od pieniędzy?

— U mnie! krótko i sucho odpowiedziała żona.

Téj odpowiedzi takie towarzyszyło wejrzenie, że Bartek osłupiał.

— A! a! wybąknął: ja myślałem...

— Jak będziemy potrzebowali—mówiła daléj Franka — to się poradzim i dam.

— Poradzim się! poradzim! powtórzył kiwając głową Bartek. Ja bo dotąd tylko siebie samego, a czasem snu się radziłem.

— Naturalnie, bo mnie nie było. Teraz będziesz się mnie radził, przemówiła żona.

— Naturalnie! zagadał głupiejąc Żmujdzin.

— A jakże!

W oczach i mowie Franki malowała się taka moc charakteru, pomimo słodyczy i wdzięku jéj wzroku w wyrazie całéj twarzy rozlana, że Bartek dopiero postrzegł, iż sobie panię kupił.

— Oj! czemu to mnie panna tego wprzódy nie powiedziała! mruknął: byłbym się jeszcze namyślił wprzód czy się żenić.

— Teraz już się nie ma co namyślać, odpowiedziała żona. Poszłam za ciebie, bo mi gorąco było wyjść z tego domu, choć wiem, żeś frant, że lubisz się zakrapiać i próżnować, a pracujesz tylko gdy ci przyjdzie ochota, a bardziéj fantazya. Ale to się przerobi z pomocą bożą.

— A na cóż to się przerobi? spytał Bartek coraz bardziéj zdziwiony.

— Będziemy oboje pracowali szczerze, ciągle i zbierali...

— A po dyabłaż zbierać?

— Na przyszłość, na złą godzinę.

— A dziś?

— Dziś, choćby przycierpieć przyszło...

— Wiele aspani lat? spytał nagle Żmudzin, powstając.

— Dwudziesty pierwszy.

— Nie może być! Musisz aspani jak koń wrześniak pokazywać tylko na tyle, ale mieć daleko więcéj.

Franka się uśmiechnęła.

— Będziesz miał dostatek w domu, gospodynię, pomoc, ale trzeba statkować.

— Całe życie statkuję, bo nie mogę inaczéj.

— I zapomnieć o Justysi.

— Aspani o niéj licho szepnęło!

— Nie, ludzie na wczorajszych przenosinach... Zapomnieć o hulance, gorzałeczce i włóczęgach.

— Za pozwoleniem! rzekł Bartek, któremu się w oczach ćmiło, bo swobodę i włóczęgę nadewszystko cenił. Ja sfiksuję z waćpanią. A co to ma znaczyć?

— Ma znaczyć, że waćpan że mną żartów nie myśl stroić. Sam nie masz rozumu, to będziesz mnie słuchał.

— Ja nie mam już i rozumu! nie mam rozumu! nie mam rozumu! A! a!...

Żmujdzin schwycił się za głowę i wyskoczył z izby.

— Jezu! Jezu! co ja zrobiłem! co ja najlepszego zrobiłem! Otom wlazł! A co to będzie za rok, za dwa, kiedy dziś takie licho?... Oj źle! trzeba radzić.

Chciał zaraz ujść z domu dla szukania rady po świecie, ale świeża, młoda twarzyczka żony ułatwiła zgodę i uległość do czasu. Choć Bartek skrobał się w głowę często i chodził dumać pod płoty kamienne, kluczy od kuferka, o które się starał, przypochlebiał, których szpiegował, macał po kątach, szukał po nocach, żadnym sposobem dostać nie mógł.

— Wyszedłem na dudka! rzekł jednego ranka po miesiącu pożycia, i drapnął rano do OO. Kapucynów do O. gwardyana na poradę.

— Czy znowu po wapno? spytał starzec śmiejąc się: czy po należne ogórki?

— Aj! aj! gorzéj, ojcze wielebny: po radę, po radę, bom wlazł w biedę po uszy.

— No, cóż się stało? Piec się obalił?

— Żebyż piec się był obalił!... Ale, ojcze dobrodzieju... wilczysko się ożeniło, uszy opuściło.

— Oooo, doprawdy! A cóż to waść się tak zawiódł na żonie?

— Uchowaj Boże! Takem się dobrze ożenił, tak wyśmienicie, tak doskonale, że aż nadto.

— Cóż to tam, za nadto? Pan Bóg dał może przychówek przed czasem?

— Uchowaj Boże! To cnota sama!

— Cóż, stara i brzydka, jak się waść rozpatrzył? spytał Kapucyn.

— Lat dwadzieścia, świeża jak jagoda, a śliczna gdyby anioł.

— Nie mieszaj waść aniołów do tego... Więc uboga?

— Oj nie! Dla mnie to nawet i bardzo bogata, i nadto.

— Chyba głupia zbytecznie, włos długi a rozum krótki.

— Żebyż to, dobrodzieju, ja był na taką trafił! Ale w tém sęk, że za nadto rozumna!

— Źle się wiedzie?

— A źle, bo mnie chce gwałtem za nos wodzić.

— Cóż to, ona waszeci na złe naprowadza?

— Zapewne nie na dobre; chce, żebym od rana do nocy pracował, i co gorsza, żebym w domu siedział.

— O!...

Gwardyan począł się śmiać tak serdecznie, że się aż za brzuch i boki z kolei podtrzymywał.

— Wielebny ojciec się śmieje, a wiadomo, że gdzie ogon rządzi... Jak to może być, żeby kobieta miała w domu być głową?

— To nie daj jéj być głową i rządzić.

— A kiedy nie mogę.

— Widać kochanku, żeś słabszy. Zdajże się na

wolę bożą. A kiedy cię żona do niczego złego nie prowadzi, podziękuj jeszcze.

— Ja myślałem, że mi co ojciec poradzi!

— Naprzykład, cożeś mógł myśleć, że ja ci poradzę?

— Myślałem, że ojciec jéj to rządziszewstwo z głowy wybić zechce. Jabym ją tu przywiódł. Bo to nawet bezbożna rzecz kobiecie chcieć rej prowadzić i prym brać przed mężczyzną. Wszak to wiadomo, ojcze dobrodzieju, że Ewa jak się poczęła rządzić w kraju, tak tém swojém gospodarstwem cały ród ludzki zgubiła. Od téj pory zawsze, gdzie tylko niewiasta króluje, źle się musi dziać... Ztąd, jak mnie proboszcz nauczył, Fe — mina... pfe, mina!

— To prawda, rzekł Kapucyn; ale to złe dawno zostało zmazane, a waść nie do rzeczy Pismo cytujesz i łacinę tłómaczysz.

Bartek poskrobał się w głowę.

— No, cóż mi ojciec dobrodziéj radzi?

— Słuchaj póki na dobre, a gdyby uchowaj Boże do złego cię namawiała, oprzéj się; jesteś głową domu, masz prawo.

— Ja jéj to ciągle powtarzam, żem głowa domu, ale cóż! ona się śmieje z tego. I co jeszcze! Ma kilkaset złotych posagu, a jak mi Bóg miły, grosza jeszcze z nich nie widziałem, pieniędzy z kufra nie puszcza, a mnie każe iść pracować, zarabiać. Chciałem być na odpuście, na mszy świętéj, nie dała mi nic na odwilżenie się i posiłek. Opuściłem odpust; ot i grzech. Gotowa duszę moją zgubić. To kryminał!

Ojciec gwardyan odprawił Bartka, naśmiawszy się z niego, i rzekł, zamykając drzwi celi: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma."

Bartek poszedł do Justysi na poradę, i spotkawszy się z nią w rynku, rozpowiedział jéj swoją przygodę Justysia pokiwała głową jakby mówiła:

— Podwójnie żałuję teraz, żeś się ze mną nie ożenił!

A potém:

— Wiesz co, Bartku? Wybierz-no się w drogę, a na długo. Udawaj gniew, powiedz, że ją chcesz porzucić. Zobaczysz, jak ci zmięknie. Oddal-no się tylko na jaki czas z domu.

— A pan Tomasz? rzekł Bartek zafrasowany.

— Już on do was nie zajrzy.

— Ej! kto to wie! Pewien jestem, że czeka tylko, aby ja z domu.

I jakby co go ukłóło, szarpnął z miasteczka wprost do domu, ale szpiegując żonę, zaszedł od lasu! U płotu stał właśnie koń pana Tomasza i pies leżał przy koniu.

— Ot! niedarmo mnie coś piknęło! rzekł w duchu. Podsłucham co robią.

I podkradł się powoli pod okno.

Franka śpiewała głośno, pan Tomasz mruczał. Jedno było za stołem, drugie na ławie daleko.

— Źle! rzekł Bartek: odsunęli się od siebie. Może mnie się spodziewają... to musi być udanie.

Ale próżno zaczaiwszy się, stał pod oknem: nic nie posłyszał, ani się dowiedział, krom że Franka żadnych ofiar przyjąć nie chciała.

— Ale to Herod baba! rzekł w duchu: niczém jéj przełamać nie można! Szalony charakter.

I wszedł do chaty z nienacka.

— A! pan wielmożny tu!... zawołał niby z podziwieniem.

— Od dwóch godzin czeka na ciebie, odparła Franka; chce ci dać robotę w drugiéj wiosce swojéj, którą niedawno okupił.

— Tak! tak! a wielmożny pan będzie tymczasem mojéj chałupy pilnował! O! nic z tego.

— Ja bez ciebie się obejdę, i sama sobie dam radę! pogardliwie odpowiedziała kobieta.

Pan Tomasz zgodził się o jakąś wcale niepotrzebną robotę, i mrucząc odjechał. Bartek tymczasem zaraz po jego odjeździe, nauczony od Justysi, odegrał z żoną scenę przygotowaną. Ona zniosła ją, jakby się do tego przygotowała wcześnie, i powiedziała na końcu:

— A! chcesz iść, to idź sobie z Bogiem! Szczęśliwéj drogi, panie Bartłomieju!

Bartek do żywego obrażony, poszedł, włóczył się po odpustach, pił, podglądał wieczorami ukradkiem pod chatę na żonę, ale nic, do czegoby się mógł przyczepić, nie wypatrzył. Franka wzięła sobie dziewczynkę z miasta i starego dziada pijaka najęła za stróża, krzątała się około gospodarstwa, szyła, śpiewała.

Widząc, że gniew i oddalenie nic nie pomaga, Bartek powrócił. Żona spytała go, co do domu przyniósł?

Bartek odrzekł dumnie:

— Brzuch próżny! A gdybym co i miał, to do mnie tylko należy — rozumiesz jejmość!

— Nie, Bartku! odpowiedziała powolnie Franka: co moje to wspólne, i co twoje to wspólne. Ale nie dla tego, aby stracić, lecz żeby zbierać. Już też i czas o tém pomyśleć, bo wkrótce Pan Bóg da nam dziecko.

Zwyczajem swoim Żmujdzin poskrobał się w głowę, ale nie znalazłszy języka w gębie, zamilkł. Urodzenie

syna rozdobruchało go nieco, zjednoczyło małżeństwo i ustaliło władzę żony. Franka w niczém nieposzlakowana, pracowita, zawsze wesoła i spokojna, odważna za dwoje, codzień piękniejszy objawiała charakter; z głupia frant Bartek nie umiał się na nim poznać, ani go ocenić. Dla niego żona nakazująca pracować, oszczędzać, była nieznośną. Uciekał więc jak najczęściéj z domu i niechętnie do niego powracał. Wkrótce dał Bóg i więcéj dzieci, a matka sama prawie wychowywała je jak mogła. Żmujdzin bowiem ze swych wędrówek rzadko jaki grosz przyniósł, tracąc co miał na hulki, na pijatykę, a daléj w lata idąc, często walał się opiły po szynkach i gościńcach. Charakter jego z wiekiem nie zmienił się, ale uległ naturalnie prawu powszechnemu wzrostu, rozwinięcia: Ceniony jako dowcipniś, wesoły gamrat, umiał zaczmucić wybornie, zręcznie grosz wyłudzić, pochlebić, pokłonić się, słabość ludzką wymacać i z niéj skorzystać bezwstydnie. Grosz łatwo nabyty nigdy też go się nie trzymał, bo go przepił lub z równą łatwością, jak sam wyrwał komuś, dawał wydrzeć sobie. Nadzwyczaj nabożny, nie opuszczając żadnego odpustu, uroczystości, nabożeństwa solennego, zawsze się w końcu upijał, a czasem i pobił. Po pijanemu warzyły mu się dziwy w mózgu rozpalonym, które wytrzeźwiony opowiadał jako istotne wypadki, widzenia, ekstazy, zjawiska i t. p., najpewniejszy będąc, że miał je przed sobą rzeczywiście.

Opowiadał naprzykład, że raz ukazał mu się Ś. Antoni, grożąc palcem po nosie za to, że dziewięciu wtorków (nowenny) nie odpościł; o tém, że go w drodze szatani całą noc wodzili pod postacią strzelców, zawiedli do jakiéjś chałupy, upoili, dali pieniędzy na

drogę, lecz gdy się przebudził nazajutrz, znalazł się w głębokiéj puszczy, z któréj salwował się modlitwą, a w kieszeni pełno osikowych trzasek i czegoś gorszego jeszcze. Innym razem szatan, osobisty nieprzyjaciel jego, miał go do żony i dzieci na swój dworek, stojący na trzęsawisku, przez grobelkę z kości ludzkich zaprowadzić. Tam szatanica, bardzo piękna kobiecina, koniecznie go spokusić chciała, ale on jéj w oczy plunął i przeżegnał, wszystko w chwili znikło, a Bartek wyrzucony w powietrze, padł w sadzawkę p. Burdy. Szczęściem rybak tonącego odratował. Ile razy spotkał go kto pijanym, zawsze oszołomienie i nieprzytomność swoją składał na szatańskie figle i prześladowanie doznane. Bredni tych niewyczerpanych lud słuchał z uwagą i wiarą. Miewał Żmujdzin i sny prorocze, umiał zgadywać zguby i kradzieże, leczyć febry i robaki bydło napadające karteczkami jakiemiś, krwiotoki zamawiał skutecznie, ale zawsze z nabożeństwem jakiémś lub znakami świętemi.

Malarstwo zwłaszcza, że niewiele miał praktyki, bardzo mu się podobało, i ostatecznie na niém poprzestał. A że pokostować niezawsze było co, począł więc odważnie, choć *invita Minerva*, malować poczwarne chorągwie z trupiemi głowy, obrazy wotalne i t. p. do cerkwi i kościołów wiejskich. Skutkiem kilku prób podobnych wziął się za artystę i zdumniał we troje. Nie zniżał się już, chyba rzadko, do pokostowania, krom krzyżów naddrożnych, które przez nabożeństwo, spotkawszy na drodze, nócąc koronkę na wpół pijany często, zapalczywie obmazywał czarno, zielono lub żółto wedle zapasu podróżnego.

Co się tycze jego obrazów, trzebaby się przenieść w owe wieki pierwiastkowe, po których na całéj kuli

ziemskiéj pozostały nieforemne postaci, trzebaby owe roboty poprzedzające historyę malarstwa zobaczyć, aby z nich wyobrażenie powziąć o pracach Bartka Rugpiutisa. Przypadek był mu jedynym mistrzem, ręka jechała po płótnie w nadziei, że z nieforemnych rysów coś się przecię sklei. W ogólności ręce jego figur dla wygody bywały długie po kolana, twarze przeciągłe, nogi laskowate i cienkie, oczy po chińsku ku skroniom zwrócone w kątach, nosy grubawe, usta zaś dwojakie: dla kobiet małe i malinowe, dla mężczyzn szerokie i czerwone. W nosach Bartka nie było wielkiéj rozmaitości, znał ich tylko podobno trzy gatunki: nos orli długi, nos zadarty (którego używał dla Judasza i łotrów) i nos kształtu kaczego, wygięty i wystający naprzód. Oczy malowały się różnie: wzniesione w niebo, spuszczone w ziemię i patrzące wprost. Oko z profilu widziane, malował Bartek dobrodusznie całkowitém i pełném, utrzymując, że ono tak dalece odmienić się nie może, żeby aż trójkąt robiło. Suknie i draperye mocno kolorowane w cieniach, a blade w miejscach oświeconych, składały się tak dziwnie, że prawdziwie warte były zastanowienia. W ogólności wypukłości ciemno, a zagłębienia robiły się najpowszechniéj jasno. Z czasem nabywszy wprawy, Rugpiutis, potworzył na swój użytek więcéj typów, które powtarzał nieskończenie. Kolorowane sztychy roznoszone przez Węgrów, wielką mu w studyach jego bywały pomocą. Największym obrazem jego ręki było Ukrzyżowanie, ofiarowane do blizkiego kościoła w Chorochorowie, gdzie je przyjęto wdzięcznie; Kapucyni bowiem zawieszenia go odmówili. Na niebie czarném jak atrament malowały się postaci białe jak płótno, długie, chude i połamane. W oddaleniu piorun frendz-

lowato leciał na Jeruzalem. Na wierzchu głównego krzyża był kogutek blaszany, zwyczajem naddrożnych figur, naiwnie posadzony tu przez Rugpiutisa. Jego ofiara Abrahama z podpisem: *Ne utnesz Abrahame Izaaka*, znana jest tak powszechnie wszystkim u nas amatorom malarstwa krajowego, że jéj opisywać nie widzimy potrzeby; powiemy tylko dla przypomnienia tego arcydzieła, że Abraham zabiera się strzelać z pistoletu do syna, a gdyby nie anioł, który wielce dowcipnie wystrzał niepodobnym czyni, trafiłby niechybnie Patryarcha, tak dobrze wycelowaną broń artysta przedstawił. Rugpiutis podniosłszy się do malarstwa obrazów kościelnych, tak spyszniał, zdumniał i poczuł wielkim, że całym już począł pogardzać światem.

Wyłysiał też od myśli i pijaństwa, co mu nadawało wyraz poważniejszy, zwiększając małe z natury czoło.

Jejmość rządziła zawsze domem, ale malarz wędrowny, większą część życia spędzający na pielgrzymkach fantastycznych, uchylał się z pod jéj władzy, i unikając jéj milczkiem przeciwko nadużyciom protestował. W domu milczący był i gniewny, ale hamując się potrafił przyzwoicie obchodzić. Najsrożéj gniewał się na żonę za to, że nie mógł do niéj za nic się przyczepić, że postępowanie jéj było nieposzlakowane i nie dawało powodów nawet do najmniejszego podejrzenia. Rugpiutis cierpiał zawsze obwiniony, nigdy obwinić nie mogąc. To mu życie truło.

— Żeby też choć jakiekolwiek głupstwo zrobiła! powiadał. Ale nie. Już to takie moje szczęście!

Tak płynęły lata małżeństwu naszemu. Pan Bóg dał im syna i dwie córki, które wychowywały się pod

okiem Franki, pomimo bowiem czułości jaką okazywał im ojciec, nałóg włóczęgi i pijaństwa nie dozwalał mu nigdy długo na miejscu usiedzieć. Osamotniony w domu zaczynał ziewać, nudzić się, mruczeć, gderać, gniewać się, i rozdąsany chwytał za kij, ruszał do miasteczka, potém dalej a dalej gdzie oczy poniosły. Od dworu do dworu wszędzie znajomy, wszędzie witany dla swéj wesołości i rozlicznych talentów kabalisty, wróżbity, artysty i plotkarza, choćby roboty żadnéj nie było zatrzymywany, traktowany, częstowany starką, przyjmowany po karczmach piwem i miodem—musiał się rozwłóczyć. Sąsiedztwo przywykło do niego, jak do roznosiciela plotek, wieści, do gaduły wesołego i dowcipnisia. To gubiło Bartka, podsycając jego próżniactwo i dumę. Żmujdzin doskonale wiedział gdzie wstąpić jako malarz, gdzie jako pobożny pielgrzym, studnica widzeń i snów cudownych. Żona płakała widząc, jak nic nie przybywa krom dzieci; kilka razy próbowała pytać go o ich przyszłość.

— Przyszłość, moja pani—mówił Bartek na to— przyszłość przed niemi. Pójdą w świat i po wszystkiém. Jak sobie pościelą, tak się wyśpią.

A matka płakała.

Na starość Bartek stawał się coraz obojętniejszym dla domu i rzadszym w nim gościem. Widzenia cudowne, sny prorocze, podróże pijaka, w których najłatwiéj mógł nałogowi się swemu oddawać, coraz częstszemi się stawały. Wracał kiedy niekiedy, pijany, z nóg się waląc, a nie dostawszy wódki w domu, bo téj nigdy w Brzozowym Ługu nie bywało, ruszał nazajutrz daléj, malując przez nabożeństwo drewniane krzyże po drodze. Stare podnosił, pochylone podpierał, obmyte od deszczu piększył, nie zaniedbując

u spodu zapisać: *B. R. restaurował*. Jak wielu ludzi co źle robiąc myślą, że czémś maleńkiém dobrém, wszystkie winy zapłacą, malarz może w duchu tłómaczył sobie, że za te krzyże Bóg mu jego grzechy odpuści.

Śmierć tego wielce oryginalnego człowieka była też niepospolicie dziwném zdarzeniem.

W sąsiedztwo zjechał był na jakiś czas, dla polowania niby, z Warszawy kasztelanic Trąbski, człowiek młody jeszcze, wychowany na dworze Augusta III, wielkiego upodobania w sztukach, wykształconego smaku, lecz dziwnie samowolnego charakteru. Kasztelanic nasz, napatrzywszy się na obrazy i dzieła sztuki w zbiorach Augustów i naśladowcy ich Brühla, nietylko pojmował sztukę w sposób właściwy wiekowi, wedle przepisów Lairess'a i Mengs'a, ale kochał ją namiętnie. Przybywszy na wieś znalázł kraj swój (pierwszy raz od dawna go oglądał) tak po większéj części prozaicznym, tak we wszystkiém, co zrobi w nim człowiek, niepięknym, iż go to zdziwiło, zasmuciło, potém zniecierpliwiło i zniechęciło do niego. Trąbski z wielu względów miał słuszność: gdziekolwiek bowiem człowiek u nas co zbudował, zasadził, przemienił, zdaje się, że myślał tylko jakby kraj swój zeszpecić. Najmniejsze nawet instynktowe uznanie piękna nie przewodniczyło czynności. Piękne prawdziwie położenia leżały dzikim odłogiem (i dziś jeszcze po większéj części tak zostały); inne widocznie zbrzydzone i zepsute były, lub najnieszczęśliwiéj wybrane. Kasztelanic spodziewał się szwajcarskich szaletów, domków niemieckich, a zastał chaty podobne do indyjskich wigwamów, płoty wysokie, rowy błotniste, budowy podobniejsze do stosów drew aniżeli do po-

mieszkań ludzi. Nigdzie nie odzywało się to bozkie uczucie piękności, które żyje w człowieku, ale się niełatwo rozwija na północy. Cóż dopiero mówić o ludziach! Kasztelanic, co zachwycał się lazzaronami neapolitańskimi, zawsze zdaje się gotowymi służyć za wzór malarzowi, odwracał oczy z niesmakiem od naszych łachmanami nieszlachetnemi okrytych kobiet i mężczyzn, którzy zwłaszcza zimą, chodzili jak ożywione bezkształtne bryły bielizny i futer, podobni Eskimosom. Czasem tylko na tém tle szarém krajobraz podobny do widoku klasztoru Kapucynów, piękny i tém piękniejszy, że się go już zdesperowany podróżny nie spodziewał, wpadał mu w oko nagle. Ale ten sam pejzaż psuły blizkie sznury chat wieśniaczych swą niekształtnością, brudem, zaniedbaniem, świadczące wymownie o stanie chłopka, niemającego wiary w przyszłości, ani żądzy podniesienia się ku wyższym a przecięż dostępnym gdzieindziéj dla jemu równych losom. Zmuszony przepędzić czas jakiś na wsi pod pozorem zabawy, a w istocie z powodu wypadku politycznego, do którego wmieszany, musiał na jakiś czas ze stolicy i oczu się usunąć, kasztelanic śmiertelnie się nudził. Szukał rozrywki i myślał o niéj tylko jak o warunku życia. Dwór, który objął po ojcu, nazywający się Troba (po litewsku izba, budowa), chociaż nie w kraju języka litewskiego dzisiaj położony, pochodzeniem nazwy świadczył jak inne sąsiednie, że i tu się dawniéj rozciągała litewszczyzna. Był to stary folwark wzniesiony z pruskiego muru, o wysokim dwupiętrowym dachu i ogromnym ganku. Zrujnowanie i malowniczość (wedle dzisiejszego wyrażenia) téj budowy, ogromne, stare, otaczające ją olchy i blizki staw, przypominające razem pejzaż jakiś Breughla, zjednały łaski kaszte-

lanica. Zamieszkał tu bez wstrętu, ale dla zabawy zajął się upięknianiem okolicy, o któréj dotąd nikt nie pomyślał, aby była piękną, prócz Boga. W téj porze właśnie ozdoby zwane *rustykami*, z drzewa, nieobranego z kory, wchodziły w modę bardzo. Zastawiano ogrody niezliczoną ilością chatek, świątyniek nawet, mostków, skał (właściwiéj skałek) i rozlicznych pięknostek, których myśli zapożyczano u chińskich ogródków. Kasztelanic coś podobnego przedsięwziął zrobić u siebie. Około domu zasadzono kwiaty, zrzucono stare otaczające budowle, oczyszczono zarosłe brzegi stawu; a bociany na starych olszach podobno dla tego tylko miały pozwolenie pozostać, że na sławnym jedynym pejzażu Rubensa, gniazdo ich się znajduje. Na rzeczce rzucono most rustyk; postawiono chatę rybaczą w tymże smaku dla łabędzi, obwieszoną sieciami i kłómlami dla ozdoby; daléj wzniosła się świątyńka rustyk i t. d. i t. d. Na przeciwnéj stronie stawu nad drogą, stała między dwiema massami olch starych i wyniosłych, odwieczna połamana figura Ś. Jana. Kasztelanic chciał ją bez ceremonii kazać wywrócić, ale mu to jakoś odradzono, bo lud pobożny uważał ją za opiekuńczą, i byłby nie zniósł świętokradztwa popełnionego dla fantazyi pańskiéj. Chcąc się przecięż pozbyć nieforemnego posągu i niezgrabniejszéj jeszcze okrywającéj go kapliczki, wystawił kasztelanic lekką, nową; a pod nią umieścił sprowadzonego z za granicy kamiennego Ś. Jana; wcale niezły, chociaż trochę manierowany posąg.

Ludzie uwielbiali pobożność dziedzica i w imię jéj wiele mu darowali dawniéj nieprzebaczonych dziwactw.

Kapliczka była kamiennego koloru, posąg naturalnéj barwy kamienia także. Dawniéj Ś. Jan tę miał

wyższość w oczach wszystkich, że był polychromem, (*vulgo* pomalowanym kolorowo).

Po za figurą szła droga z Zasiszek na Nowy Dwór de Brzozowego Ługu wiodąca. Wracający tędy raz i trochę podpiły Bartek, nad wieczór jakoś trafił na nową figurę.

— Cud! zawołał, nowa! dalibóg nowa! i wcale piękna! To tylko bieda, że fundator poskąpił kosztu na pomalowanie, boby była daleko piękniejsza jeszcze. Niechże się wstydzi, bo mu ją muszę pomalować, jakem Rugpiutis. Prawda, że farb wyjdzie na to nie mało; ale na cześć i chwałę bożą, na pamięć Ś. Spowiednika nie pożałuję.

To mówiąc złożył manatki na trawie, rozsiadł się, dobył farb z tłómoczka, nauczywszy się niedawno nosić je z sobą w pęcherzykach, dostał deszczułki gruszkowéj, pendzlów, i wdrapawszy się za żelazną kratę otaczającą posąg, wziął się na seryo do Ś. Męczennika prazkiego. Twarz błysła rumieńcem, oczy zaczerniały zezowato, bródka stała się widoczną, birecik okrył czoło, stuła, suknia i popielicowy płaszczyk i komża, właściwemi kolorami *oddane* (styl Rugpiutisa) zostały. Rugpiutis uśmiechał się do siebie i mruczał pod nosem:

— Oto się zadziwią! oto się zdumieją poczciwe ludziska! A! a! zaraz powiedzą: „Szedł tędy Rugpiutis.”

Robota zbliżała się do końca, a Żmujdzin już się nią rozkoszował, gdy tętent koni i krzyk dały się słyszeć. Kasztelanic w rozpaczy dostrzegłszy z daleka roboty fatalnéj, leciał w passyi, w gniewie, zajadły tak, że z początku słowa wyrzec nie mógł.

— Co robisz łotrze! zawołał; co robisz zbójco! rozbójniku! co robisz!

Bartek odwrócił się, nie rozumiejąc o co chodzi.

W głowie mu się pomieścić nie mogło, za co go tak apostrofowano.

— Łotrze? łotrze? powtórzył nareszcie odwracając się swobodnie. Co to jest? Za co ten krzyk? Maluję na chwałę bożą! A pan czego się tak gniewa?

— Kto cię prosił o malowanie, zbójco!

— Zbójco? Co to jest? Jak żyję nie słyszałem podobnéj mowy do siebie!

— Kto ci pozwolił?

— Kto pozwolił! Albo się to potrzeba starać o pozwolenie, żeby figurę pomalować? Ja od lat dwunastu wszystkie krzyże i figury po drogach na chwałę bożą i dla odkupienia grzechów maluję.

Bartek przyłożył pendzel znowu do figury, ale kasztelanic zbliżając się zawołał z impetem:

— Porzuć to i uciekaj głupcze, bo cię każę oćwiczyć.

— Oćwiczyć? mnie! mnie!

— Idź! mówię ci, idź! jeśli po uszach oberwać nie chcesz!

Bartek począł się lękać o siebie, ale dotąd nie mógł zrozumieć o co chodzi. Zebrał pendzle i farby, i milcząc przelazł powoli przez kratę, rzucając wzrokiem pogardy na dziedzica.

— Zmywać! ścierać, szorować! zawołał kasztelanic w rozpaczy. Ten łotr obrzydził mi posąg wybornéj roboty i takiego effektu. A! sto łóz za taką sprawkę byłoby mało. Na galery! na galery! (kasztelanic wychowany za granicą, myślał dobrodusznie, że w Polsce były galery).

— Co to jemu jest? spytał Bartek ludzi po cichu. Czy nie oszalał wasz pan?

— Idź mi z oczu! idź mi z oczu! zakrzyczał w téj

chwili kasztelanic, zamierzając się pejczem, który trzymał w ręku.

— Mój panie! odparł prostując się dumnie Żmujdzin: jeśli nie dla chwały bożéj, tylko dla swojéj fantazyi jakiéjś stawiasz figury, mniejsza o to, choć się gubisz na duszy; ale co do mnie, ja miałem prawo malować, jak baby mają prawo wieszać fartuszki na krzyżach; to moja ofiara.

Nie dosłuchawszy tych słów, kasztelanic zniecierpliwiony podniósł pejcz i kropnął nim Żmujdzina. Bartek zdumiały, oburzył się, wzdrygnął, zaczerwienił, chciał coś mówić jeszcze, wyprężył się tylko konwulsyjnie, i padł bez ducha.

Zmieniła się scena, i wszyscy od Ś. Jana pobiegli do leżącego Bartka, ganiąc milczeniem wymownêm popędliwość i niewyrozumiałość kasztelanica. Puszczono natychmiast krew uderzonemu krwi przystępem do głowy, lecz pomimo największe staranie, pomimo troskliwą pieczę samego winowajcy, sprowadzenie doktorów, śmierć już zapewne przygotowana nadużyciem trunków, w kilka tygodni przyszła zakończyć prace i kłopoty Bartka Rugpiutisa.

Kasztelanic srodze wyrzucając ją sobie i dręcząc się jéj wspomnieniem, z największą troskliwością postanowił zająć się losem wdowy i dzieci. Pogrzebał wspaniale kosztem swoim Bartka na kapucyńskim cmentarzu; parę tysięcy złotych przyobiecał wdowie, procent od nich zaliczywszy zaraz; pomyślał nareszcie i o dzieciach.

Franka, która jak większa część prawdziwie pięknych kobiet zatrzymała długo piękność swoją, czarnemi hiszpańskiemi oczyma ujęła za serce kasztelanica. Od dawna nic ludzkiego w tym kraju nie wi-

dząc, poruszył się pan Trąbski wejrzeniem jéj, pełném nieodgadnionych tajemnic. Lecz wdowa przyjmowała go poważnie, zimno, surowo, a kto wie czy ta duma smutna nie przyczyniła się jeszcze do rozdrażnienia młodego, znudzonego łatwemi miłostkami człowieka?

Często wieczorami kasztelanic przyjeżdżał do Brzozowego Ługu; ale odjeżdżał smutny, zamyślony i pomieszany. Nie mógł zrozumieć téj biednéj ubogiéj, prostéj kobiety, do któréj przystąpić śmiało nie miał odwagi. Dzieci tylko szczebiotaniem go witały, bo im przywoził zabawki i podarki; ona zimném wejrzeniem i wyrachowanemi słowy.

Starszy syn Bartka, Jan, miał już lat około dwunastu. Podobny do matki, piękny jak aniołek Albana, jak dzieciątko Guida, z czarnemi oczyma wielkiemi, podłużną twarzyczką, ciemnym włosem, biały i zaledwie rumieńcem lekkim niekiedy ożywiający się, był ulubieńcem kasztelanica. Matka także najlepiéj podobno z dzieci go kochała, chociaż to przywiązanie tajone ledwie się czasem mimowolnie objawiało. Kasztelanic długo karmiąc nadzieję podobania się wdowie, wreszcie zawiedziony, zamiast mścić się i opuścić ją, powziął dla niéj jakiś czułości pełny szacunek. Nie przestał bywać w chacie Rugpiutisa, a Franka widząc, że się zrzekł dawnych myśli, przyjmowała go z wdzięcznością, pełną jednak jakiegoś uczucia własnéj godności, nigdy jéj nieopuszczającego.

Piękny był ranek, gdy jadący z chartami kasztelanic mimo dworku nieboszczyka Bartka, zastanowił się u wrot dla powitania gospodyni. Sądząc, że ją gdzie koło domu zobaczy, wspiął się na strzemionach, ale tylko pusty dziedziniec zmierzył okiem ciekawém. Jaś jeden za płotem kamiennym siedział nieruchomy, i na płaskim szarym głazie upadłym z ogrodzenia, rysował coś kredą białą. Stare psisko podwórzowe, z miną głęboko zamyśloną, siedziało koło chłopczyka, i zdawało się wpatrywać w niego, czy w dziecinną jego robotę. Kasztelanic ciekawie się zastanowił po cichu. Przypomniał mu się młody Ambroggiotto Bonone (Giotto) rysujący owieczki swéj trzody; uznał w tém oznakę talentu, widząc dziecię tak pilnie zajęte rysunkiem; myśl mu przebiegła po głowie zrobić z niego malarza, jak Chimabue'mu z Giotta.

— Jasiu! zawołał po chwili: dobry dzień waszeci. Co to robisz?

Pies i chłopak razem głowy podnieśli, a uśmiech i rumieniec na pięknéj wykwitły twarzyczce. Stary Rozbój ogonem pokiwał i na płot wspiąwszy się, radośnie szczeknął.

— Co robisz? powtórzył pan z uśmiechem.

— Co? maluję! odpowiedziało dziecko, poważnie i powoli wstając.

— Cóż malujesz?

— Obłoki! odparł Jaś. Ale tatulo mój ładniéj malował, bo farbami. Ja ich nie mam, tylko biało mażę po kamieniu. Jak nie ma co robić, całe godziny się tu bawię.

— Chciałżebyś—rzekł kasztelanic—lepiéj od tatula twego malować? Chciałżebyś się uczyć?

— To nie dla mnie, odpowiedziało smutnie dziecko.

Matunia codzień powiada, że czas mi pójść służyć, a na chleb pracować. Kto się uczy, ten nie zarabia.

— Jabym ci pomógł, gdybyś miał ochotę.

Jaś wyskoczył na płot rzeźko, oczy mu się zaiskrzyły, obejrzał się i rzekł po cichu, ze strachem prawie:

— A matula?

— Matka się na to zgodzi, bo to chleb piękny, i więcéj coś niż chleb jeszcze, sława, imię...

Dziecię nie zrozumiało wcale ostatnich słów kasztelanica.

— Jak to? zawołał Jaś żywo: jabym umiał doprawdy malować i ludzi, i obłoki, i lasy, i niebo cudowne, i wszystko co Bóg tak prześlicznie stworzył! A, panie! nie żartuj! nie żartuj! serce mi bije.

— Nie żartuję mój Jasiu, ale wprzód potrzeba ci się pójść nauczyć czytać, pisać.

— Czytać umiem, pisać piszę, ale bardzo brzydko.

— A maszże ochotę uczyć się?

— O! gdyby tylko można, takbym był szczęśliwy!

Kasztelanic schylił się do dziecka, które uderzył parę razy po zarumienionéj twarzyczce, potém zawrócił konia we wrota dziedzińca. Franka ukazała się właśnie na progu.

Po przywitaniu, usiadłszy na ławie ręką Bartka wystruganéj, kazawszy podać sobie mleka, młody protektor począł mówić z matką o Jasiu. Jaś przysłuchywał się niespokojny z za drzwi

— A co moja jejmość? rzekł: wartoby pomyśleć co o Janie?

— Gdyby można, odparła wzdychając wdowa—gdyby można! Dawno go myślę gdzie oddać, ale boję się, żeby się nie popsuł, i żal mi stracić go z oczu.

— Znalazłem go właśnie teraz rysującego coś na

kamyku. Ma ochotę, mógłby może wyjść na malarza, jabym mu pomógł.

— A! panie!

Tyle tylko odpowiedziała kobieta, i łzy jéj stanęły w oczach.

— Pomyślimy o tém, rzekł kasztelanic schylając głowę,—pomyślimy i postaramy się.

Nie było sposobu umieszczenia chłopca dla nauki malarstwa inaczéj niż w Wilnie, gdzie kasztelanic polecił wyszukać malarza, u któregoby początków rysunku Jaś mógł się nauczyć. Ale niełatwo o to naówczas było w Wilnie. Wprawdzie i tam powolnie budziło się już zamiłowanie sztuki: znajdowali się ludzie co tworzyli Gucewiczów, co skupowali obrazy i okrywali niemi ściany swych pałacyków; ale nie było nauczycieli malarstwa ani kursu przy akademii. Kilku bazgraczy, portrecistów, kopistów, składało cały zasób artystyczny miasta Wilna. Trochę na los wywiedziawszy się o nich, kasztelanic więcéj podobno na ucznia niż na mistrzów rachując (bo nadewszystko w talent wrodzony wierzył), pierwszemu z brzegu, niejakiemu Szyrce, posłał swojego wychowańca.

Jaś spłakawszy się przy pożegnaniu, upadłszy do nóg kasztelanica, który mu woreczek wcisnął do ręki, oblany łzami matki, wyściskany od dwóch siostrzyczek, na żydowskiéj furze, puścił się w pierwszą podróż życia.

Któż opowie wrażenia tych dni kilku, tak zupełnie nowych dla niego?

Jan, gorących, ale głęboko tajonych uczuć, wyobraźni żywéj, pełen szlachetności, którą mu matka wpoiła, nabożny, bo go od dzieciństwa otaczało nabożeństwo, należał w téj porze życia do dzieci naiwnych,

czujących więcéj niżeli myślących, rozkoszujących się światem więcéj niż usiłujących go badać. Dwojakie bowiem bywają zwykle dzieci: dzieci, co się z siebie samych i ze swego dzieciństwa śmieją, w niém jeszcze żyjąc, co szydzą ze wszystkiego i wszystko przyjmują jak przypomnienie, jak coś dawno znanego; i dzieci naiwne (do nich to Jan należał), dla których wszystko jest zachwyceniem, pięknością, wielkiém i wspaniałém, które nie wyuczą się ironii i szyderstwa, chyba zgwałcone i przymuszone cierpieniem i zawodami długiemi. Dziecię nasze było już ślicznem chłopięciem, jakiém malują Ś. Jana Chrzciciela na pustyni, białe, ale ogorzałe, czarnookie, z owém łzawém spojrzeniem, uczuciowym ludziom właściwém, zamyślające się często i na długo, gotowe do łez nawet wśród śmiechu i wesela.

Duma, matczyna spuścizna, już mu się odzywała w piersi; a ta duma czyniła go pokornym. Tak jest: prawdziwie dumni ludzie chowają się z dumą swoją, okrywają płaszczem pokory, aby nie dać się ranić w to, co mają najboleśniejszego. Głupcy tylko dumni, swój skarb, dumę, noszą na głowie, pokazują ustawicznie i dają na cel ciosom wszystkich.

Dla Jasia, który nad miasteczko, kościół Kapucynów, ogród kapucyński, Zasiszki, Nowy-Dwór i Trobę, mało co znał więcéj, świat wydał się ogromnym i wspaniałym. Dotąd zdawało mu się może, że niebo zapadające sinemi zasłony za widnokrąg, gdzieś niedaleko nieprzebite stawi zapory; teraz pierwszy raz poczęło mu wszystko uciekać z przed oczu, wyciągnął się świat, przedłużyła ziemia i zarysowała nieskończoność.

Coraz nowe przedmioty ściągały jego uwagę nienasyconą, nie mógł spać, żal mu było szybkiéj jazdy.

Nieznane kwiaty, nowych postaci drzewa, dziwne wód zakręty, wyrwy nad rzek brzegami, szerokie złociste drogi, ludzie w takiéj liczbie i coraz tak odmienni, kamyczki nawet chrupiące pod kołami,—wszystko go zachwycało. Ptactwo, którego śpiewu dotąd nie słyszał, chaty, jakich nie widział, kościoły białe z przysadzistemi wieżami, gaje przezroczyste z brzóz białych, stojące nad wodami jak płaczliwe narzeczone nad grobem, zda się przygnębione i zardzewiałe od żalu, dziwnych, nieznanych myśli napędzały mu do głowy. Co chwila chciał uprosić Żyda, aby stanął, pozwolił mu patrzeć; ale Izraelita, który chłopca miał za trochę postrzelonego, odwracał się na niewyraźne pytanie milczący, ruszał tylko ramionami i popędzał konie. Był najpewniejszy, że wiezie biednego do szpitala waryatów.

Tak przecię dojechali do Wilna. Tu go już czekał pan Szyrko. Przypatrzmy się z blizka nauczycielowi, jakiego los wyswatał dla Jana, nim znowu do ucznia powrócimy.

Pan Szyrko, człowiek lat około pięćdziesięciu, był sobie bazgraczem jednym z najpospolitszych—typem malarza, jakich i dziś u nas mnóztwo się znajdzie jeszcze. Trochę nabytéj zręczności, trochę szczęścia i trochę szyderskiéj protekcyi biskupa Massalskiego wywiodło go na dostojność artysty. Trzymał się na tém stanowisku jak mógł. Spojrzawszy nań, już się po nim wielkich rzeczy spodziewać nie było można. Mały, gruby, otyły, z siwym włosem w harcap ujętym, po niemiecku ubrany, w szaraczkowym, zwykle na przednich klapkach zatabaczonym fraku, białéj pomarszczonéj kamizelce, z żabotem przypiętym szpilką nazywa-

jącą się złotą, w białych niegdyś pończochach i trzewikach z klamrami stalowemi—miał minę wesołą, radą sobie a uroczyście głupią.

Ten wyraz głupstwa w oczach bladych, spłowiałych, ustach uśmiechem wykręconych, w nosie trochę zadartym, a jak u cwejnosa rozbitym w końcu na dwoje, w brodzie przeciętéj rowem, i w mince bez powodu czasem dumnéj niby lub zamyślonéj głęboko, dobitnie się malował. Cały boży świat żartował sobie z Szyrki, który pomimo tego nigdy się nie opatrzył, iż był szyderstwa celem, że zawsze i wszędzie drwiono sobie z niego. Dla niższych nieco był nielitościwie grubiański, srogi, a tém sroższy, że głupi, nie wiedział więc gdzie i z kim jak mu być należało.

Kiedy czasem ukazał się na publicznéj przechadzce z laską o gałce kościanéj, z pudlem faworytem misternie wystrzyżonym na lewka i pełną satysfakcyi miną, wszyscy spotykający odwracali się patrząc na niego, i uśmiechali z zadowolenia, tak wybornie był śmieszny. Znajomsi zatrzymywali go częstując tabaczką i poddrwiwali rozmawiając. On wszystko, co go spotykało, brał dobrodusznie za wyborną monetę, za dowody życzliwości i przyjaźni powszechnéj. Utrzymywał nawet czasem, że mało było ludzi równie kochanych i powszechnie lubionych, mało kto mógł się poszczycić taką jak on liczbą przyjaciół. Miał się w duszy za człowieka pełnego przymiotów towarzyskich, za zjadacza serc.

W stosunkach z *płcią* jeszcze naówczas zwaną *piękną*, pan Athanazyusz (takie nosił imię umyślnie na *usz* zakończone) był téj wyszukanéj grzeczności francuzkiéj, śmiesznéj i przesadzonéj, któréj przykłady pozostały nam jeszcze w niedobitkach XVIII-go wieku

z siwemi włosy, grających rolę młodzików i prawiących komplementa niezgrabne à propos kataru, upadłéj chustki lub rozlanego sosu. Niegdyś Athanazyusz miał się za pięknego, pod starość podejrzewał siebie, że jeszcze mógłby być niebezpiecznym; miał sobie niejako za święty obowiązek smalić cholewki do wszystkich *dam* (sam zwał się z cudzoziemska kawalerem Athanazyuszem), i jakby się wyuczył historyjki miłości na obrazkach sielankowych XVIII-go wieku, często pasterki i pasterzy arkadyjskich wspominać lubił w rozmowie z płcią *nadobną*. Mowa jego z niższymi grubiańska, z kobietami w lepszém towarzystwie była napuszoną, pełną słów niepotrzebnych, ponapychanych w niesłychanéj ilości, czczą myśli, rozwlekłą i ciągle na szczudłach wzniesioną. Najmniéj zrozumiałe a najwięcéj dźwięczące wyrazy, były najulubieńsze; kilka ich ukochawszy szczególnie, co chwila je powtarzał potrzebnie czy nie. Uczciwym był zresztą człowiekiem jak ci wszyscy, co otwarcie złego nic nie robią; głupi możeż być kiedy całkiem uczciwym, gdy na czém polega uczciwość zrozumieć nie jest w stanie, a uczucia mu braknie?

Jak wyszedł Szyrko na malarza? zabawna historya. Z młodu mazał on wprawdzie dla kawałka chleba poczwarne obrazy do wiejskich cerkwi i kościołków, chorągwie i t. p.; potém wziął się do malowania pokojów. Biskup Massalski (a raczéj jego plenipotent) polecił mu malowanie domu, mającego czasowo być mieszkaniem księcia. Szyrko dzieła tego wszakże sam dokonać nie czując się w stanie, przybrał do porady i pomocy jakiegoś starego Niemca, co na tym chlebie zjadł zęby. Zarozumiałość malarza tak śmieszyła księdza biskupa, że ją począł podsycać, wmawiając weń,

aby się starał *większe dzieła* przedsiębrać. Szyrko posłuszny, rozmarzony, począł zuchwale rysować, malować i biskupiemi pochwałami ludziom oczy mydlić. Biskup pękał od śmiechu, kupował roboty, pokazywał przyjaciołom te twory nieuprawnego talentu, a tymczasem Szyrko doprawdy trochę się poduczył. W końcu nabywszy przy innych malarzach mechanizmu, którego głupcy zawsze najlepiéj nabyć mogą, kontentując się robotą portretów i kopiami dosyć wiernemi, a często po chińsku nawet plamy wzoru odtwarzającemi, Szyrko pomieścił się w rzędzie malarzy. Głośno o tém zawsze mówił, że go ksiądz biskup protegował, i bardzo się tém przechwalał. W istocie krom zupełnie nieznających się, wszyscy śmieli się z Szyrki; a tłum za to miał go może w dobréj wierze za wielkiego artystę. Biskup i jego otaczający, gdy Szyrko przyniósł obraz z jakiego sztychu bardzo znanego zrobiony i pokolorowany niezgrabnie, mieli upodobanie unosić się nad kompozycyą. On przyjmował wszelkie pochwały dobrodusznie, dumnie prawie, z uśmiechem udającym skromność, któréj wszakże potrzebę wywyższając się zrozumiał. Sam sobie nieraz jednak zmuszony był powtarzać:

„Ktoś z nas dwóch musi być głupi, ale to pewna, że nie ja.

Szyrko miał roboty w mieście: portretował stare baby, otyłych panów burmistrzów, kupców i bogatych mieszczan, pragnących potomności podać nos czerwony lub obwisłe policzki. Czasem trafiało mu się, że zamawiano obraz do jakiego wiejskiego kościoła. Naówczas szukał sztychu w tece lub obrazu podobnéj treści i najbezwstydniéj przemalowywał *mutatis mu-*

tandis; ale śmiało, ale z taką pewnością, iż przysiągłbyś, że był pewien egzystencyi muskułu lub żyły gdzie je zuchwale oznaczał, chociaż anatomik byłby to przyjął z podziwieniem za wcale nowy wynalazek. Trafiały się tak osobliwsze ręce i tak dziwne skurcze u pana Szyrki, że ksiądz biskup wielki znawca, cały dzień śmiał się do łez, stojąc przed obrazem. Gdybyż Massalski umiał się był całe życie kontentować tą niewinną zabawką!

Jaś, jak widzicie, niewiele mógł się od takiego mistrza nauczyć. Szyrko, który pierwszy raz w życiu miał ucznia, trzy dni spodziewając się go, chodził po mieście i nieznacznie się tym wielkim wypadkiem w życiu przechwalał.

— Wiesz panie Mieleski, muszę się śpieszyć do domu; co chwila spodziewam się ucznia, którego mi przysyłają z prowincyi. Chłopiec pełen nadziei, protegowany przez kasztelanica Trąbskiego, który słysząc o mnie...

Daléj kupując tabakę w sklepie:

— Dzień dobry, pani Matyasowa, proszę prędzéj o tabaczkę, bo się śpieszę. Otwieram szkołę malarstwa: dziś mi uczeń przybywa, z daleka, z prowincyi, protegowany etc.

Potèm spotkawszy się z kimś znowu:

— Cha! cha! wie pan, nowa praca! nowe trudy...

— Nowy obraz?

— A! gdzie tam! Uczeń mi przybywa z prowincyi. Co chwila go wyglądam. Protegowany kasztelanica, który słysząc o mnie etc.

Całe więc miasto wiedziało o wielkim wypadku, jeszcze przed przybyciem Jasia. Szyrko seryo wieczorami zamyślał się: czego i jak uczyć będzie? Nic le-

piéj nie maluje człowieka nad te rozmysły pierwszy raz z potrzeby wylęgłe.

— Czego ja go uczyć będę? Jak? Oczywiście trzeba mu dać coś rysować. Uchowaj tylko Boże przez okno! Tego potrzeba surowo pilnować. Najprzód będzie rysował ze sztychu, potém z natury, potém farby trzeć go nauczę; a nareszcie jak postąpi, i malować. Najważniejsze to mieszanie farb i trzymanie pendzla, rysunek jako tako zawsze się znaleźć musi, tyle ich po świecie! Co się tycze natury, ta tylko dawnym początkowym malarzom była potrzebna; teraz weszła już w sztukę ile jéj się może zmieścić, i pod panowaniem jest naszém. Co nie zmieściło się, tém gorzéj dla natury, musi zostać na stronie. Znamy teraz naturę na palcach, i możemy się wybornie obejść bez żywych wzorów. Wzięliśmy dla siebie co było do wzięcia, a z reszty kwita. Tak, najważniejszy cień a farba. Przecięż trzeba mu będzie dać co rysować: pożyczę sztychów u Batrani'ego, niech się pastelem, kredą i tuszownikiem z niemi mierzy tymczasem. Ja sam nie rysowałem prawie nic, a przecięż wyszedłem na malarza. Biskup mówi zawsze: „Przeniuchałeś waszeć, że koloryt to grunt!" a ksiądz biskup zawsze ma racyę; któż by ją miał, gdyby nie on? Tak bo jest, tak jest! ostatni nawet mój obraz do łez go rozczulił, powtarzał ciągle: „Co za ekspressya! jaki wyraz!" udawał tylko, że się śmieje (dla *decorum*), ale widziałem łzy w oczach.

Gdy Athanazyusz duma tak, Jaś nareszcie nadjechał.

Szyrko, który nigdy w życiu ani się uczył, ani nauczał, poczuł się nagle mistrzem, dostawszy ucznia, i postanowił zacząć od wielkiéj srogości, usiłując najprzód natchnąć chłopca zbawiennym strachem. „Strach,

rzekł w duszy kawaler Athanazyusz, uczy, naprawia, zniewala, i wszelkiego dobrego jest początkiem. A zatém poczniéjmy od niego." Ukazał się więc Janowi auczyciel w postaci zatabaczonéj karykatury Jowisza Olimpijskiego. Spojrzenia, gesta, rady tak śmieszną były przybrane powagą, że patrząc na nie obcy polegali od śmiechu.

Jasia dziwił wielce ten mistrz, o którym z góry miał najwspanialsze wyobrażenie. Z początku uwierzył w niego zupełnie, ale prędko naturalny rozsądek wskazał mu nicość człowieka, który dla dziecka nawet nie potrafił ukryć potężnéj głupoty swojéj, na wszystkie strony wylewającéj się jak z dziurawego naczynia napróżno drótem umocowanego. W przekonaniu, że się czegoś nauczy, Jaś postanowił słuchać i pracować. Niewiele może ufał mistrzowi, ale więcéj rachował na wzory i wprawę samą. Zdrowy rozsądek dziecka powiedział mu, że pracą dochodzi się wszystkiego, że żadna nie jest bez korzyści. Szyrko zaś sam niewiele umiejąc, a prócz mechanicznéj wprawy i pewnéj jednostajnéj maniery żadnéj myśli i tajemnicy w sztuce nieumiejący się domacać, psuł raczéj niż poprawiał i prowadził ucznia. Dla niego jeszcze sztuka ograniczała się rzemiosłem.

Życie mistrza było jedném z najprozaiczniejszych w świecie. Obrał on sobie mieszkanie za Ostrą Bramą w jednym z tych domów świeżych, niezamieszkanych, ledwie przeschłych, i przez to samo, że nowych, nielitościwie nagich i nudnych. Wszędzie gdzie noga stąpiła, zdawała się pierwsza zdobywać miejsce. W naturze, utworze Boga, pustynia jest zachwycającą i rozkoszną; w dziele ludzkiém dziewiczość ta przez brak wspomnień staje się nagością zimną i smutną. Dzieło

człowieka potrzebuje może postarzeć, aby wypięknieć i z otaczającym się światem zlać w jedność. Ogromne izby okrutnie białe, nagie, wilgotne, przerażały swą niczém niesplamioną nowością, niezamieszkaniem. W jednéj z nich umyślnie przyrządzonéj na malarnię, pracował Szyrko za trójnogiem. W niéj teka jego wiecznie okradanych sztychów i zatabaczona chustka leżały z paletą na jedném krześle, pod którém stała butelka z piwem i oblepła szklanka. Jakby na przekór nowości pomieszkania, meble przeniesione były do niego z domu starego, połamane i brudne. Tu się jeszcze bardziéj zużytemi wydawały. Kilka obrazów lichych a jaskrawych w różnych epokach dojrzałości talent malarza ukazujących, wisiało po ścianach: jedne podmazane, drugie poprawione trochę, inne wylizane do obrzydliwości jak porcelanowe kwiatki. Kilka starych płócien ciemnych, jak wielkie plamy, rozkładało się krzywo i niedbale powieszane na świeżo potynkowanych ścianach. Kurz i pajęczyny przybyły z niemi z dawnego mieszkania. Łóżeczko mizerne, wyduszone, którego pasy obwisłe przybrały formy ciała zawsze na nich jednakowo spoczywającego, poduszka skórzana stłuszczona od głowy, miska do umywania, dzban od wody, trochę odzienia i kufer, dopełniały obrazu téj izby. Pierwsza, w któréj się farby tarły, zarzucona gałgankami i bibułą od wycierania palet wyrzucaną, pełna butelek z pokostem i werniksem, flaszek z olejem, odartych płócien, kamieni nieczystych i słojów, w których ugry czyszczono, była mieszkaniem Jasia i Maćka, chłopaka do posługi, jednego z tych miejskich uliczników odartusów, co w latach piętnastu umieją się zepsuć jakby przeżyli pięćdziesiąt.

Szyrko jadał w poblizkiéj garkuchni, a sługa Mar-

cyanna, u lokatorów na dole mieszkająca, prała mu bieliznę i gotowała kawę. Tłusta, czerwona i wesoła ta Maritorna, w wielkich była łaskach u malarza, który się z nią nie spotkał, żeby jéj nie wyściskał. Nie zdawała się ona wcale odstręczać tém, ani gniewać za natręctwo z jego strony; odchodziła fartuch trzymając u gęby, śmiejąc się i poprawując włosów, że aż na dole piosnkę jéj i śmiech często słychać było. Maciek, wisus w całém znaczeniu tego wyrazu, okradał pana, płatał figle wszystkim, umiał się wyłgać i wylizać z każdéj psiéj sztuczki swojéj, latał po nocach, ale doskonale udawał zaspanego, choć ledwie się na swym barłogu wyciągnął. Był to istny narzeczony szubienicy.

Pan Szyrko, jakeśmy wyżéj mówili, malował najczęściéj portrety, rzadziéj obrazy kościelne i t. p. Ale wcale niewiele w ogólności miał zajęcia, a że płatny był też skromnie, nie wiadomo jak się utrzymywał i czy zbierał co na starość. Miano go przecież za człowieka wcale rządnego i zamożnego, chociaż tajemnicy kuferka i staréj szkatułki nikt nie wiedział. Życie jego, prócz wieczoru, widne było jak na dłoni. Wieczorem wychodził, ale Maciek nawet, mający własny w wyszpiegowaniu interes nie wiedział dokąd i po co; powracał czasem o północy, czasem późniéj lub nad rankiem, wesół, śpiewający, albo wściekle gniewny i rozjadły. Niekiedy rzucał laskę w jedną, kapelusz w drugą stronę, i nieruchomy padał na swe łożysko; czasem znowu otwierał kuferek, coś w nim składał i zamykał. Maciek jeszcze był nic nie wyszpiegował, ale się wielu rzeczy domyślał; Maritorna kręciła głową, nie wiedząc jak sobie te peryodyczne zaćmienia tłómaczyć.

Wielka ta przecież tajemnica tłómaczyła się namiętnością, która u nas w Polsce w XVIII wieku dopiero weszła w obyczaje i nałóg powszechny. Szyrko był namiętnym graczem. Przed panowaniem Sasów a nadewszystko Stanisława Augusta, gracza może szukać potrzeba było między szują próżniaczą i zepsutą hałastrą. Wyjątkiem byli dworscy, o których ksiądz Skarga w kazaniach wspomina, że grywali z królem w Prymirę, i to uważano za grzech i występek wielki, choć najprawdopodobniéj grano na Zdrowaśki, a korzystały z gry tylko dusze czyscowe. Dopiero gdy ta okropna, chorobliwa obojętność na przyszłość połowę kraju w zimném dusiła objęciu, gdy szał zabaw, rozkoszy, rozpusty, użycia zawrzał w sercach zepsutych, gra zjawiła się w pierwszych salonach Warszawy, jak nieodstępna towarzyszka zepsucia obyczajów powszechnego, częstokroć jako narzędzie, które zręcznie użyte zyskiwało ludzi, lub ogałacając ich z pieniędzy, przedajnymi czyniło. Pan podskarbi koronny, potém Wal....i, pierwszymi byli namiętnymi graczami z professyi w Polsce. Ta igraszka wyższych klass, zapożyczona od tłumu i namiętnie panująca próżniakom a ludziom zesłabłym, wysilonym, co w niéj szukali wrażeń, nie mogąc innych doświadczyć—od panów znowu zeszła stopniami do niższych, i aż do przedpokojów. Czegoż u nas nie naśladują, gdy tylko możni przykład dadzą? Zdaje się nawet, że gdyby panowie uwzięli się dawać przykłady cnoty, bezinterésowności, pokory i pracowitości, i toby może starano się małpować. Rzecz warta próby. Dość, że gra jak kropla połknięta ustami, rozlała się w krew całego człowieka, narodu. Jak zwykle, przyszła ona zabawić na śmiertelném wyciągniętego łożu! W Wilnie także gra

panowała podówczas i po pałacach, i po smrodliwych domowstwach, gdzie ludzie sterani ogrywali łatwowiernych a namiętnych głupców. Pan Szyrko był dla tych przemyślnych rycerzy wyborną *krówką*, jeśli się godzi użyć tego wyrażenia. Wydajali z niego co tylko miał, a on z metodycznością machiny ciągnął się do nich co wieczór ze zwykłym swoim podatkiem. Wstydził się jednak namiętności, i dla tego grał tylko tam, gdzie myślał, że go nikt nie zna (choć doskonale wiedziano, kto i co zacz był). Po solennéj przegranéj brał się do roboty, podsycając wenę butelką piwa stojącą zawsze pod krzesłem.

Jaś pracował w pierwszéj izbie.

Ale jakaż to była praca?

Nakazano mu wielkie, dość mizerne sztychy kopiować czarną kredą i starannie wycieniowywać, wykropkowywać, wylizywać, aby robota była o ile możności jak sztych. Sztych, to najczęściéj zdradzieckie tłómaczenie obrazu, tę stenografię myśli (czasem), uważano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczebel doskonałości w sztuce. I nie sztych Rembrandt'a, złożony z poplątanych misternie nici pajęczych, nie zamaszyste ryciny Callot'a lub naszego Gdańszczanina Falcka, nie sztych Dürer'a lub Marc-Antonia i t. p. ceniono, ale niedorzeczne, twarde, bezimienne jakieś blachy bez wartości, w których sensu, myśli i egzekucyi nawet mechanicznéj, coby linie pojąć dała, brakło. Szyrko zachwycał się, gdy sztrychy szły regularnie i krzyżowały się dając w pośrodku miejsce posadzonym punkcikom. Na to zwracał uwagę, gdy mu uczeń przynosił robotę. Tak się biedny Jaś uczył. Ale ani pan Szyrko, ani niedorzeczne wzorki jego nie potrafiły zepsuć, zniszczyć tego uczucia idealnéj piękności,

które natura dała Jasiowi. Na widok kalekich ciał, spoczwarzonych postaci na sztychu, wzdrygał się, czując instynktownie ich brzydkość, oswoić się z niemi nie mógł. Przeciwnie, inne, w których myśl błyszczała formami uroczemi, wydana ze śmiałością mistrzom tylko właściwą, całował, zamyślał się nad niemi i płakał. Dwa zapalczywe sztychy stare z Leonarda da Vinci, dwie przepyszne a pełne prostoty kompozycye Rubensa (co rzadka, bo grzeszy przesadą i zbytkiem, nie umiejąc się w karbach utrzymać), kilka wspaniałych postaci wysokiego stylu Mik. Poussin'a, jakby nowy świat odkryły oczom ucznia. Poczuł, że się tu niczego nie nauczy; ale posłuszny przeznaczeniu cierpiał i pracował. Opisać wam to życie?—niepodobna.

Szyrko był w obejściu się z uczniem ostry, bez przyczyny często srogi, chwalił też bez powodu; nie wiedząc co robi, szedł na oślep zupełnie. Szczęściem miał u siebie dla fanfaronady dwa niezgorsze gipsy całych postaci z posągów dawnych, jedno niezłe *ecorché* (muskulatura) i parę głów. Te ukradkiem w chwilach odpoczynku, sam nie wiedząc dla czego, próbował kopiować uczeń. Ale Szyrko gdy te roboty ujrzał, tak gniewem się zapalił, że podarł arkusze i wyrzucił za okno. Wiedział on, że inni uczą się tym sposobem, ale sam nie umiejąc rysunku, może przez zazdrość niewytłómaczoną, uczniowi go dać nie chciał. Jaś przecię gipsy owe, choć na tablicy, z różnych stron przerysowywał. Tak upłynął rok jeden; tak dwa prawie jednostajnie przeszły. Wiele chwil sam na sam z nagiemi ścianami przepędzał Jaś, ale książek mu nie brakło, bo w izbie w któréj siadywał, były ich dwa kufry wielkie, razem z innemi gratami w kąt przez Szyrkę rzucone i nigdy nawet niezamykane. Z foliantów drogich wy-

dzierano niemiłosiernie karty dla ścierania palet, jeśli były potrzebne.

W tych to kufrach, prawdziwéj puszce Pandory, leżała cała przyszłość Jasia. Znalazł w nich pokarm, ale jak zwierzątko nieumiejące rozłamać łupiny, długo się trudził, nim dostał się do ziarna. Umiał wprawdzie czytać, a z pomocą polskiego języka poduczył się łaciny, któréj poczciwe a litosne dziecko ubogie, stojące w tejże kamienicy, nabyć mu dopomagało. Student ten, przyjaciel Jana, którego towarzysze i Jan potém, spoufaliwszy się, nazywali Orzeszkiem, pokochał Jana. Był sierotą, a sieroty szukają serca jak ubodzy chleba. Przyjaźń ich cicha, kryjoma, zawiązała się silna i na życie całe, jak zwykle związki młodzieńcze najtrwalsze ze wszystkich. Jaś i on pędzili na galeryi pustéj otaczającéj dom wewnątrz, długie godziny na rozmowie i wzajemnéj nauce.

Powiedzieć, wyrachować ile kosztowała Jana każda nabyta wiadomość, trudno. Któż z tych, co się sami uczyli, nie pojmie tego? Ileż to razy zadumać się trzeba było nad wyrazem tajemniczym, nad pojęciem nieznaném, i przeskoczyć je westchnieniem i nadzieją, że się jutro wytłómaczy! Ileż potu, ile znoju, ile cierpliwości anielskiéj i dobréj woli! Dwie owe skrzynie pełne były grammatyk, dykcyonarzy, ksiąg historycznych, encyklopedyj naiwnych, jakie pisywano w XV i XVI wieku, pobożnych i ascetycznych dzieł, ksiąg o medycynie popularnej i t. p. Zdaje się, że anioł stróż wybrał je tam i położył dla Jana, dla którego były skarbem, pociechą, rozkoszą. Stary kanonik, jeden z najdziwniejszych skąpców, jakimi się naówczas pochlubić mogło Wilno, w spadku jedynym zostawił je synowcowi malarzowi. Więcéj nic po nim nie wziął ka-

waler Athanazyusz, bo pieniądze zakopał tak, że ich ani synowiec, ani kapituła w kamienicy zajmowanéj przez niego lat dwadzieścia pięć, znaleźć nie mogli. Jedyny więc spadek po kanoniku, który składały dwie stare sutanny, brewiarz tłusty i lichtarz, przyniosły coś prawemu dziedzicowi; księgi poszły na korzyść obcemu zupełnie. Dwa lata grzebał się w nich Jan tajemnie, dwa lata uczył się na nich i czytał.

Wielkie zdolności dopełniały mu czego w książkach brakło, co tylko ludzie, towarzystwo i ustny wykład dać mogą. One wiązały te ksiąg głosy tak często sprzeczne, tak niezgodne z sobą, tak dziwnie się sprzeczające jak dwie kamienne maski u drzwi starego domu.

Wszakże nauka, wiadomości i pojęcia, których nabrał Jan, walcząc z tysiącem zawad, nosiły cechę książkowego pochodzenia swego. Pojmował on świat, jak pojmują ci, co tylko w książkach widzieli życie— w sposób całkiem idealny. Wszystko tajemne, przechodzące, przypadkowe, znikome, brudne, co się w dawnych księgach nie mieściło, nie rachowało dawniéj w bycie (choć tak wielką gra w nim rolę), pozostało obcém Janowi. Świat więc wyobrażał on sobie dalszym ciągiem historyi greckiéj i rzymskiéj, sceną bohaterów, igrzyskiem fatalności heroicznéj, łożyskiem olbrzymiém, teatrem wielkich zwycięztw. Komedya życia pozostała mu nieznaną, tajną, niepojętą; tragedyę tylko, epos i kawałki dramatu wyczytał w księgach.

Dla dziecka, któremu groziła przyszłość bez opieki, takie pojęcie świata było wielką klęską, było zatajeniem wszystkich przepaści i zasadzek. Wiara w *dobre* była w nim główną; o złém wiedział, ale o złém, co

chodzi, jak bywało w literaturze, jawne, widoczne, dające się palcem namacać, z czołem napiętnowaném hańbą i sromotą, z tablicą na plecach wskazującą: oto złe. Dla niego złe uosabiało się w postaciach Anytusa, Melitusa i Likona na Pnyksie Ateńskim, stających w obec ludu tysiącznego z zaskarżeniem bozkiego Sokrata. O złém co się kryje, farbuje, co się przysięga, że jest cnotą, i za ręce ściska, i z rozczulenia płakać umie, zapewniając o szczerych uczuciach—ani miał wyobrażenia. Złe piękne i powabne, złe będące szatanem siły pełnym i ukradzionego wdzięku—było mu zakryte. Wielkie dziejowe postaci odmalowane naiwnie, jak je dawniéj umiano wystawiać, unosiły go. Klaskał w dłonie olbrzymowi i czasem podnosił głowę, mówiąc w duszy: „Ja im kiedyś może dorównam!”

Księgi ascetyczne, które czytał z dobrą wiarą i nabożném wiejskiém sercem, dodały mu zapału, wprawiły do uniesień, kazały się co chwila spodziewać cudu, utwierdziły w pocieszającém przekonaniu o związku nieustannym Opatrzności z człowiekiem, który tak silnie wpływa na ulepszenie opuszczonych zkąd inąd. Żył w świecie z jednéj strony olbrzymów, z drugiéj świętych męczenników, a w oczach jego stali Sokrates, Temistokles, Arystydy i Epaminondasy przy Ś. Antonim, Ś. Józefie i kolosalnych postaciach dwunastu apostołów, ubogich wielkiego Boga posłańców, których jak dwanaście ziarn piasku wybrał z tłumu dla pokazania potęgi swojéj, aby utwierdził nowinę, którą nieśli, samém przyjęciem jéj z ust nieuków i maluczkich, otwartych cudem widocznym. I świetna cywilizacya Rzymu padła od dźwięku słów rybaków, wieśniaków, celników, jak niegdyś mury Jerycha od trąb odgłosu.

Jan zachwycał się wspaniałym obrazem historyi chrześściaństwa. Jestże w istocie co wspanialszego i cudowniejszego?

Takie były dwa lata życia u pana Szyrki. Jaś wyrósł i dojrzewał za wcześnie, szybko, jak dzika a pełna siły latorośl. Przez te dwa lata dwa razy tylko miał listy od matki jéj ręką pisane, i przesłane za okazyą ze słabym zasiłkiem do Wilna. Kasztelanicowi Szyrko posłał owe kopie ze sztychów z nadpisem: *Owoce wdzięczności*. On zapłacił za nie podziękowaniem, zachętą i wyliczeniem w porze należnéj pensyjki na utrzymanie i lekcye.

Wszystkie pieniądze szły do rąk pana Szyrki, który je w owym tajemniczym domku na Trockiéj (wówczas zwanéj Senatorską jeszcze) ulicy przegrywał, nie troszcząc się o potrzeby chłopięcia wcale. Ubóztwo Janka było wielkie, ale dla niego znośne, bo lepszego bytu nie zaznał; widząc go zaś u drugich, umiał w poczciwém sercu nie zazdrościć. Chciwy tylko nauki, pożerał ją, żył nią. Wielkie postaci idealne historyi starożytnéj śniły mu się na jawie, marzyły we snach. Surowy kawałek chleba, czasem zwilżony zlewkami jadła owéj Maritorny z dołu, zgodzonéj o stół dla Maćka i dla ucznia, powietrze przedmieścia, przechadzka za miasto, wystarczały chłopcu, umiejącemu już wzgardzić dumnie najsroższą boleścią i nędzą. Uczucie to w dzisiejszych czasach coraz bajeczniejszém się staje. Wytarte odzienie stare, którego mistrz nie łatał nawet, choć na nowe grosz miał dany, wystarczało mu—duszę ubierał, a o resztę nie dbał.

Począł się trzeci rok nauki. Było to na wiosnę. Janek i Orzeszek siedzieli na galeryi razem i rozprawiali, jak dzieci co dziećmi już być przestają, o naj-

ważniejszych rzeczach w świecie, mierząc się z niemi nie siłami ale żądzą ich poznania. Dzwony kościołów odzywały się w dali; pana Szyrki nie było w domu; Maciek uciekł urwiszować na ulicy; a śpiew chrapliwy Maritorny rozlegał się po wilgotnych dolnych mieszkaniach, fałszywy, cierpki, bez wdzięku. W ulicy skrzypiały koła bryk ładownych, wlokących się do miasta. Nagle głos malarza, czyli jak go tam zwano pospolicie kawalera Athanazyusza, suchy jak dźwięk grzechotki stróża nocnego, odezwał się w dole, rozległ potém dobitnie nawoływając:

— Jan! Jan! Janek!

Jaś wybiegł naprzeciw.

— Gdzie byłeś?

— Tu na galeryi.

— Czemu nie w stancyi?

— Ciemno już.

— A klucz?

— Oto jest.

— Daj go i bywaj zdrów.

— Jak to? spytał chłopiec, nie mogąc zrozumieć nagłego pożegnania.

— Tak to, żeś powinien w rękę mnie pocałować i ruszać do licha.

— Ja? ale cożem winien?

— Winieneś za kwartał utrzymania.

— Spodziewam się, że JW. kasztelanic...

— Wieczne mu odpoczniemie! rzekł obojętnie malarz. Nie zapłaci, bo umarł.

Jaś schwycony nagle tą wiadomością rozpłakał się tak bardzo, że musiał się oprzeć o ścianę, aby nie upaść. W oczach mu się zaćmiło, nie wiedział co począć z sobą. W jednéj chwili przemknęło mu się

przed oczyma duszy jego sieroctwo całe. Matka uboga, daleko, tak daleko! więcéj już nikogo! Wrócić do matki było to poświęcić przyszłość, w którą dla niéj, więcéj niż dla samego siebie, miał ufność.

— Odwagi! odwagi! cierpliwości! rzekł sam do siebie, i podniósł głowę z niejaką dumą, czując, że już tylko o swéj sile pozostał. Malarz patrzał na niego, kręcąc kluczem we drzwiach.

— Panie—rzekł Jaś—wypędziszże mnie, nie dając mi nawet przenocować?

Kawaler Athanazyusz nic z razu nie odpowiedział; potém szepnął jakby zawstydzony:

— Przenocuj sobie, ale trzymać darmo w mieście i uczyć darmo nie mogę. To mnie tyle czasu kosztuje! I utrzymanie! nie, nie mogę! Jutro zaraz pomyśl o sobie. Ja nie jestem w stanie biednych wspierać; sam pracuję na kawałek chleba. Znajdź sobie sposób do życia.

Jaś nic nie rzekł więcéj; a gdy artysta wchodził do swego mieszkania, chłopiec wysunął się ze łzami w galeryę, gdzie się spodziewał znaleźć towarzysza przyjaciela, z którymby się boleścią i myślami o przyszłości podzielił.

— Adamie! Adamie! Adamie! zawołał z daleka.

Student żywo wyścibił głowę przez okienko.

— Czego chcesz, Janie?

— A! nieszczęście!

— Nieszczęście! cóż to się stało?

I wybiegł na galeryę.

— Mówże, mów! a prędzéj!

— Mój opiekun umarł, nie mam nikogo. Jedną ubogą matkę, opuszczoną jak ja. Co ona poradzi? co

ja? Jutro każe mi się ztąd wybierać malarz; nie wiem co począć z sobą... głowa mi się zawraca.

— Masz choć trochę pieniędzy?

— Trochę, niewiele przysłanych od matki, ale to zaledwie na kilka dni wystarczyć może. Gdybym chciał wrócić do swoich, nie będę miał nawet o czém, chyba po jałmużnie. A! radź, mów, co mam począć?

Adam się zamyślił i ręce załamał.

— Nie wiem, nie wiem. Czekaj, jutro, pomyślimy o tém, trzeba ci coś poradzić. Znajdziemy ci może jakie miejsce.

— Miejsce sługi! wolałbym wyrobnika! przerwał Jan. Wyrobnik przedaje tylko pracę swoją; sługa całego siebie.

— O! stokroć prawda! ale mamyż do wyboru? Co poczniemy?

— Tylu jest malarzy w Wilnie! Może mnie który choć do tarcia farb przyjąć zechce.

— O! większa ich część trze sobie farby sama—rzekł Adam—tak są biedni! Żaden inaczéj uczniów nie przyjmuje, tylko za opłatą.

— Ale jabym pracował dla niego!

— Cóż ty umiesz?

— Prawda! nic! nic! rzekł smutnie spuszczając głowę Jan. To okropnie! Pójdę więc do domu.

To mówiąc usiadł nieprzytomny pod ścianą, podparł się na ręku i zapłakał gorzko. Lepsza przyszłość zamarzyła mu się na chwilę: teraz spadał z wysokości nadziei do życia i ubóztwa.

Sny piękne, które roił dla matki, siostr, dla siebie, jednêm dotknięciem w popiół się zmieniły. Wszystko się skończyło. Trzeba było powracać, powracać nieu-

kiem, i pracować jak ojciec, i zginąć może jak on, zszargać się jak on. Nędza! nędza! ileż to ona zabija ludzi! ileż geniuszów zjada w zarodku! ileż pożera przyszłości wielkich i jasnych!

— Poczekaj, poczekaj! nie rozpaczaj jeszcze! rzekł wstrząsając nim Adam: będzie na to czas, gdy już żadnego ratunku nie stanie. Próbujmy wprzódy wszystkiego, czego próbować można. Ja trochę, z daleka znam malarza Batrani'ego, byłem parę razy z jednym uczniem u niego. Albo nie! lepiéj samego ucznia tego uproszę: on bogaty i łatwiéj mu będzie przystąpić, bierze lekcye rysunku. Spróbujemy przez niego.

— Któż taki ten twój uczeń?

— O! złote dziecko, wyśmienity chłopiec! Znasz przecię lub przynajmniéj widziałeś Wawrzyńca Szemiakę? On powie Batrani'emu o tobie, on go poprosi, a w najgorszym razie rachuję na niego, że nam musi dać pieniędzy.

— Z wielkiéj łaski Szyrko dziś jeszcze pozwolił mi przenocować u siebie. Wyobraź sobie, jam na jego łasce, jak ubogi pod kruchtą! Jutro koniec, jutro nie będę już miał gdzie położyć głowy ani mizernego węzełka...

— A! to od dziś przenoś się zaraz do mnie, zawołał gorąco Adam. Prawda, że nawet chleba podostatkiem nie mam, abym się z tobą podzielił, ale to, co mam, mieszkanie, wszystko—wspólne.

Adam, jak wielu ubogich a pracowitych chłopaków, żył z korrepetycyi; ale ówczesna za nie opłata była bardzo mała. Z niesłychanym trudem ucząc się sam i ucząc drugich, ledwie mógł wystarczyć na stancyjkę lichą, jadło mizerne, odzienie zaś raz na rok miał odnawia-

ne i poprawiane oszczędnie. Adam byłby mógł żyć daleko wygodniéj, gdyby był chciał mieszkać z uczniami; ale rozrachowawszy korzyści materyalne ze stratami, jakieby poniósł przez to, wybrał stancyę, jadło, utrzymanie osobne, choć najbiedniejsze. Tu był już panem siebie, panem domu, sam jeden i swobodny. Tu mógł płakać niespytany: czego? niewyszydzany, uczyć się kiedy chciał i rozrządzać kilku przynajmniéj chwilami wedle myśli i żądania, nie podlegając nikomu. Izdebka Adama najęta na piętrze, była prawdziwie studenckiém mieszkaniem: nikt inny w czterech tych ścianachby nie wytrwał. Drzwiami jednemi wychodziła na galeryę; oknem małém na mur sąsiedniego domu nagi i bez okien, który nigdy słońca do mieszkania nie dopuszczał. Jedna mała izdebina, ciasna, całe stanowiła mieszkanie. Piec kaflowy część jéj zajmował; łóżko, stoliczek, dwa stołki drewniane wyślizgane i kuferek, gdzie książki razem z odzieniem w pokoju przebywały, ubierały ją. Ale pomimo ciasnoty, ubóztwa, czysto tu było i z ładem; umieciono, uporządkowano, każda rzecz na wyznaczoném sobie miejscu, nigdzie pyłu, tego szkaradnego *memento*, które posyła co chwila zniszczenie, przypominając nam, że nas goni, wciskającego się wszędzie, zjadającego wszystko.

Adam otworzył drzwi, a Jan ścisnął go czule za rękę.

— Nie nadużyję twego serca, rzekł mu; ale dzięki ci, że mnie ocalasz od łaski tego pana! O! dziękuję ci. Zabieram co mam i powracam tu. Nie zabawię długo. Pomieszczę się w kątku u proga, na podłodze, abym ci nie był ciężarem. Mnie mało potrzeba, bom nigdy wielkiego nie próbował.

I Jan zarumieniony, pobiegł chyżo do drzwi pana Szyrki, który przechadzał się szerokiemi kroki po pokoju, dumając może: z czém grać pójdzie na Senatorską ulicę?

— Przyszedłem podziękować panu i pożegnać go, zawołał zdyszany, chwytając swoje manatki.

— Co? już! dziś? w nocy? a prosiłżeś o nocleg? rzekł zdziwiony Szyrko, który chciał się dowiedzieć, gdzie tak rychło barłóg mógł sobie znaleźć jego uczeń?

— Nie chcę wam być ciężarem, więc żegnam i idę.

Pan Szyrko nie miał wcale złego serca: wadą jego główną było głupstwo szerokich rozmiarów. Ta ucieczka nocna poruszała go trochę i łechtała zgryzotą. Wreszcie miał już nałóg widzenia tego ucznia u siebie; coś go niepokoiło widząc, że odchodzić zamyśla.

— Ale dokądże? spytał.

— Daje mi tu przyjaciel, znajomy, schronienie.

— Ale któż taki?

— Ubogi, litościwy student.

— Hm! hm! wykrzyknął Szyrko. A po cóż się śpieszyć? Maciek wisus i łajdak, o czém się codzień przekonywam; dam mu kolanem odprawę. Z ciebie chłopak stateczny, niczego; gdybyś chciał trzeć farby i czyścić trzewiki i bóty, i izbę umiatać, dałbym ci miejsce Maćka.

— Dziękuję, dziękuję, rzekł Jan. Nie mogę być sługą, bo nie o sobie tylko myśleć muszę, ale o losie matki biednéj, i o siostr przyszłości. Będę szukał sposobu uczenia się i wyjścia na coś lepszego.

— A! z panem Bogiem! urażony trochę i tknięty rzekł pan Szyrko. Z panem Bogiem i krzyżyk na drogę. Ruszajże sobie! próbuj, a pamiętaj, że także za początki mnie winieneś wdzięczność i za kwartał utrzy-

mania nie opłacono. Początki! wszystko jest w dobrych początkach! powtórzył. Bądźże zdrów! rzekł do całującego go w rękę Jana: bądź zdrów, a jeśli zostaniesz w Wilnie, odwiedź mnie czasem i daj wiedzieć o sobie.

Jan wyszedł ocierając łzę, a Szyrko otworzył powoli kuferek, dobył kilka dukatów w pęcherz zawiniętych, obejrzał się, zamknął i wyszedł na swoje wieczorne stanowisko. Adam czekał na towarzysza, noc już była, usiedli razem i w ciemności gadali długo; potém ze łzami w oczach Jan ukląkł się pomodlić, i nie spodziewając się snu, po cichu legł na sienniczku. Ale sen młodości, tém silniejszy im większe było dnia wzruszenie, objął go i przeniósł w mgnieniu oka do poranku wrot.

— Idę do Szemiaki, czekaj na nas, rzekł Adam. Bądź zdrów, do zobaczenia, i nie·trać nadziei.

W myślach sam z sobą spędził cały czas do południa przyszły nasz artysta. Biły już dzwony, zwiastując dwunastą, gdy szybkie kroki dały się słyszeć na wschodach, i głos, po którym poznał Jan, że Adam nie sam powraca. Otworzyły się drzwiczki. Młody chłopiec wszedł z jasną twarzą i ciekawemi czarnemi oczyma.

— Dzień dobry! dzień dobry!

Adam szedł za nim, wpół wesół także, ale na jego bladéj i spracowanéj twarzy wesołość przesuwała się jak zachodzącego słońca blaski po chmurkach, co migną i gasną, a po nich siny tylko, zimny obłok znów zostaje.

— Dobra nowina! dobra nowina! rzekł Adam. Ot kochany Wawrzyniec był już u Batrani'ego. Batrani poczciwy nie odmawia, ale kładzie dwa warunki: na-

przód, żeby miał czas żonę uprzedzić i wymódz na niéj zgodzenie się na twoje przyjęcie; powtóre, żąda, abyś mu za chleb i za naukę czasem trochę w domu posłużył.

— Muszę i będę, rzekł smutnie Jan.

— Chodź więc ze mną, Janie! zawołał Wawrzyniec. Zostaw węzełek u Adama, ubierz się w co masz najlepszego i ruszajmy.

— Lepsze! to jedyne co mam, odpowiedział Jan: nie mogę go odmienić.

— Idźmy więc i tak, poczekasz na mnie w ulicy, a ja pójdę wprzód oznajmić cię malarzowi.

W milczeniu zeszli ze wschodów, wysunęli się w ulicę, a Jan skłonił się i pokląkł na chwilę w Ostréj Bramie, téj świętéj relikwii wiszącéj na piersi miasta. Powoli postępowali daléj, mijając stary opalony ratusz, opiewany przez Jachimowicza, mury jezuickie, aż do Zamkowéj ulicy. Tu w jednym z kanoniczych domów stał na tyłach Batrani, zajmując dosyć obszerne mieszkanie. Był to jeden z ówczesnych lepszych malarzy, lecz skromny i okolicznościami domowemi spętany, wspomnień po sobie niewiele zostawił.

Rodem Włoch z Florencyi, młodo wyszedł z kraju, z tém przekonaniem często cudzoziemcom właściwém, że na wschodo-północy znajdą chleb, bogactwo, sławę, wszystko, czego im w ojczyźnie braknie. Ale jak bardzo wielu, zawiódł się Girolamo Batrani. Szedł pełen nadziei, i wpadł w tę samą kałużę, którą mu los gotował w ojczyźnie, od któréj uciekał z Florencyi. Batrani był jednym z najlepszych uczniów ostatnich malarzy, co tradycye szkoły dawnéj florenckiéj zachowali. Studya jego młodości tradycyonalnym szły porządkiem. Przechodził z malarni do malarni, z początku chłop-

cem, dalej uczniem; rysował z antyków, z natury, podmalowywał mniéj ważne części obrazów mistrzowskich, niekiedy dawano mu wykończać akcessorya. Teorya sztuki naówczas przelewała się w rozmowach, ułamkowo się udzielając, częściami; każdy ją dla siebie rozwijał i dorabiał w duchu. Ale w dodatku do niedostatecznych może mistrzowskich nauk, dawała Florencya to, czego dziś jeszcze nic nie zastąpi gdzieindziéj: wspaniałe dzieła Michała Anioła, Rafaela, Dominiquina, Guidona otaczały tu ucznia, codziennie na każdym kroku rzucając mu w oczy idealnéj piękności wzory. Campanilla, Baptister, posągi, arcydzieła malarskie po kościołach i placach, cudownie natchnione obrazy Fra Angelica z Fiesole, prawdziwego anioła sztuki, freski naiwne a pełne wielkiéj myśli mistrzów starych spotykał wszędzie. I lud włoski, lud, co umie zawsze ukazywać się jakby siadał do malowania, co instynktowo piękność czuje i stara się ją wyrazić sobą, otaczał artystę. Wszystko, co widział, było piękne; same wzory wyborne karmiły go od dzieciństwa. Od wielkich a prześlicznych proporcyami gmachów aż do dziecięcia w łachmanach, wszystko jak do obrazu stworzoném się zdawało. Batrani więc wyssał uczucie piękna, nauczył się rysować łatwo, nabył stylu, nie wiedząc jeszcze prawie co styl, i dzieckiem miał już mechaniczną wprawę, owo narzędzie niezbędne dla wydania myśli.

Przenosząc się z malarni do malarni choć już skarlałych Florentczyków, pozbierał różne indywidualne ich przymioty, pojmując z kolei koloryt jednego, wyraz drugiego, trzeciego uczucie linij i świateł, co słowy nauczyć się nie da. Ale skromny, nieufający sobie, a z zapałem wielbiący mistrzów, co wsławili czasy

medyceuszowskie, tak się czuł małym, tak nieudolnym, że i drugich o nikczemności swéj przekonał, i sam wołał szukać losu za granicą, niż w kraju swoim, gdzie nie spodziewał się zrównać nigdy z wielkimi nieśmiertelnymi XVI wieku, a ciągle musiał być z nimi porównywany. Wyszedł więc; ale to, co mu szkodziło w ojczyźnie, szkodziło wszędzie: mała cena, którą do prac swych przywiązywał, lekceważenie siebie i wiecznie nierada sobie tchórzliwość, nie dawała drugim poznać się na jego wartości. Ludzie najczęściéj są łatwowierni do śmieszności, a gdy im kto powie: „Jam wart niewiele,” biorą go za słowo. Mierność szumnie się przechwalająca i wskazująca każdy swój krok jako arcydzieło, zyskuje poklaski i wzięcie powszechne.

Rzadki niepodległy i silny umysł inaczéj potrafi ocenić człowieka, niżeli on sam siebie ceni. Ale o to jak trudno! Batrani był zapału pełen jak dziecię nieodrodne Południa, jak dziecię Florencyi; łzy mu w oczach stawały, gdy przypominał sobie owe *Bramy Raju*, owe arcydzieła, gdy zagorzały mu żywemi blaski w duszy wspomnienia dzieł Sanzia, Bartholomea, Michała Anioła, Caraccich. Czuł on głęboko ich piękność, a tak ślepo ich wielbił, iż sądził się prawie niegodnym trzymać pendzel, że ze strachem, niedowierzaniem, boleścią i nieufnością, jakby zmuszony tylko brał się do roboty, porównywając ją potém w myśli do swoich ideałów. W każdéj robocie własnéj tyle znajdował wad, tyle słabości i błędów, iż wreszcie odpychał ją prawie ze wzgardą lub usuwał z bolesném westchnieniem!

Była to jedna z rzadkich dusz wzniosłych, co poj-

mują uwielbienie i cześć jako skrzydła zbliżające nas ku *wielkiemu*, co widzą wszędy ślady roztłuczonego *piękna*, nie rozumiejąc krytyki, nauki braków i niedostatków, lub zostawując ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz, które są męczennicami uczucia swojego, przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkiemi wrażeniami, jakie daje kontemplacya *wielkości* i *piękna*. Pobożny, łagodny, litościwy, umiejący bawić się jak dziecię, a myślący głęboko, jak myśli ów sławny posąg na grobie Wawrzyńca Medyceusza, Batrani ze łzami w oku szedł życiem w ciągłym zachwycie, siebie niewiele ceniąc i najpierwéj poświęcić gotów.

Średniego wzrostu, posiwiały, w czarnych oczach zdawał się mieć wiecznie gotowe do wylania wezbrane łzy; głęboko wpadłe źrenice pływały w nich ciągle. Wyraz ust wązkich był pełen słodyczy i uśmiechu miłego; czoło wzniosłe, ale zmarszczone troskami, posiwiałą resztką miękkich włosów okryte, mogłoby za wzór było służyć snycerzowi. Nieco zgarbiony, w ruchach nieśmiały jak dziecko, bojaźliwy, milczący, mało znany wzbudzał politowanie, lepiéj poznany szczere uczucie przyjaźni i przywiązania. Nikt też lepiéj nie zasługiwał na nie; gotów się był poświęcić sto razy dla niewdzięcznych i słowa nie rzec zdradzony. Batrani ożenił się na Litwie, z kobietą najniższéj prawie klassy, ale niezwykłéj piękności. Młodszy jeszcze przybywszy do Wilna, postrzegł w tłumie dziewczę, które mu Włochy przypominało oczyma, usty i budową ciała kształtną a dziwnie czystych idealnych linij. Marya ukochana, Maryetta Batrani'ego, była córką ubogich piekarzy z Zarzecza, zepsutą jak jedynaczka, samowolną, a w pączku już zatrutą od-

dechem miasta, które starości ani dzieciństwu czystemi przetrwać nie daje.

Daleko młodsza od Włocha, który rozkochał się, poczynając już siwieć, Maryetta śmiała się z niego, gardziła nim, popychała, odtrącała go, aż w końcu musiała przyjąć za męża. Marya bowiem miała kochanka, który się z nią ożenić nie chciał, choć był powinien; rozpacz ogarnęła dziewczynę wystawioną na sromotę: Włoch skorzystał z téj chwili rozpaczy i poświęcił się, przyjmując matkę i dziecię, ani słowem, ani wejrzeniem, ani smutkiem nawet nie dając jéj poznać, co go kosztuje hańba jéj, hańba własna i położenie ich obojga. Ludzie po prostu plwali wzgardliwie na Włocha, nie pojmując takiego poświęcenia i biorąc je za podłość. Marya stawszy się żoną jego, żelazną ręką wzięła rządy domu; poczęła rzucać mężem jak dziecię piłką. Próżna, gadatliwa jak sroczka, samowolna jak zepsute dziecię, pięknością swoją dumna, zdawała się mieć przyjemność w dręczeniu męża; spokojność jego, posłuszeństwo, wytrwały charakter, jeszcze ją rozdrażniały. On wszystko znosił od ulubionéj, ubóztwianéj Maryetty. Niewolnik we własnym domu, zabijał się pracą, podlił, podejmując się robot najlichszych, tracił sławę, aby jéj zapracować co mieć chciała. Kaprysy dziwaczne téj kobiety nie miały granic; mściła się na mężu za kochanka, za wszystkich znienawidzonych mężczyzn. Batrani w ciągu kilkoletniego pożycia ani razu nie pisnął i nie poskarżył się: patrzał w oczy Maryetty i tego mu dość było.

Pożycie ich było podziwem sąsiadów politowaniem dla wielu; bo Batrani przez niepojęte przywiązanie dla złéj, próżnéj i głupiéj kobiety, poświęcał się, uniżał,

upokarzał niewypowiedzianie, niczém niewynagradzany. Ona miała w ręku wszystko, ona była panią samowładną. Nie kochając męża i ojca swych dzieci (mieli bowiem dwoje oprócz pierwszego, naturalnie ulubionego od Maryi nad inne), pomiatała nim jak cichym a nieznośnym sługą, którego powolności jesteśmy pewni. Najmniejszy brak w domu wyrzucała mu gniewliwie jak zbrodnię. Dwoje tych aniołków, które się później urodziły, biła, popychała, znęcała się nad niemi jak nad nieswojemi dziećmi; a biedny Batrani musiał w kątku tylko ze łzami je ściskać, bo mu wyrzucała za każdém otwartém okazaniem dla nich czułości, że jéj ulubieńca nie cierpi, a tém ją w oczach całego świata obwinia. Kiedy spłakane młodsze dzieciny szły do kolan ojca, musiał je gdzieś w kątek uprowadzać, aby otrzeć ich łzy, pocieszyć je i nacieszyć się niemi. Starszy, żywy obraz matki, piękny jak aniołek Albana, zły jak żmijka, pędzał młodsze biczem, pędzał ojca mniemanego, znęcał się nad sługami i uczył się wcześnie nie mieć serca. Rodzice Maryi pomarli wkrótce, zostawując jéj w spuściźnie lichy i odłużony domek tylko na Zarzeczu, który, jako wspomnienie lat młodości i kochanka, kazała okupić malarzowi żona. On posłuszny zabijał się, pracując na to. Tymczasem stroje Maryetty, życie jéj wrzawliwe, pożerało powoli co on zapracowywał.

Sechł biedny i szalał w nieustannéj pracy, ale się nie skarżył — patrzał w oczy Maryetty. Jeśli cudem, litością, rachubą Maryetta mu się uśmiechnęła, Batrani gotów był w ogień skoczyć, duszę dla niéj zaprzedać. Ten uśmiech długie lata oczekiwań, łajań, gniewów, nagradzał chwilą jedną.

Takim był malarz, do którego Wawrzyniec Sze-

miaka miał wprowadzić Jana. Dom Włocha składał się z niego, z żony, trojga dzieci niedorosłych, trzech sług kobiet, jednego służącego i chłopaka wyrostka. Uczniowie nieliczni naówczas, byli eksterni. A gdy żona, dzieci, sługi bez litości trwonili pracę Włocha i rozsypywali ją marnotrawnie, on jeden w sukni łatanéj, nie miał często grosza na własną potrzebę, ani sposobu zarobić go sobie, bo żona zabierała wcześnie wszystko do siebie i godziny mu rachowała.

— To biedne dziecko opuszczone — mówił cicho Wawrzyniec malarzowi — ma ochotę, wyszedłby może na artystę, ale opiekun, który mu pomagał, oddawał go na naukę, umarł. Nie ma się gdzie podziać. Gdybyście go przyjąć chcieli...

— Gdybym mógł! westchnął malarz. Ale sami widzicie: moja dobra żona, moja kochana Maryetta, tak zawsze biedna, chora i chorobą znękana, zniecierpliwiona, tak nie lubi obcych, tak...

— Możeby się przecię zgodziła. Jan mógłby wam trochę posługiwać, a poduczywszy się czegoś, pomagać.

— O! to nieprędko, rzekł malarz łagodnie. Ale poczekaj Lorenzo, pójdę ja do niéj, poradzę się z kochaną Maryettą.

I chwilkę się zastanowiwszy, jakby dla zebrania myśli, odważnie potém postąpił ku drzwiom, za któremi wrzał i buchał to piskliwy, to groźny głos *ukochanéj Maryetty*.

— Czego to? zawołała kobieta zaledwie okryta narzuconą suknią kosztowną, ale poszarpaną, z włosami rozpuszczonemi, z twarzą zaperzoną. Zawsze te twoje nieznośne dzieciska naprzykrzają się mojemu Michasiowi; patrz, musiałam je obić.

Włochowi na widok zapłakanych dwojga tulących się do siebie dziatek, łzy zakręciły się w oczach.

— Moja droga Maryetto! rzekł z westchnieniem.

— *Moja droga Maryetto!* powtórzyła podrzeźniając go żona. Tak! tak! droga Maryetta, a ona się musi zabijać z twemi dziaciskami nieznośnemi jak ty. Czemu ich gdzie nie pooddajesz?

— Moje dzieci!

— Ja nie wytrwam w tém piekle!

— Cierpliwości trochę Maryetto! cierpliwości!

— Ja nie mam cierpliwości, wiesz o tém, i nie chcę jéj mieć. Głupcy tylko są cierpliwi jak ty.

Włoch zamilkł, a po chwili:

— Chciałem cię spytać się Maryetto... miałem do ciebie prośbę...

— Wszakże zwykłeś robić wszystko bezemnie lub na przekór mnie!

— Ja?

— A tak! ty! ty! O cóż to przecię raczysz się mnie pytać? dodała szydersko i złośliwie.

— Potrzebuję kogoś, coby mi mógł późniéj w robotach pomagać. Chcę wziąć ucznia. Tym sposobem zarobekby się mógł powiększyć może. Ty wiesz, ile potrzebujemy, jak trudno mi wystarczyć. Trafia mi się właśnie...

— A! jakiś ulicznik jak ów może, coś go przez litość a raczéj przez głupstwo wprowadził, co to nas okradł potém i uciekł. Jesteś i umrzesz cielęciem.

— Ale kochana Maryetto...

— Ale, *kochana Maryetto! kochana Maryetto!* Chcesz znowu dać się na pośmiech ludziom, gubisz zresztą siebie, ale i mnie. Zkądżeś znowu wygrzebał tego chłopca?

— Lorenzo przyprowadził mi go; był jakiś czas u Szyrki.

Te słowa: „Był u Szyrki" uderzyły Maryettę: spojrzała na męża.

— Dla czegoż się ztamtąd oddalił? spytała.

— Szyrko dwa czy coś lata brał za naukę jego opłatę od protektora chłopięcia kasztelanica Trąbskiego, który właśnie umarł niedawno.

— Tak! a gdy goły, to ty go chcesz wziąć darmo. Marnotrawniku! o! jak to do ciebie podobne! Żona i dzieci nic nie mają, a ty cudzemi się myślisz opiekować. Ale cóż to za łotr z tego Szyrki! dodała.

Trzeba wiedzieć, że Maryetta nienawidziła kawalera Athanazyusza.

— Dobrze, dobrze! zawołała namyśliwszy się. Upokorzymy tego łajdaka, tego bazgrałę, co się ma za malarza dla tego, że się z niego ksiądz biskup naśmiewa, i śmie mierzyć się a nawet prym brać przed tobą. Dobrze, pokażemy całemu miastu, że nie ma serca, tak jak nie ma głowy. Weźmiemy tego chłopca.

— O! ty masz złote serce, Maryetto! zawołał uradowany Włoch, całując zabrukane jéj ręce. Tyś taka dobra! Tak! tak! weźmiemy sierotę, przyjmiemy, przytulimy.

— Daj mi pokój z tém dobrém sercem! Ja ze złości go biorę. Ale pokażże mi go wprzódy—chcę go widzieć, bo tyś gotów kalekę jakiego, obrzydliwca wziąć na niewidziane; ty wszystko robisz bez najmniejszéj uwagi.

— Zaraz go zobaczysz! zaraz!

I Batrani wybiegł do Lorenza z uradowaną twarzą.

— Wołaj tego chłopca! wołaj! Moja złota Maryetta

chce go widzieć wprzódy: ona ma zawsze słuszność, ona taka rozumna, tak przenikliwa!

Wawrzyniec zbiegł ze wschodów, i z bramy domu dał znak biedakowi, który oparty o ścianę czekał, patrząc osłupiałém okiem na dym wijący się z komina i latające nad dachem wróble. Patrzał a nie widział nic.

— Janie! Janie! zawołał żywo Wawrzyniec: chodź chodź!

I Jan wyrwany z zadumania długiego, sennego prawie, poskoczył zarumieniony, przerażony, żegnając się bojaźliwie, nim na wschody wstąpił.

Na górnym stopniu, u wnijścia, czekał już na niego Batrani z ciekawością; a gdy Jan pocałować go chciał w rękę, uściskał go i pocałował w głowę z rozczuleniem (bo pomyślał o własnych dzieciach w téj chwili) i dodał:

— Nie dziękuj, nie dziękuj mi jeszcze, poczekaj; rzecz dotąd niepewna, nic wiadomego dotąd; wstrzymaj się, chodź za mną.

I wpatrując się w twarz Jasia drżącego, pomieszanego, prowadził go do żony. Jan piękny zawsze, teraz okryty tym królewskim purpurowym płaszczem, rumieńcem niewinności, który tak uwdzięcza twarze młode, piękniejszy był jeszcze. Spuszczone oczy jego, postawa zalękniona, były najlepszą zaletą w oczach kobiety, która właśnie chciała, żeby wszystko drżało przed nią, i przywykła do tego.

Niecierpliwa Maryetta już otwarła drzwi swego pokoju i czarnemi oczyma ścigała nową ofiarę. Lecz, o cudo! błyszczące oczy jéj czarne zaszły nagle łzami, głos w piersi zwinął się i stłumił, zmieszała się, za-

jękła, i zakrywszy twarz dłonią, zatrzasła drzwi tak silnie, tak impetycznie, że Batrani przerażony, wylękły, nie wątpiąc, iż Jan wypędzony być musi, począł się mieszać, niepokoić, nie wiedząc jak to nowoprzybyłemu objawić. Nigdy on odmawiać nie umiał, tyle go kosztowało, ilekroć był do tego zmuszony!

Wawrzyniec widział także zatrzaśnięcie drzwi, ale nie zrozumiał go wcale. Wtém z za uchylonéj połowy twarz Maryetty ukazała się znowu, wołając męża niecierpliwie:

— Girolamo! Girolamo! chodźże!

Mówiąc to, mierzyła jeszcze ukradkiem oczyma chłopca, który stał jak winowajca.

— Odprawię go, odprawię! rzekł uprzedzając chęci pokorny Włoch, i westchnął.

— Tak! tak! biednego sierotę wypędzić na ulicę, gdy przytułku nie ma! Któż ci mówi o tém?

— Więc pozwalasz go przyjąć, Maryetto?

— Albożeś się mnie o to pytał? Już jest, niech więc zostanie.

— Lecz jeśli ci to może robić przykrość, jeśli ci się zdaje, że i tak jest nas w domu za wiele?

— Któż to mówi! zapalczywie przerwała Marya: od kogożeś to słyszał? Niech zostanie, powiadam; niech zostanie! Ja chcę, ażeby został.

Mówiąc to, jeszcze raz spojrzała na Jana, i zamknęła drzwi z gniewem, złośliwie, popędliwie jak zawsze.

Włoch posłyszawszy to: „Ja chcę!" — wprowadził natychmiast Jana do swojego domu, bo wszelki rozkaz żony był dla niego nieodwołalny.

Tegoż wieczoru Jan zniósł rzeczy swoje, pożegnaw-

szy poczciwego Adama, i już w kącie wielkiéj Batrani'ego malarni dumał nad przyszłością. Poczciwy malarz ukradkiem przyniósł mu trochę jedzenia, pogłaskał go po głowie, i nie śpieszył z daniem roboty, sam woląc się krzątać i siebie posyłać, niż w téj chwili uroczystego smutku oderwać od rozmyślań biedne dziecko, które już serce jego za swoje było przyjęło.

Nadzwyczajne zmiany zaszły wkrótce potém w domu malarza Batrani'ego. Jan, który zdawał się wziętym prawie przeciwko woli wszechwładnéj Maryetty, stał się jéj ulubieńcem widocznie. Malarz przypisywał to najlepszemu, złotemu, jak je nazywał, sercu Maryetty; inni ruszali ramionami. To pewna, że po najdroższym Michasiu, a daleko przed biednemi dziećmi malarza, stał uczeń w łaskach pani. Często ukradkiem rozwarłszy drzwi, Maryetta patrzała na pracującego ze łzą w oku. A łza, łza inna nad wylaną w gniewie, tak u niéj była rzadką! Ilekroć przemówiła do Jasia, to tak łagodnym głosem, tak drżącym, jakby się ona jego, nie on jéj lękać miał. Czasem zamyślona godzinę stała, wpatrując się w niego. O cokolwiek poprosił, uprzedzając życzenie, podsuwała mu. Michaś nawet nie miał prawa nad nim się znęcać, i nieraz burę oberwał, gdy wzorem braciszka i siostrzyczki chciał wyćwiczyć ucznia. Malarz przewidujący, jak źle Jasiowi musi być u niego, dziwnie się zawiódł, jak zwykle w domysłach i przeczuciach zawodzimy się wszyscy. Coś niepojętego przywiązywało Maryę do tego dziecka. Często gdy Jan sam jeden w malarni siedział skulony, rysując na kolanie z gipsów, wkradała się za niego, i cicho, łagodnie poczynała rozmowę z takiém wzruszeniem, jakby głos biednego chłopca znała

już dawniéj, jakby on jéj przypominał coś drogiego, utraconego. Nietylko postawą i ciałem, ale sercem i duszą Włoszką była ta kobieta.

Batrani cieszył się i błogosławił dzień, w którym wziął Jana do siebie, bo teraz częściéj miał chwilę spokojną. Lecz Maryetta, jakby zapierając drogę pytaniom i wszelkiemu tłómaczeniu, udawała przed mężem obojętną dla chłopca, czasem nawet niechętną. Batrani przywiązywał się do niego codzień mocniéj. Prędko bardzo objawił się prawdziwy wrodzony talent w chłopięciu, a Włoch zapalił się myślą uczynienia z niego wielkiego artysty. Każdemu postępowi ucznia poklaskiwał, ciesząc się nim jak dziecię. Uczył on nie jak drudzy, co zazdrośni najdroższe tajemnice zostawują sobie, ale z duszy i z głębi serca dobywając co miał najszacowniejszego. Myśli swoje, doświadczenie długie, smak wykształcony, drogie sztychy które zbierał i nad któremi nieraz płakiwał, przypominając oryginały w pałacu Pitti i Trybunie—wszystko otworzył Janowi, zachęcając do czerpania. Sam nauczony wedle odwiecznéj i najlepszéj metody u najsławniejszych mistrzów, wlał w ucznia swego co miał tylko od nich, natchnął go tym zapałem, co mu z oczu nieraz łzy wyciskał, świętym ogniem, bez którego nie ma artysty wielkiego, choć tylu pospolitych bez niego się obchodzi!

Cóż bowiem jest sztuka? co artysta? Sztuka nie jest głupiém małpowaniem natury i prozaiczném tłómaczeniem myśli, ale tworzeniem ideałów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma jest tylko objawem myśli niewidoméj, a malarz winien wiedzieć znaczenie wszystkiego, co

widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojéj myśli. Co natura myśli i objawia wyrywkowo, niekompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swéj myśli, myśli znającéj siebie, pełnéj i wielkiéj. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnéj, jak nie ma ich też bez prawdy realnéj, będącéj wyrazem pierwszéj. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniéj więcéj prawdziwie i dokładnie; ale poetą, co myśl wielką, uczutą, pojętą i wyrywającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko, co jéj dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykalną uczynił. Bez tego twórczego ognia, co unosi mistrzów, co uświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nie ma obojga. Bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik.

Są niestety, i jakże wielu podobnych artystów! co siadają do pracy zadanéj jak szewc do skrojenia bóta, zimno, mechanicznie, bezmyślnie, na traf się zdając, przypomnienia za tworzenie biorąc; ale sąż to godni nazwania tego artyści? O! nie! Zapatrzmy się na ekstazę Ś. Łukasza, który w niebie okiem szuka wzoru do twarzy Matki Bożéj — jest to cudnie piękny symbol. Choćby Ś. Łukasz nie był malarzem (jak chcą niektórzy krytycy), legenda ta będzie zawsze wielką i piękną nauką. Tak! w niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez ekstazy i zapału nie ma tworzenia. Ideały linij, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości: wszystko powinno wystrzelić jak kwiat aloesu razem, rzutem jednym — z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapałem.

Tak właśnie z wysoka, tak wielką pojmował sztu-

kę Batrani, pojmował ją jak wówczas rzadkie tylko, niepospolite i wiek wyprzedzające umysły rozumiały. Czytajmy dzieła XVIII wieku o teoryi sztuki, a przekonamy się, że sztuka naówczas mniéj zrozumiana była, gorzéj pojęta, niż gdy Leonardo pisał swój traktat, Rafael listy swoje, Benvenuto Cellini pamiętniki, Michał-Anioł sonety. Tam to, w tych urywkach szukać należy rozpierzchłych rysów odwiecznéj prawdy o sztuce, którą umysły wyborowe, wielkie, zawsze jaśniéj i lepiéj od współczesnych pojmowały. Plato stary, bozki Plato, nazwał *piękno blaskiem prawdy*, i kazał tworzącemu dzieło zapatrywać się we wzór idealny, nieśmiertelny. Po Platonie wieki czekać było potrzeba, aby toż samo powtórzono.*)

Batrani, wierny uczeń téj potężnéj szkoły włoskiéj, która razem w jedno wzięta jest może największą w świecie, najlepiéj pojmował ideał w sztuce i najłatwiéj pojęcie o nim wlać umiał.

Jan przez rok tutaj więcéj skorzystał niż przez dwa u Szyrki. Rysunek jego począł dążyć do owéj cudnéj czystości linij, która zachwyca w sztuce starożytnych; do owego wdzięku, który ani energii, ani prawdy nie wyłącza.

Włoch, jak wszyscy ludzie kompletniejsi, nie był zwolennikiem ani jednego stylu, ani jednéj maniery,

---

*) *ὅπου μὲν οὖν ἂν ὁ δημιουργὸς πρὸς τὸ κατὰ ταὐτὰ ἔχον βλέπων ἀεὶ, τοιούτῳ τινὶ προσχρώμενος παραδείγματι, τὴν ἰδέαν καὶ δύναμιν ἀπεργάζηται, καλὸν ἐξ ἀνάγκης οὕτως ἀποτελεῖσθαι, πᾶν οὗ δ' ἂν εἰς τὸ γεγονὸς, γεννητῷ παραδείγματι προσχρώμενος, οὐ καλόν.* *Plato. Τίμαιος.*

ani jednego mistrza. Widział on w zachwycającéj całości sztuki myśl z tysiąca stron objętą i wystawioną, umiał ocenić stronę właściwą każdemu, choć wyłącznością grzeszącą. Szukał siły w Michale-Aniele, idealnéj piękności linij i wyrazu w Rafaelu, wdzięku naiwnego u Fra Bartholomea, kolorytu u Tycyana, Palmy i Bellinich, wykwintnéj roboty u Hollendrów, idealizujących kapustę, marchew i zmarszczki staréj baby, przywiązanych tak do kraju, że własne suknie i twarze dają Rodzinie Świętéj, czystych i przezroczystych w robocie jak skrupulatnie czyści i umyci są w domu.

Lecz z mnóztwa dziwacznych utworów germańskiéj sztuki, stary Łukasz Kranach, nieporównany Martin Schoen, naówczas tak mało jeszcze cenieni, byli dla Batrani'ego przedmiotem czci i podziwu. Płodność i siła Dürer'a wymawiała w oczach jego niepojętą czasem karykaturalność, a raczéj przesadę wyrazu, zbytek realnéj prawdy.

W takiéj szkole Jan odetchnąć nie miał czasu: każda chwila była tu drogą, wszystkie leciały piorunem, dni migały błyskawicą, zapominał o wszystkiém, znikała mu z oczu ziemia, jak Eliaszowi porwanemu na wozie ognistym. A! jakże rzadko, jak rzadko ten wóz ognisty zapału porywa z ziemi wybranych i unosi ich w obłoki! Jak daleko częściéj miasto świętego wozu, przypina sobie biedne człeczę, lepione i klejone skrzydła Ikara, aby spaść potém z wyżyny na ziemię, w otchłanie morza!

Wkrótce Jan stał się nawet pomocą malarzowi, wziął pendzel do rąk i nieśmiało pierwszemi barwy wyrazić się starał myśl go przenikającą, jeszcze niepochwyconą, któréj ustalić nie umiał. Łagodnie kiero-

wany, uczuł rozwijanie się własne, a radość dodawała mu sił nowych.

Batrani był jednym z tych nauczycieli, co rozumieją najlepiéj, że kierując uczniem, samodzielności odbierać mu się nie godzi, że należy oszczędzać mu szukania i niepewności, ale zostawić wybór drogi, i nie żądać od talentu, aby siebie się zaparł dla mistrza.

Gdy się te wielkie niepostrzeżone zmiany w głębi niego odbywają, Maryetta gorącém okiem, w którém każdy inny, prócz poczciwego Batrani'ego, byłby namiętność ognistą wyczytał, obejmuje, rozgrzewa chłopca daremnie.

Oprócz strachu, żadnego uczucia nie wzbudza w nim to wejrzenie dziwne, którego zapału, ognia, czułości, nadziei, chwilami błyszczących, on nie rozumie nawet. Napróżno rozpoczyna rozmowy Marya, on jéj tylko urwanemi odpowiada słowy, pyta o rozkazy, nie śmiejąc nawet podnieść na nią oczu.

— To on! to drugi on! cicho szepcze rozdzierając na sobie suknię z niecierpliwością kobieta. Jak on zimny! jak on obojętny! O! jakże dziwnie, jak cudownie go przypomina! Ale przynajmniéj patrzę na niego, widzę go codzień jeszcze. Łudzę się, i zdaje mi się, marzę, że on mnie kocha znowu, choć na chwilę. Dla czegoż niczém do życia go pobudzić nie można? Jestże tak dziecinny jeszcze, czy tak zimny już? O! nie, oczy świadczą, że już myśli, ale nie o mnie, ale nie dla mnie!

Trzeci rok bytności u Batraniego upływał. Jan gorliwie pracował, rozumiał mistrza i wiedział, ile mu samemu brakło. Kto wie, że nie jest doskonałym, ten najpewniéj jest na drodze do udoskonalenia. Tylko dla ludzi, którzy się mienią skończonymi, w istocie

wszystko się skończyło, nic z nich już nie będzie. Dopóki te wielkie, sine przestrzenie nieskończoności widzi przed sobą człowiek, dopóty idzie; gdy ściana ciasna świat mu zamknie, cofa się, maleje i kona. Jan widział niezmierzone drogi przed sobą; pojmował ile pracy, poświęcenia, ile nauki potrzeba, aby być mistrzem i twórcą. Rzec można, że cały świat podbić wprzód sobie musi, kto świat ten ma odtwarzać. Nic mu tajnego, nic mu obcego być nie powinno. I rzeczy łupina-forma, i ten duch wewnętrzny, co formie *wyraz* nadaje, i blaski powierzchowne jasności wewnętrznéj, i życie we wszystkich swych objawach, począwszy od znikomych świateł do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowny, dzieje jego, twarz, jaką mu nadaje klimat, ród, obyczaje, cywilizacya, indywidualność, charakter, — wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką: — związek ciała i ducha, przyczyny objawu formy i myśli; — uczy się czytać hieroglify odwieczne i pisać niemi tak, aby zrozumiany został. Musi myśleć jak filozof a tworzyć jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy dla oczu gminu stworzona i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

Dla tego pewnie wielcy mistrze dawni nietylko malarzami byli, ale jak nieśmiertelny Leonardo, twórca *Wieczerzy*, uczonymi w całém znaczeniu wyrazu. Czegoż bowiem nie potrzebuje umieć artysta?

Zstąpmyż do serca: ile znajomości jego, ile poznania natury ludzkiéj potrzeba dla nadania wyrazu jednéj twarzy, dla nadania odpowiedniego ruchu ciału! A gdy już wszystko pojęte, zbadane i pomyślane, ile

pracy, aby rękę własną podbić jeszcze pod panowanie myśli, aby ona posłuszna, szybko i silnie wyrażała w całości, co pomyśli, co stworzy głowa!

Ten ogrom nauki, nauki ducha i materyi, widział przed sobą Jan i nie wzdrygnął się; ona go ogromem swym pociągała ku sobie, jak światy pociąga słońce. Pyły tylko rozpadają się bezwładne w niebieskie przestrzenie; ale co żyje, krąży i zbliża się do celu, i wiąże się z czémś tak żywém jak ono samo.

Nie będziemy dłużéj wystawiali wam Jana w tych walkach pierwiastkowych, bo któżby na obrazek nasz chciał patrzeć? Tysiące szczegółów wyrazićby tu potrzeba, gdy sam ogół nawet tak mało kogo obchodzi. Ta historya duszy tak mizerną jest w oczach ludzi, co wolą zabawną historyę złodzieja, niż dla nich obojętne a tak nauczające życie artysty!

Dla Batrani'ego ten niespodziewany uczeń był darem Niebios. Pojmie to każdy, kto długo tajone a drogie myśli znalazł nareszcie gdzie wylać—w serce i duszę, otwarte ku ich przyjęciu, sympatyczne. Czasem wieczory całe upływały na kreśleniu gorących obrazów pięknéj Florencyi, którą młodemi łzawemi oczyma, oczyma tęsknoty widział zawsze przed sobą Batrani, z jéj kościoły, pałacami, ogrodami, z kampanillą i chrzcielnicą, z posągami i z temi niezmiernemi bogactwy, które zostawili Medyceusze po sobie, jakby na zatarcie pamięci swych zbrodni. Jan zapalał się obrazami, które ciepłe uczuciem padały nań nieustannie, a w duszy wołał ciągle jak Izraelici na puszczy poglądający w stronę obiecanéj ziemi: *Italia* i *Roma!* Wołał i odpowiadał sam sobie: Może kiedyś... może tam nigdy nie dojdziesz! — Na cóż się przyda ubogiemu ten wykrzyknik próżny, ten krzyk Tantala, woła-

nie, co się rozchodzi i ginie nieposłyszane nigdzie, nawet w Niebie!

Wielkie imiona artystów sławy pełne, laurami uwieńczone, wyryły się w pamięci chłopca. Z rozmów Batrani'ego, z jego tek i dawnych rysunków, które wystawiały wszystkie sławniejsze freski, w rzadkich tylko i kosztownych widzieć się mogące zbiorach, znaczniejsze zaś figury i głowy osobno studyowane dla wyrazu, anatomii, linii, świateł, skurczeń umiejętnych lub rzutów draperyi,—z mnóztwa prac tego niezmordowanego człowieka, co jak prawdziwy artysta całe Włochy wyniósł w swéj tece: i pałace Palladiów, i obrazy Sanziów, i ruiny teatrów, i starożytne obłamki pogańskiéj sztuki,—szczęśliwy Jan uczył się Włoch wcześnie i gotował do ich widzenia. A mistrz, jakże się unosił młodą jego radością na widok tych arcydzieł! On, odmłodniał z nim, i gdy pierwsze postaci myśl własną wyrażające narysował Jan drżącą ręką, z policzki płomieniącemi natchnieniem jeszcze dziewiczém, jakże go serdecznie uściskał poczciwy nauczyciel! jak ze łzą w oku błogosławił mu wyciągnionemi rękoma, ojcowską duszą!

— O! możesz i ty wykrzyknąć, rzekł poruszony: *Anch' io son' pittore.* Ty będziesz wielkim malarzem! Byleby ci życie nie stanęło w poprzek geniuszowi, byleby nędza nie przykuła do ziemi, a robak namiętności nie wkradł się w zawiązki owocu, a poziome chęci nie ściągnęły z polotu na ziemię.

Mówił i spuścił głowę zasmucony.

A Marya? Maryetta ubóztwiana, zawsze prawie jednako przykra dla Włocha, dla Jana codzień wyraźniejszą okazywała czułość. Darujmy jéj: nie była to bowiem pospolita zalotność, nie była to prosta zwierzę-

ca żądza młodości; było to silne wspomnienie niedokończonego szczęścia, co się dopominało praw swoich.

Jan tak był podobny do pierwszego jéj kochanka, do uwielbionego i nieodżałowanego młodych lat towarzysza, że Marya pokochałą w nim nie nowego człowieka, ale swą dawną miłość.

Obojętność Jana, który wpół nie rozumiał czego od niego chciano, w pół nie chciał rozumieć, gdyż byłby w swém przekonaniu winien zdrady i podłości, gdyby choć jedném wejrzeniem stał się uczestnikiem uczucia niewywoływanego, natrętnego,—obojętność ta zwiększała jeszcze zapał i niecierpliwość kobiety. Niezrażona zimném uszanowaniem Jana, podwajała oznaki przywiązania, ale napróżno, zawsze i ciągle napróżno.

Jan tylko nieustannie palony jéj oczyma, których wreszcie uniknąć nie mógł, uczuł budzące się w sobie uczucie, któreby może jeszcze długo w nim spało. Niepokój młodzieńczy, pragnienie nieopisane, tęsknota, zamyślenie, opanowywały go. Dokoła siebie szukał czegoś, jakby przeczuwał zbliżenie, jakby czuł oddech nadchodzącéj.

Naprzeciw małéj izdebki, którą rzadko we dnie, ale zawsze wieczorami i rankami zajmował Jan, wprost okna jéj wychodzącego na dziedzińce, był stary dom, nowemi budowlami tak objęty dokoła, że okna jego wychodziły w podwórzec rozciągającéj się kanonii, oddzielony murem tylko od podobnegoż podwórza domu, zajmowanego przez Batrani'ego.

Stara ta kamienica nieforemna, szara, mnóztwem

kominów różnokształtnych najeżona, ścieśniona przybudówkami różnego przeznaczenia i wysokości różnych, nigdy w początku nie zwracała oka pracowitego Jana. Nie miał on téj próżniaczéj ciekawości lat młodych, tego chciwego późniejszych pragnienia wniknięcia w życie otaczających go ludzi; żył jeszcze w sobie, i co się działo obok nie widział. Ale gdy wejrzenia, słodkie słówka Maryetty wprawiały go w zadumanie długie, mimowolnie oczy poczęły też błądzić dokoła, jakby czegoś do zdobycia szukały. *Tęskność*, to pragnienie pomieszane z nadzieją, tak różne od *tęsknoty* będącéj tylko słodkim smutkiem, uderzyła na serce Jana. Szukał a nie wiedział czego? spodziewał się, nie pytając nawet siebie, kogo? Dziwnym a częstym jednak w życiu trafem, jedno spojrzenie wytłómaczyło mu ten niepokój wewnętrzny.

Naprzeciw okien Jana, w przeciwległym domu, ukazywał się zwykle z za wypłowiałéj firanki kolorowéj, suchy i dziwaczny profil staruszki, jakby z obrazu Gerarda Dowa wycięty. Nieraz Jan, chociaż starości zmarszczonéj na sposób flamandzki, w czepku z wielkiemi białemi falbanami muślinowemi nie miał za przedmiot malarski, mimowolnie chwytał ten profil stale przez część dnia ukazujący mu się za murem.

Staruszka zgięta, skurczona we dwoje, z pofałdowaną twarzą, ze śpiczasto zakończonym nosem, z wystającą brodą, pomimo tych pospolitych rysów wiekowi właściwych, wiele miała szlachetności, wiele *stylu* w fizyognomii. Jan przemyślał nawet nieraz, czy lepiéj było schwytać ją do teki na starą sługę Judyty, czy na matkę Daryusza? Rysy twarzy czyniły ją prawie godną być Daryusza matką.

Na sługę Judyty musiałby ją był chyba skaryka-

turować. Starszy, a nadewszystko ciekawszy, dawnoby był dopatrzył, że głowa staruszki często się ukazywała nie sama, ale jakby opleciona dwiema anielskiemi twarzyczkami prześlicznych dziewcząteк. Jan, jak cudo i zjawisko, dnia jednego gdy słońce biło w otwarte okno przeciwka, ujrzał nagle dwie młodzieńcze twarzyczki aniołów, uśmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręku, dziobek różowy do rumianych swych przytykając ustek. Wnuczki dwie staréj kobiety, były prawdziwie piękne!

Złote włoski dzieci północy błyszczały na białych ich skroniach; niebieskie oczy jednéj, ciemne drugiéj, opasane były rzęsami długiemi, co taką dają wejrzeniu łagodność. Świeże jak dwa tylko co rozwite kwiatki, uśmiechały się do gołąbka, ukazując i usteczka różowe, i ząbki bieluchne a drobne. Był to gotowy obrazek, i malarza najprzód jako obrazek uderzył. Potém zadumał się dłużéj, popatrzawszy na profil niebieskookiéj, i począł ją ścigać wzrokiem, i przesiedział w oknie trochę dłużéj niż zwykle.

Dziewczęta bawiąc się swoim gołębiem, swawoląc wracały ciągle ku oknu,—aż jedna z nich, jakby poczuła wejrzenie (któż nie wie, że wejrzenie uczuć można, nie widząc go?), zwróciła oczy na Jana. Szepnęła coś siostrze, obie ukradkiem spojrzały na niego, ale nie uciekły od okna. Owszem, choć młode a już zalotnice, poczęły bawiąc się umyślnie może nastręczać się oku patrzącego. Gołąb zerwał się, wyleciał oknem i jakby namówiony (ile trafów w życiu!) splątawszy się kilka razy w powietrzu, zawrócił ku otwartemu oknu Jana, zatrzepotał, i przywabiony usiadł na niém. Dziewczęta wychyliły się śmiejąc za okno, potém zakryły oczka,

ustąpiły wstydliwe i zaglądały tylko ciekawie z za firanki, wsparłszy się główkami na ramieniu staruszki. Jan wyciągnął rękę ku ptakowi, a gołąb oswojony usiadł na niéj. Serce mu biło, twarz płonęła, i pocałował gołębia.

Ptaszek jakby poczuł dopiero obcego po oddechu, zerwał się szybko, okrążył podwórze dzielące domy i odleciał do dziewcząt, które go przyjęły śmiejąc się, zamknęły okno swoje żywo, i pobiegły z nim do drugiéj izdebki.

Ta dziwnie sielankowa scena, choć zresztą naturalna bardzo, była pierwszym wstępem do wielu późniejszych. Odtąd dziewczątka z przeciwka stały się znajomemi Jana, Jan ich przyjacielem z daleka. Szukano się wzrokiem, witano ukradkiem, a gołąbek zawsze przypominał poznanie. Młodsza niebieskooka, często rozsuwała firanki, otwierała okno; czasem wsparta na ramieniu babki, długie wejrzenie rzucała w przeciwną stronę dziedzińca. Jan też często śpieszył do izdebki, zamyślał się w niéj, stał, czekał.

Po kilku tygodniach znajomość zupełna zawarta została, miłość obudziła się, ale z obu stron nie umiano, nie chciano, czy obawiano się zbliżyć więcéj. Jan był nieśmiały z natury, nieśmiały biedne swe znając położenie; lękał się wreszcie, sam spełna nie wiedząc czego.

Łatwo mu było dowiedzieć się o dziewczętach; wszyscy je znali, niewiele jednak więcéj od niego. Kto one były? kto babka? różnie różni opowiadali; ubóztwo tylko, pracowitość i śliczne twarzyczki powszechnie uznawano. Zajmowały ze staruszką parę pokoików w domu, którego okna nie wychodząc z téj strony na ulicę, skazywały na mieszkanie wydziedzi-

czonym od losu, tym, co do ruchu życia świetniejszego mieszać się, ani nawet na ten ruch patrzeć nie mieli prawa. Im ciche schronienie i praca. Gołąbek jedyną był zabawką.

Mało miała staruszka znajomych i przyjaciół, bo nie widać było odwiedzających. Jeden tylko czasem stary, złamany, w polskim ubiorze z siwą głową dziaduszek, może daleki krewny, może młodych lat przyjaciel, czasem się tam ukazywał wsparty na lasce z gałką kościaną. Spędzał on wieczory śmiejąc się, jak to dawniéj śmiać się dobrodusznie umiano, ze staruszką i dziewczętami. One chodziły tylko do kościoła razem, rzadko po południu na przechadzkę. Znano je w okolicy mieszkania pod nazwiskiem *siostrzyczek*, bo jednakowo ubrano, bardzo do siebie podobne, uderzały i zajmowały każdego. Miały wielu jak Jan nieznajomych przyjaciół.

Staruszka regularnie opłacała za mieszkanie, żyła bardzo skromnie; jedna sługa najęta z miasta, kuchnią i całą zajmowała się posługą. Służąca, wypytywana nieraz przez ciekawych, na wszystkie zapytania odpowiadała: „Albo ja co wiem!" lub ruszała ramionami, dając do zrozumienia, że wypytywać niebardzo było warto.

Raz stary Batrani zastał Jana siedzącego w oknie i tak zapamiętale wpatrującego się w niebieskooką sąsiadkę, że wchodzącego malarza nie posłyszał, nie postrzegł, nie przeczuł. Zbliżył się Włoch, spojrzał, postał chwilę z wyrazem litości na twarzy, i położywszy z wolna rękę na ramieniu chłopca, uśmiechnął się gorzko.

— Janie, rzekł powolnie do zarumienionego, schwytanego na uczynku chłopca: tyś już nie dziecko; po-

wiem ci jak mężczyźnie: Unikaj kobiet, twoją jedyną kochanką sztuka. *Ars longa, vita brevis;* życie jéj poświęcić mało. A kobieta daż ci większe i pewniejsze rozkosze? O! nigdy! Starożytny Egipt, którego niepojęta mądrość dziś się nam ćmami pokryła, w pięknym symbolu całą zamknął historyę kobiety w społeczeństwie. Widziałeś Sfinksa? to kobieta. Wiekuista zagadka, którą najpospoliciéj rozwiązuje śmierć ciała albo śmierć duszy. Twarz anioła, piersi matki, ciało zwierzęcia, lwie nogi a ptasie skrzydła. Obiecuje ci wejrzeniem anioła, lecz uściśniesz w niéj potwór, zwierzę, marę, a skrzydła uniosą wkrótce daleko od ciebie to dziwne jakby senne widziadło! Odwróć oczy i nie patrzaj. Ciągnie cię kobieta tym urokiem, jakim pociąga przepaść, niebezpieczeństwo, śmierć!... Kochaj sztukę, kochaj piękność idealną, niecielesną, ale nie kobietę. Słowo téj zagadki—kobiety, opieczętowane w księdze siedmiu pieczęci na drugim świecie. Nigdy, nigdy jéj nie zrozumiesz. W oczach Sfinksa wieczne pytanie tylko, pytanie i pytanie bez odpowiedzi... Może on sam niewinien temu—dodał po chwili smutnie:—jest stworzony zagadką dla siebie i dla drugich, sam więc tęskni i pragnie, zawodzi się, zniechęca, spodziewa jeszcze i pyta znowu świata, po co mu dano na ramiona, na serce życie takiéj pełne tęsknicy, tak niepewne jutra, takiém spalone pragnieniem?... Biedni my i on biedny!

To powiedziawszy głosem stłumionym, wyszedł Batrani, a Jan łzawo się zamyślił. Niebieskooka dawno była uciekła zawstydzona, postrzegłszy wchodzącego starego Włocha.

Skarżymy się wszyscy na zawody, lecz któż z nas przestrzeganym nie był? Głos wewnętrzny, głos ludzi,

głos umarłych, co swe doświadczenie nam przekazali, wszystko mówiło młodemu: „Zawiedziesz się!"

A jednak poszedł, aby się zawiódł, i zawiódł umyślnie. Mówią, że na wielkich wyżynach, gdy wzrok zwrócisz na dół, czujesz potrzebę upadku, ziemia cię pociąga gwałtownie, wlepiasz w nią oczy fatalnie, tracisz przytomność, myśl niebezpieczeństwa i śmierci, wyciągasz ręce, upadasz. Tak właśnie młodość ciągnie nas koniecznie ku zawodom. Uwiadomienie o następstwach niczém jest. *Homo vult decipi*, wola jest tu konieczności objawem. Jan też zrozumiał wyrazy Batrani'ego: błyskiem ukazała się przyszłość przed nim, a jednak nie zamknął okna, ani go na późniéj unikał. Niebieskooka ciągnęła go zawsze ku sobie. Nie widział w tém przyszłości, nie mógł się spodziewać jutra ze wschodem słońca wesela, brnął jednak sercem i kochał. Bo kochanie samo jest taką koniecznością w młodości, jaką spadanie kamienia podniesionego w górę, upuszczonego z ręki. Mniejsza o rozbicie się w druzgi, upaść potrzeba.

Wkrótce Jan dowiedział się, wyszpiegował, kiedy *siostrzyczki* wychodziły do kościoła, znalazł sposób wymykać się z domu, spotkać z niemi na drodze, i zerwać uśmiech z usteczek, spojrzenie, potém słówko obojętne, potém słówko pożądane, drogie, potém był już szukany, nareszcie dawano mu znak z okienka, gdy siostry wychodzić miały w ulicę, ale tak zręcznie! tak zręcznie, że nikt go zrozumieć nie mógł, prócz Jana. A Jan coraz dłużéj zamyślał się i przesiadywał w izdebce.

Stary Batrani powtarzał często:

— Janie! Sfinks cię zgubi! Nie odgadniesz zagad-

ki, a zginiesz dla niéj. Wielki symbol świadczy, że kto nie odgadł zagadki Sfinksa, ginąć od niego musiał. Tak jest po dziś dzień: wszyscy giniemy, bo nikt jéj nie zgadnie. Janie mój, zbyt często wpatrujesz się w Sfinksa.

Jan zaczerwieniony, zawstydzony, nic nie odpowiadał.

Maryetta, która nie pojmowała obojętności młodego chłopca dla siebie, bo od chwili przybycia Jana starała się być i była dla niego miłą, łagodną a piękną,— poczuła nareszcie rodzący się gniew w sercu, oczy jéj zachodziły krwią i łzami, serce biło wściekle. Naturalnie, myśl wreszcie, że Jan gdzieindziéj kocha, obległa ją niepokojem. Poczęła go śledzić i podejrzewać. Zamyślanie się, częste wycieczki z domu, częstsze do izdebki wychodzenie i przesiadywanie w niéj, coraz pewniejszą czyniły ją, że Jan kocha kogoś. Ale kogo? kogo?

Jednego poranku Jan wstał raniéj od wszystkich i zasiadł w oknie. Piękna Jagusia otwarła przeciwległe, i oparta na łokciu odpowiadała oczyma na ciche wyrazy kochanka. Maryetta, jakby przeczuwała coś, schwyciła się z łóżka i poczęła po całym domu szukać Jana. Słyszała (znała chód jego) przed chwilą stąpanie w pokoju: cicho się skradając, przysunęła się pode drzwi izdebki, rozwarła je i ujrzała go w oknie. Z bijącém sercem na palcach postąpiła zobaczyć, w co się tak pilnie wpatrywał. Wzrok jéj spotkał Jagusię. Wszystko było wytłómaczone. W chwili zatrzęsła się gniewem dawniejszym, nieokazywanym od przybycia Jana, i wybiegła głośno drzwi zatrzasnąwszy.

Jan osłupiał.

Obrażona kobieta leciała do męża.

— Precz z nim! zawołała, tupiąc nogą: niech ztąd idzie! niech idzie sobie! niech żebrze! Precz z nim, to niecnota!

— Kto? co? spytał pokornie Włoch.

— Kto? Ty mnie pytasz, jakbyś nie rozumiał? Dawno musiałeś o tém wiedzieć. Ten próżniak, zamiast pracować, bałamuci się z dziewczętami jakiemiś z przeciwka. Twój Jan, twój ulubieniec! Nie chcę go więcéj w domu, precz z nim jednéj godziny!

— Ale Maryetto droga, samaś...

— Tak! „samaś go chciała",—sama chcę teraz, abyś go sromotnie wypędził. Zaraz, zaraz, natychmiast!

— Moja Maryettto droga! ja go kocham, ja się do niego przywiązałem. Jeżeli winien, można go naganić, postraszyć. Ale cóż zawinił? To szał młodości. Daj się przebłagać, ja sam cię za niego przepraszam.

— Nie chcę nic słyszeć! nie chcę wiedzieć o niczém więcéj! Niech sobie idzie, niech idzie precz! Od dawna już znieść go nie mogę, nie cierpię.

Malarz się uśmiechnął.

— Jestżeś nieubłagana? spytał raz jeszcze, biorąc za klamkę.

— Wypędzić go, i to zaraz! mówię ci: zaraz!

Batrani spuścił głowę, ruszył ramiony, chciał mówić coś jeszcze, ale kobieta, któréj gniew mieszał się ze łzami, wypchnęła go za drzwi i zamknęła się na rygiel, aby płakać niewidziana.

Włoch długo się namyślał; potém wziął ukryty w kąciku woreczek, odliczył kilka dukatów, łza mu się zakręciła w oku, westchnął, i poszedł ku izdebce Jana tak smutny, jakby sam został wypędzony.

Jan przeczuwał coś i lękał się; powitał jednak wesoło

mistrza, którego chmurne czoło, zaczerwienione oczy, skłopotana mina wiele mówiły.

— Janie, rzekł Batrani cicho, dobywając głosu—kochany Jasiu—poprawił się—musimy się rozstać.

— My! rozstać! jak to?

— Tak, powtórzył Włoch ocierając łzę rękawem: nie ja, nie ja, ale ona, Maryetta cię wypędza. Nie wiem coś zrobił. Musiałeś ją oburzyć temi nieszczęsnemi miłostkami przez okno: ona taka święta i czysta!

Jan spuścił oczy jak winowajca.

— Nie chce cię widzieć więcéj w domu; kazała mi cię ztąd wysłać. Lecz dokądże ty pójdziesz biedne dziecko?

I Włoch oparł się o mur zamyślony.

— Ja nie wiem, Bóg poprowadzi, rzekł Jan smutnie, patrząc w okno, w którém mignęła twarzyczka Jagusi.

— Jak ty bezemnie, jak ja się obejdę bez ciebie? Nie wiem... Tyle rzeczy mogłeś się tu jeszcze nauczyć, na tak dobréj byłeś drodze! A! mój drogi! bądź co bądź, nie rzucaj malarstwa. Ono jest także kapłaństwem. Poświęć mu kobiety, nadzieje znikomego szczęścia, świat, życie. Nie dla sławy, bo cóż sława? ale dla nagród, które znajdziesz w sobie samym. Sztuka jak wiara (na mniejszy rozmiar) sama płaci sobą. Nie porzucaj jéj, zaklinam cię. Ludzie cię może nie poznają, świat cię sponiewiera, nie ocenią cię pewnie: będziesz dla jednych za wysoko, dla drugich pozornie za nizko; napoją cię octem i żółcią, przebiją ci bok i serce. Ty wszystko to poświęć sztuce: ona wielka, ona ci nagrodzi męczarnie chwilami niezrównanéj rozkoszy. A jeśli jeszcze wiara dawna, gorąca, w sercu twém ze sztuką za ręce się wezmie, będziesz szczęśliwszy o kawałku razowego chleba, niż inni opływa-

jący w rozkoszach ciała, które się przebiorą, gdy rozkosze sztuki—nigdy. Sztuka jedna nieskończona i bezdenna. Sytości nie ma na dnie czary, bo dna nie ujrzysz tam nigdy... Janie mój, ale gdzież się podziejesz, co myślisz począć z sobą?

— Radź mi, ja nie wiem.

— Radzić, jabym ci radził... Jedno jest tylko na świecie miejsce dla poety, dla prawdziwego artysty, ale ty dziś przynajmniéj jeszcze nie zechcesz go, nie odważysz się w niém zamknąć. To jedno miejsce: klasztor. Wielka samotność, modlitwa, pogarda świata, cześć Boga podnosząca duszę, oddanie się sztuce bezwyjątkowe. Gdybym miał drugie życie, nie inaczéjbym niém rozporządził pewnie! Ale ty...

— Ja mam matkę, siostry w ubóztwie, którym winienem być pomocą.

— Tak; świat cię ściga, wszystko odrywać będzie! Obowiązki, moje dziecko, przedewszystkiém. Jesteś synem, bratem. Ale cóż poczniesz z sobą?

— Powrócę do matki.

— Dzielić się z nią nędzą i zwątpieniem. O nie! nie! jeszcze ci nie pora wracać; z czémże przyjdziesz?

— Gdzież pójdę?

— Pozostań w mieście, spróbuj sam zarabiać na życie, a ucz się.

— Zarabiać! lecz jak? Chceszże, żebym na zawołanie, dla pieniędzy, dla potrzeb brudnych, zniżał się do robot... do robot?

Batrani się uśmiechnął.

— Każdy tak czynić musiał, rzekł. Jest to jednym z warunków życia artysty, być niepoznanym i umęczonym przez głupstwo ludzi. Trzeba umieć być wyższym na

to. Nie dośćże ci, że czujesz piękno i czcisz je w duszy?

— A płodzić będę musiał rzeczy nieforemne, poczwarne?

— Dla chleba! Wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby niemi zapełnić wody i kałuże; możesz i ty zlepku rąk Jego, tworzyć co ci każą na zapełnienie żądań, które są jak kałuże i bagniska. Posłuchaj—dodał—praca żadna a żadna nie kala człowieka, nie poniża artysty. W najmniejszą możesz wlać ducha, podnieść i uszlachetnić. Nie każdy może tylko to tworzyć, co pragnie, i wtedy, gdy pożąda; ale każdy może sumiennie wykonać co mu los nadarza, i pracując na chleb nawet, uczyć siebie i drugich. Przeklęta duma, którą wpojono w artystów, czyni ich dziećmi kapryśnemi; wielki geniusz umie z ciężkiéj konieczności nawet wyjść zwycięzko...

Była chwila milczenia, długa, ciężka. Batrani wsunął woreczek w rękę Jana.

— Dałbym ci więcéj, rzekł,—ale Bóg świadkiem, nie mam.

Jan rzucił mu się do nóg, i oddał nazad ten dar, prawie płacząc.

— Weź proszę! Na cóż mi to dajesz? Dałeś mi więcéj niż skarby, bo dałeś mi duszę nową, uczucia, myśli, uczyniłeś mnie człowiekiem. Kiedyż ci się i tak wypłacić potrafię?

— Pamiętaj o mnie, o starym Batrani'm, który wkrótce może... (pokiwał głową i umilkł).—A jeśli kiedy jaki los szczęśliwy zagna cię do pięknéj, czarownéj mojéj Florencyi, jeśli ujrzysz to miasto Medyceuszów i ucałujesz ziemię grodu sztuki, zejdź na małą uliczkę,

Vigna Vecchia, gdzie stoi stary nasz domek. Może tam go już nie ma! tyle to lat ubiegło! Pokłoń się odemnie wspomnieniom starym, pójdź na cmentarz Franciszkanów, i poszukaj kamienia, pod którym leży Giulia Batrani, święta matka moja, pomódl się za nią, i powiedz popiołom...

Głos wrzaskliwy Maryetty przerwał wylanie się Włocha.

— Idź, idź! rzekł żywo do Jana: słyszę jéj głos. Bierz te pieniądze. Oddasz mi je gdy będziesz mógł. Zobaczymy się dziś jeszcze, za chwilkę, w kościele Ś. Jana. Zbieraj rzeczy i idź. Idź! A! czemuż nie mogę cię zatrzymać!

Po cichu stary Włoch otworzył drzwi, powiódł okiem za uczniem, który z lekkim tłomoczkiem i teką swoich rysunków, schodził już ze wschodów pomieszany. W ulicy zastanowił się, przypadł do muru, usiadł. Maryetta spojrzała na niego przez okno i zaśmiała się ze łzami.

— Wypędzony! zawołała, tak! nie ma go! wypędzony, nie ma i nie będzie. Dobrze! niech idzie, niech zginie, niech przepada! to był upiór, co mi serce wysysał.

I upadła na łóżko, szlochając.

Jan siedział odurzony pod murem jeszcze, gdy dwie *siostrzyczki* ujrzały go idąc na mszę.

— Patrz Jagusiu! rzekła starsza po cichu: twój gołąbek! Co to jest?

— Gdzie? A! to on! Cóż tu robi? Z tłomoczkiem! Wypędzili go czy co? Wiem, wiem, rozumiem wszystko.

Jagusia widziała żonę malarza w oknie, domyśliła się sceny całéj, postąpiła ku Janowi żywo i dotknęła jego ręki, bo on nic nie widział.

— Panie Janie! spytała: co to jest?

Jan się dopiero ocucił.

— A! żegnam panienkę! odchodzę, idę.

— Dokąd?

— O! daleko zapewne! do swoich, do matki.

— Ale zkądże to tak nagle?

— Nie mam już miejsca u Batrani'ch.

— Dla czego?

— Nie potrzebują ucznia.

— Wróciszże tu kiedy?

— Czy wrócę? nie wiem... a! nie wiem, rzekł smutnie. To wiem, że nigdy, do śmierci, nie zapomnę ciebie, dodał kładnąc jéj rękę na swém sercu. Chodźmy do kościoła, i ja potrzebuję się pomodlić. Dzwonią na mszę.

Ulice były jeszcze prawie puste, ranek prześliczny. Przeszli przez kościół razem, smutni, kilka tylko słów do siebie przemówiwszy. Dziewczynce srebrne łezki w oczach się kręciły. Jan już był mężczyzną i dumał. Batrani po chwili dopędził ich niespokojny, znalazłszy jakiś pretekst do wyjścia z domu. Wywołał Jana do kruchty.

— Cóż z sobą myślisz? spytał znowu.

— Nie mogę tu pozostać, odparł Jan. Późniéj, kto wie? powrócę może. Matka dawno nic nie wie o mnie. A potém, cóżbym tu począł? Codzień więcéj przywiązuję się do tego anioła (wskazał na modlącą się Jagusię),—muszę uciekać.

Włoch nic już nie rzekł.

— Na drogę, wybąknął po chwili, potrzeba ci więcéj pieniędzy. Pomyślałem o tém; ale ich nie mam. Jeśli masz dla mnie trochę wdzięczności, przywiązania, jeśli kochasz nauczyciela, przyjm jeszcze odemnie ten stary zegarek, on mi nie jest potrzebny. To pamiąt-

ka po ojcu; z nim przybyłem z gorącéj Florencyi pod wasze zimne niebo. Oddaję ci go chętnie; w potrzebie, pilnéj potrzebie, sprzedasz go. (Tu westchnął). Gdybyś się obejść potrafił, zwrócisz mi go późniéj. Jeśli żyć nie będę, zachowaj go na pamiątkę.

— O! wolałbym pracować jak wyrobnik—zapłakał chłopiec ściskając ręce i rzucając się na piersi starca—niżeli przyjąć taką ofiarę! Nie chcę, nie chcę!

I w długim uścisku pożegnali się.

Jagusia jeszcze raz rzuciła mokry wzrok na niego. Jan nie czekał dłużéj, poklęknął, pomodlił się gorąco, ze łzami, i ruszył sam nie wiedząc dokąd idzie, oszalały, nieprzytomny.

Każda podróż w młodości zajmuje tak silnie! Podróżujemy naówczas myślą po obszarach nieskończoności; a gdy i oko ciała przebiega coraz nowe przedmioty, gdy świat w całéj się swojéj nieskończonéj rozmaitości przedstawia, dusza i ciało harmonizują rozkosznie. Gdy jesteś starcem, gdy wszystko w duszy osiadło, gdy skrzydła wypełzły, i ciału już wówczas nie podróżować więcéj. Podróż męczy, nam potrzeba spoczynku, cichego przygotowania do śmierci.

Jan, który lat kilka przesiedział w mieście, nie podróżując daléj nad okolice Wilna, i to zbyt rzadko, bo rzadko wstawał od jednostajnéj pracy—pomimo smutku głębokiego uległ uroczym widokom, nowym jeszcze dla niego, widokom zewnętrznego świata.

Było to lato, w całéj krasie, jaką ta pora miewa

czasem u nas; wszystko było ubrane zielenią wesołą, niebo w coraz nowych barwach, ziemia w pełni życia swojego. Pieszo, powolnie idąc, zatrzymując się gdzie i jak długo chciał, nasz malarz nieraz dobywał ołówki, i dumał długie godziny, spoglądając z pagórków w doliny daleko usłane. Ranki parne, wieczory dziwnemi blaski zachodu oświecone, zachwycały go. Zdawało mu się, że pierwszy raz natura jest tak uroczą, tak nieporównanie piękną.

Znużony pieszą wędrówką, przysiadał się na wóz wieśniaczy, po drodze za małą opłatą przyjmujący gò gościnnie na szerokie z siana posłanie; przyłączał się do podróżnych, jak sam ubogich, ale uboższych jeszcze duchem od niego. Nocował czasem sam jeden pod drzewami, czasem u ognisk gospody, wśród pokotem usłanych, znużonych jak on ludzi, którym sen był największém szczęściem, bo dawał zapomnienie. Chciwie chwytał te naiwne opowiadania ludu, które się słyszeć dają u gościnnego stołu karczemnego, gdy się człowiek rozgrzeje, posili i wypocznie, a myśl w nim zaszumi. Niekiedy tylko wspomnienie przeszłości tak nagle i niespodziewanie zerwanéj, niespokój o jutro, o matkę, o rodzinę, zasępiały mu czoło.

— Jak ją znajdę? zapytywał siebie.

I szedł daléj a daléj, a gdy się zbliżył ku rodzinnéj stronie, która mu mglisto i niewyraźnie rysowała się w pamięci, podwójnie zabiło serce.

— Co tam się dzieje? co się tam dzieje? powtarzał w duchu, i modlił się cicho.

W kilka dni zmęczony, bo nieprzywykły do pieszéj podróży, ledwie już mogąc dźwigać tłomoczek choć lekki, Jan stanął na wzgórzu, z którego obejrzeć można było całą znaną okolicę. Miejsce to zwało się

Grabową Górą, z niego widać było bardzo daleko dokoła. Wierzchołki lasów sinych, które przebył, jak ciemna zasłona leżały za nim, ginąc w oddaleniu; przed nim widok znany; w prawo na kraju brzozowego lasu wśród rzedniejących drzew, ujrzał dworek Brzozowego Ługu, który mu teraz wydał się mniejszy, bardziéj przytulony do ziemi, pochyły, stary, ze swą zagrodą kamienną, szopką i znanemi kilku pniakami czerniejącemi wśród podwórka. Daléj, poniżéj, spało miasteczko zwinięte jak ślimak w skorupce, z którego jak dwa rogi, dwie białe wysuwały się wieżyczki kapucyńskiego kościoła z klasztorem, przytkniętego do drugiego pasma lasów. W lewo a daléj Nowy Dwór na wzgórzu, poniżéj we mgle Zasiszki, Troba i inne folwarki. Drożyny, krzyże na rozdrożach, wązkie grobelki, przecinały obrazek.

Wszystko tak znane i tak nic niezmienione!

Nasyciwszy się widokiem tylu wspomnieniami brzemiennym, zwrócił Jan niespokojne oczy na chatę matki, jakby chciał zbadać co tam zastanie.

Niewyraźnie ztąd tylko dojrzał nieco lekkiego, sinego dymu, wzbijającego się w górę; na dziedzińcu nikogo nie zobaczył.

Cisza ranna panowała na drogach, chmury siwe po burzy wczorajszéj, porwane i poszarpane wiatrem, leciały śpiesząc na zachód, gdzie już siny ich wał zapadał. Chwilami słońce błysło na część wielkiego krajobrazu, zostawując resztę w cieniu. Dwa czy trzy razy ozłociła się facyata z krzyżem kościoła Kapucynów, który we świetle panować się zdawał otaczającéj okolicy; potém mdły półcień oblewał znów cały widok jednostajnemi tony...

Jan jakby się obawiał iść daléj, pozostał chwilę, potém zawstydziwszy się własnéj bojaźni, ruszył żywo. Ale nieraz zastanawiać się musiał. Któż nie zna tego bojaźliwego zbliżania się do domu po długiéj niebytności? Człowieka byt i szczęście tak zależą od chwili, od jednego nic, że się zawsze boimy nie znaleźć czego najwięcéj pragniemy, znaleźć czego się lękamy powracając do domu. Jan szedł i stawał, a im był bliżéj, tém nierówniéj to pośpieszał chwilami, to się wlókł powolnie. Patrzący z boku wziąłby go może za szalonego.

Gdy wreszcie odkryła się chata ojcowska, krokiem niespokojnym puścił się ku niéj żywo, aż mu zatamowało oddech, aż krew uderzyła do głowy. Pusto było w podwórku. Starego psa, towarzysza zabaw i dumań, stróża, piastuna dzieci, nie zastał; trawa gęsta, nietknięta zębem koni i bydła, porastała dziedziniec.

Szczebiotania siostr, głosu matki, nic; tylko dzięcioł kuł drzewo niecierpliwie, i wrony krakały, unosząc się nad polami.

Drzwi dworku były na wpół przymknięte; lecz Jan doszedł do sieni, a nikt go nie powitał. Pustynia, cisza. W sieniach, jak zwykle na wsi, wszystkie narzędzia gospodarskie stały, leżały przy ścianach: niecki, beczki, złukta, garnki, grabie, rydle, widły, drabiny, w kątach zepchnięte spoczywały. Otworzył drzwi izby, cicho jeszcze. Czemuż głosu matki, ani siostr głosu nie słyszy?

Przeżegnał się i wszedł powoli.

— Kto tam? ozwały się dwa głosy z głębi, a w jednym z nich poznał Jan głos macierzyński, głos słodki ale zmieniony i drżący.—Kto tam? powtórzono.

— Niech będzie pochwalony!... Podróżny...

Stara nieznajoma kobieta wywlokła się z za pieca, przy którym skulona siedziała, i popatrzała na Jana głupawym wzrokiem. Potém matka, matka wysunęła się także, patrzała, patrzała, zarumieniła się, milczała,—przeżyła pięć lat w téj chwili i poznawać zaczynała swe dziecię...

— Matka! wykrzyknął Jan pierwszy, rzucając się ku niéj.

Mniéj była zmieniona od niego: ona zestarzała, zbladła, zmalała; on wyrósł, wymężniał, wyszedł z dzieciństwa. Łzy zakręciły się w oczach obojgu. To on!—to ona! Tak zbiedniona!—tak hoży i piękny!

Czarne oczy kobiety obwiedzione były piętnami płaczu i cierpienia, zagasłe; twarz zżółkła, pomarszczyła się, barki pochyliły. Świeże dawniéj i staranne ubranie teraz tłómaczyło nędzę prawie. W chacie biedniéj jeszcze było niż dawniéj. Też same ławy, stoły, łóżko; ale sprzęt lepszy, kufry, odzienie wiszące przed tém na kołkach, znikły. Łóżko okryte było mizerną starą kołdrzyną; w piecu ledwie iskierka ognia u jednego garnka dymiła powolnie. A ta cisza! ta cisza!... Jan rzucił się ku matce i kilka razy powtórzył wzruszony:

— Matko! matko!

— Mój Jan, Jan mój, Jan! zawołała kobieta, chwytając go w objęcia, płacząc, ściskając, modląc się i płacząc znowu.

Jan nie śmiał spytać o siostry.

— A! wrócił! moja dobra Małgorzato! powrócił. Widzisz, że wrócił do mnie. Modliłam się o niego do Świętego Antoniego jak o powrot zguby, bo mnie strachy o mój jedyny skarb opanowały. Modliłam się i wymodliłam. Jan powrócił!

Aż łzy zatamowały jéj mowę i nie dały nic wyrzec więcéj.

— Siostr, siostr nie zastałeś, rzekła jakby opamiętywając się po chwili. Widzę, że o nie zapytać nie śmiesz! Nie ma ich, nie ma... i nie wrócą.

Poczęła płakać, porwała Jana za głowę i odezwała się żywo:

— Siadaj, odpoczniéj! Tyś głodny? Cóż ci dam jeść! Piwa mu zgrzéj, Małgorzato. Moja stara, wyręcz mnie: ty widzisz, że ja nie potrafię, że nic nie mogę. Czemuż was troje do siebie przytulić nie mogę? Z trojga jedno tylko pozostało! Siostry twoje, dzieci moje, u Boga. Bóg pobrał je na aniołki sobie.

Otarła oczy powolnie.

— Pół roku temu odra panowała, w chacie chłodno było, zasłabły obie, i razem prawie na inny świat poszły bez grzechu, czyste duszyczki! Teraz tyś jeden u mnie! A! ja co godzina drżałam o ciebie! Chciałam cię widzieć, a nie śmiałam nawet żądać tego. Powiedzże mi, coś tam robił? co masz? jaki twój stan? co na przyszłość myślisz? Przytuliszże biedną matkę do siebie?

— Uczyłem się droga matuniu—odpowiedział Jan smutnie—uczyłem się na malarza; ale jeszcze długo i wiele uczyć mi się potrzeba, i wiele pracować. Przerwałem naukę, aby ciebie zobaczyć; potém muszę do niéj powrócić znowu. Wkrótce jednak spodziewam się mieć kawałek chleba; a dla ciebie spokojną starość i kątek własny przy mnie.

— Mój drogi, nagle przerwała matka, ty przyszedłeś pieszo widzę? Musisz być zmęczony bardzo. Spoczniéj. Nie chcę cię pytać, ani się skarżyć przed tobą; to

na potém. Teraz cieszmy się, żeśmy razem, ach! tylko nas dwoje! poszły do nieba aniołki.

— Nie jestem zmęczony, nie czuję tego przynajmniéj. Powiedz mi matko, jakie było życie twoje? Maszże żyć z czego? Maszże kogo, coby się tobą opiekował? nie zbywa ci na czém?

— O! alboż mi tak wiele potrzeba! odpowiedziała. Schronienia, kąta a łyżkę strawy i kawałek chleba. Gdy mam przy sobie moje dziecko jedyne, ostatnie, czegoż chcieć więcéj? Nie mówmy o niczém. Ale ty znowu pójdziesz...

— Jeśli pójdę, to żebym powrócił i zabrał cię z sobą matuniu droga.

— Doprawdy? doprawdy? a dożyjęż ja tego szczęścia?

— Bóg łaskaw, Bóg dobry.

— O! dobry, odparła matka ocierając oczy. On mi dał dzisiejsze szczęście. Dla czegoż mi jednak choć jednego z moich dziewcząteк nie zostawił? Obie poszły, obie! Gdybyś ty wiedział, jak te dwa aniołki umierały! Biedne dziewczęta, to może i lepiéj dla nich. Świat tak ciężki ubogim!

Stara Małgorzata, krzątając się около ognia, zaczęła gderać na swą jejmość (tak ją zwała), za ciągłe jéj płacze.

— Ot, cieszyłabyś się jejmościuniu z syna, dodała; a tamte że Bóg wziął, nie potrzeba mu ich żałować.

— Prawda, prawda, odpowiedziała wdowa. Ale mówże mi Janie o sobie... całując go w głowę dodała zwróciwszy się do syna.

Jan opowiadać jéj musiał wszystko. Okno tylko i Jagusię przez wrodzoną wstydliwość zataił, złożyw-

szy na dziwactwo Maryetty co było zazdrością i gniewem zawiedzionéj kobiety.

Matka nacieszyć się nim nie mogła.

— Patrz bo moja Małgorzato! wołała: jaki on piękny! Widziałaś ty kiedy w życiu tak pięknego chłopca? O! wrócił mój Jan, powrócił!

Tak cały boży dzień, tak zeszła część nocy.

Nazajutrz biedna matka powiodła syna do kościoła Kapucynów, wziąwszy najlepszą suknię i najweselszą twarz na tę uroczystość serdeczną. W drodze mówili o zamiarach na przyszłość. Jan chciał powracać do Wilna lub udać się do Warszawy, sam już próbować pracy o swych siłach, a gdyby można matkę utrzymać, wziąć ją do siebie, nie rozdzielać się z nią więcéj. Ale do Wilna czy do Warszawy zarówno trudno się było dostać bez opieki, bez pieniędzy. Wdowa nie miała czém bardzo dopomódz synowi, bo lepszy nawet sprzęt w czasie choroby dzieci i na ubogi ich pogrzeb, wszystko aż do koni i owiec, wyprzedać musiała. Mogła wprawdzie sprzedać swój grunt w miarę jego wartości dość korzystnie; lecz gdzieżby podziała się naówczas? Jan pocieszał ją, że może zapracuje na tę podróż, a w najgorszym razie, o niewielkim zapasie, pieszo, powoli, dowlecze się gdzie do miasta. Matka łamała głowę, zkąd dostać pieniędzy? a że pobożna więcéj miała ufności w pomocy Świętych niż ludzi, poczęła więc zaraz nowe nabożeństwo do Świętego Mikołaja i do ulubionego Świętego Antoniego patrona okolicy.

Jan postanowił szukać roboty. Westchnął myśląc, jak ona ciężką mu będzie! ale konieczność wielka, żelazna siła, każdy upada pod nią: trzeba było w głębi duszy zachować na późniéj myśl i natchnienie artysty.

Krzyżem pobłogosławiła matka, gdy wychodził z domu po robotę, i usiadła na ławie pod okienkiem, goniąc go okiem. Jan poszedł do klasztoru.

Stary znajomy nam z czasów Rugpiutisa gwardyan dawno był umarł; inne rozpoczęło się panowanie. Przełożony nowy, troskliwy o kościół swój z dawna trochę opuszczony, odnawiał go, oczyszczał i odzłacał; była to właśnie pora dobra do zarobku dla Jana. Dowiedziawszy się o tém, poszedł do celi gwardyana, i skłonił się całując go w rękę.

— Ojcze dobrodzieju, rzekł: jestem malarz; uczyłem się lat kilka w Wilnie u Szyrki i Batrani'ego. Możebyście raczyli mnie użyć do odczyszczenia obrazów, złocenia ram i odświeżania malowań na sklepieniu. Nie mam grosza, a matkę ubogą, chorą, i przyszłość, któréj trzeba męztwem tylko i pracą wystarczyć. Chleba i pomocy potrzebuję.

Przełożony, któremu Jan jak z nieba spadał, począł go wypytywać; a sam niegdyś znawca i człowiek wielkich zdolności, niepospolitéj nauki, poznał łatwo, że talent, zapał, szczerość z młodéj mówiły piersi.

— Moje dziecię—odpowiedział rozpytawszy się go wprzódy—przyjąłbym twoją ofiarę, ale co Kapucyni dać ci mogą? Dawniéj jałmużny bogate były jak serca; dziś ubóztwo i nas uciska. Niczém ono dla nas, bośmy na nie przysięgli, bo ono powołaniem naszém, bośmy dobrowolnie je znosząc, powinni mimowolnym ubogim dać przykład, jak się ma znosić niedostatek w pobożności, pokorze, rezygnacyi i weselu ducha. Zapłacić ci jakby było warto za twoją pracę dziśby mi trudno...

— Mój ojcze, rzekł Jan przejęty: zrobiłbym cobyś mi kazał darmo, za chleba kawałek, przez pobożność, ale matka i przyszłość!

— Ileżby ci potrzeba? spytał Kapucyn, zamyślając się.

— Nie mam doświadczenia mój ojcze, rzekł Jan,— nie wiem. Matka nie ma sposobu do życia, mnie trzeba dostać się znowu do Wilna lub do Warszawy, i starać się być już na swoją rękę malarzem, aby jéj starość spokojną zapewnić.

Gwardyan pokiwał głową.

— Słuchaj, rzekł: chodź ze mną do kościoła, obejrzymy wprzód robotę, potém znajdziemy może pobożną duszę, co ją zapłacić zechce.

Brat zakrystyan otworzył milczący kościół, i poszli od ołtarzą do ołtarza, Jan wskazywał co zrobić można i potrzeba było, zwłaszcza dla fresków Danckert-s'a, które pył i kopeć brzydko okrywał, gdyż nieoczyszczane nigdy, lat przeszło sto przetrwały. Dla tego potrzeba było rusztowania dość kosztownego i czasu długiego.

— Przyjdź moje dziecię w niedzielę wieczorem. Z rana spodziewam się na nabożeństwo i obiadek kapucyński kilku osób z sąsiedztwa, pomówię z niemi, może też kto dla chwały bożej koszta podjąć zechce.

Jan odszedł. Wieczorem zaraz z karteczką od gwardyana przywiózł parobek klasztorny zboża i zapasów śpiżarnianych dla wdowy. W karteczce pisał poczciwy ksiądz: „Dzielimy się jałmużną, ubogi z ubogim, nie dziękujcie wcale."

Jan tymczasem, pomimo, że chata biedna, światła i izby nie miała stosownéj, usiadł malować obrazek dla gwardyana, przez wdzięczność, a trochę dla pokazania, że coś umie. Czuł, że nieznajomy może i ma prawo o jego umiejętności powątpiewać, może się wahać powierzyć mu robotę. Święty Antoni na pustyni, któ-

rego szybko odmalował, udał mu się bardzo, choć rzucony pośpiesznie na płótno i do niedzieli ukończony, prawie od razu tylko, gdyż trzeba go było jeszcze z pomocą letniego słońca wysuszyć.

Matka stojąc za synem pół dnia, każdy ruch jego ręki śledziła. Sercem matki potrafiła odgadnąć sztukę, aby ocenić i zrozumieć syna. Radowała się pracy i składała ręce z uniesieniem. Wyraz twarzy Świętego, niebieskie światło skronie jego otaczające, Dzieciątko Boże, które piastował na ręku, zachwycały ją.

— Mój miły Boże, to żyje! to żyje! wołała.

I dumna, szczęśliwa całowała go w głowę.

Nadeszła niedziela. Jan poszedł na nabożeństwo, ale że to była oktawa festu, a osób mnóztwo, nie udał się zaraz do gwardyana, lecz przechadzał po okolicy i czekał wieczoru. Po nieszporach dopiero zapukał do jego celi, gdzie jeszcze słychać było głosy przy starym miodku siedzących gości. Jan wszedł, gwardyan pośpieszył ku niemu.

— Wszystko idzie dobrze, dzięki Bogu, rzekł zaraz przełożony. Pan łowczy ofiaruje trzysta złotych na poprawę i oczyszczenie sklepień i obrazów. Są one u mnie, uważaj je za swoje. Rusztowania obiecał swoim kosztem wystawić.

Malarz ucałował rękę zakonnika i drżącym rzekł głosem:

— Ojcze, chciéj przyjąć tę moją robotę, dla ciebie ją malował.

A gdy gwardyan rozwijał ciekawy, Jan wysunął się i uciekł. Wszyscy z krzeseł powstawali, aby ją zobaczyć.

Zgromadzona szlachta hurmem otoczyła księdza i spoglądała chciwie na obrazek, któremu przypatrując

się zakonnik, zadumał się głęboko, aż łza zwilżyła mu powieki. On jeden z tego tłumu czuł całą wartość pracy młodzieńczéj. Inni to dotykali jéj palcami, to usilnie szukali błędów, to chwalili nie wiedząc dla czego i po co, to spoglądali jakby zrozumieć nie mogli, co tam było do widzenia.

— Ten chłopiec zajdzie daleko, jeśli Bóg dopomoże, rzekł nareszcie gwardyan. Człowiek, co jest w stanie taki obrazek stworzyć, ma i talent, ma i naukę. Tak młody! próbka śliczna!

— Prześliczna! chórem powtórzyli zapijający miodek,—prześliczna!

— A maluje on portrety? spytał ktoś z boku.

— Dla czegożby nie? odrzekł zakonnik: nie jest to rzecz tak trudna schwycić podobieństwo; większa daleko myśl swoją wyrazić. Dajcie mu robotę, będzie to dobry uczynek. Ma matkę ubogą, chciałby sobie co zarobić, aby się dostać do Wilna lub do Warszawy, gdzie mu łatwiéj będzie na życie i na sławę zapracować.

— Gdyby się nie drożył—rzekł postarzały ex-ekonom z Nowego Dworu—niechby i mnie i jejmość odmalował.

— Drożyć się nie będzie, ale i wam panie strukczaszycu (dawano mu ten tytuł w niedostatku innego), wstydby było za mało dać, gdy to dla wiecznéj pamiątki czynicie, a malarz wyborny, jakiego i po miastach znaleźć trudno.

— Jak ojciec dobrodziéj sądzi: cóżby też to konterfekt mój a jejmości kosztował? Dwa spore, kolorami na płótnie, w ramach, z herbami na górze...

— Juściż nie mniéj niż po sto złotych jeden, jeśli duże, i to bez ram, bo ramy nie jego rzecz.

— A! na rany Pańskie! A toćby lepiéj przestać siać hreczkę, a malować tylko i malować! To dalipan piękny wcale mógłby być dochód.

— I wielka to praca, rzekł O. gwardyan. Wielcy tylko panowie—dodał z lekkim ledwie dostrzeżonym uśmiechem—mogą mieć portrety swoje.

Powiedział to z intencyą, znał ludzi.

— Panowie! panowie! Alboż to my nie panowie? Każdy z nas pan! rzekł kręcąc wąsa strukczaszyc. Mnie taki stanie na dwa konterfekta, choćby po sto złotych od sztuki.

Inni zbliżyli się opatrywać obrazek Świętego Antoniego, a gwardyan tak zręcznie choć w niewinny sposób umiał Jana zalecić, że mu znalazł robotę w kilku domach sąsiedztwa.

Nazajutrz rusztowania w kaplicach stawiać poczęto, a Jan wziął się gorliwie do pracy. Matka przychodziła niekiedy do niego, modliła się godzinami, rozmawiała z nim po cichu, dodawała mu serca i ochoty. Cieszyła się powodzeniem syna, a poczciwemu zakonnikowi co ich poratował, do nóg ze łzami upadła.

Godziny w téj pracy płynęły szybko i mile dla ucznia, który wpatrując się w roboty dobrych malarzy, doznawał rozkoszy, jakiéj kosztują tylko prawdziwi artyści. W długich godzinach samotności, gwardyan czasem, matka codzień prawie, niekiedy niewinnie wesoły braciszek klasztorny, przychodzili go rozrywać i nie dawali mu smutno zadumać się na długo. Odczyszczanie, poprawki małe i ostrożne części zniszczonych, obmywanie obrazów poszło dość szybko. U Szyrki i Batrani'ego nauczył się był z całą potrzebną ostrożnością obchodzić się ze staremi utworami, które czasem bezczelni partacze psują, nieodżałowane wyrządzając szkody.

Z Batrani'm odczyszczali oni część pięknych fresków u świętego Kazimierza i kaplicę katedralną Danckert-s'a wystawującą cuda patrona Litwy.

W przerwach wielkiéj roboty, Jan zaczął portret dla strukczaszyca z Nowego Dworu. Ale tu ciężéj mu szło daleko. Ile wymagań, ile dziwnych znieść było potrzeba sądów! Jejmość utrzymywała, że ją odmalował nie dość młodą i nosa jéj naddał, że cień pod nim wyglądał jak zatabaczenie nieprzyzwoite, że była plama na jednym policzku niepotrzebna. Jegomość chciał gwałtem jaskrawéj sukni i poważnéj miny, któréj wcale nie miał. Kazano poprawiać, przerabiać bez końca. Cały dwór i czeladź zwoływano na sądy: parobcy, dziewki z praczkarni, arendarz, przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów. Jan srodze cierpiał, ale milczał; jedyny też to sposób w trudnych razach. Przecięż tak mu się udało, że i jejmość z wielkim nosem, i jegomość z poważną miną, byli z siebie dosyć kontenci, chociaż nigdy dosyć jaskrawo odmalować ich nie było można. Gdy przecię dzieci, parobcy, słudzy poznali gospodarzy i panów swoich, opłacono nie bez stękania koprowiną i złemi tynfami malarza, odprawiając ze wzgardliwém: *Bóg zapłać.*

Zbierał się powoli zasób na podróż pożądaną; ale matka widziała go zawsze jeszcze niedostatecznym.

Kilka miesięcy zabrały roboty w kościele i w sąsiedztwie; potém ciężko się było rozstać z matką, nie wiedząc kiedy się z nią znów zobaczy. Wahano się też dokąd się udać? Jan chciał do Warszawy, matka do znajomego i bliższego radziła Wilna. Codzień u komina jesiennego radzono, naradzano się, i nic nie postanowiono. Jan od dnia do dnia odkładał podróż,

tracąc odwagę, gdy pomyślał, iż znowu przyjdzie mu się puścić w świat nieznajomy, tracąc odwagę starą opuścić matkę, bez sposobu do życia, Bóg wie na jak długo!

— O mnie nie masz się co troskać, mówiła mu codzień poczciwa matka: mnie tam niewiele potrzeba. Całą przeszłą zimę żyłam z pracy, z przędzenia i robot kobiecych, choć daleko mniéj byłam silna i smutniejsza. Stara Małgorzata, wdowa jak ja bez kąta i dachu gdzieby się przytuliła, pozostanie ze mną. We dwie zapracujemy daleko więcéj, niżeli zjeść możemy. Byleby tobie tylko nie zabrakło. A! czemuż nie możemy być razem! Ale może doczekam tego! Teraz tyś mi jeden, i wszystka macierzyńska miłość zlała się na twoją głowę. Sprzedamy późniéj grunt i wyniesiemy się do miasta.

Miało się już ku późnéj jesieni, gdy ciągle odkładana podróż, nareszcie na dzień pewny oznaczona została, fundusze na nią zebrane, nabożeństwo odprawione na tę intencyę, gwardyan pobłogosławił, matka wcześnie opłakała. Jan zbierał teki swoje, pakował tłomoczek, wybierał się do Warszawy. Mówiono wówczas wiele o stolicy, w któréj król sam lubownik sztuki, protektor artystów, nieraz w pracowni Bacciarellego malujący dla zabawki, rozrywał się czując, że stoi nad przepaścią. Malarz nasz często myślał o królu, rachując na szczęście swoje, że go ku niemu zbliży.

Nie wiedział, że ten, którego na szczycie szczęścia widział, cierpiał może więcéj od najbiedniejszego ze swoich poddanych. Słaby Stanisław August szukał po niewczasie pociechy we wszystkiém, co go od smutnéj odrywało teraźniejszości. Otoczony blaskiem, wrzawą, a nie dość jeszcze ślepy, aby nie widział chmurnego

końca téj uczty, na któréj pierwszém zasiadł miejscu, bawił się jak bawią dzieci, którym lekarz zapowiedział zgon rychły. Wszystko im naówczas wolno, bo jutro umrą. Stanisław August nic też nie odmawiał sobie, co go zabawić i rozerwać mogło. Szukał rozrywki w zabawach szumnych, w sztukach, w literaturze, w zbiorach, w drobnostkach codziennych, któremi żył w niedostatku większego życia.

Był to los człowieka, któremu chleba braknie a konfitur podostatkiem: łechcą one podniebienie, ale nie nasycają.

Sir James Harris (lord Malmesbury) *) doskonale maluje stan duszy tego króla w swoim dzienniku:

Raz polowali razem.

— Nigdym waszéj królewskiéj mości nie widział tak wesołym, rzekł Harris.

— A! odparł August—czasem tak miło samemu się oszukiwać!

Drugi raz wziął go król pod rękę poufale:

— Sir Harris, mówił mu, czuję ja dobrze ciernie mojéj korony. Rzuciłbym ją do pięćdziesięciu tysięcy dyabłów, gdyby mi nie wstyd opuścić stanowiska. Wierz mi, nie ubiegaj się o wyniesienie! gorycze tylko zbierają się w końcu. Jeśli przyjdzie ci niespodzianie nieproszona wielkość, przyjm ją. Gdybym i ja tak był zrobił, lepiéjby mi z tém było! Duma mnie uniosła. Chciałem korony, dopiąłem jéj i jestem nieszczęśliwy.

Ten nieszczęśliwy i słaby król bawił się malarstwem, snycerstwem, stawił we Włoszech posągi sławnym mę-

*) Diaries and Correspondence. Lond. 1844.

żóm, obchodził uroczyście stuletnią pamiątkę wiedeńskiego zwycięztwa, malował z Baciarelli'm, kochał piękne panie, a płakał łzami rzewnemi w duszy.

Ale wówczas nikt tych łez nie widział, łez słabości, łez dziecinnych, łez bezsilnéj niewiasty; widziano tylko powierzchowne wesele i zwodniczą pomyślność. Wychwalano wspaniałość króla, który dawał Karpińskiemu nagi kawał ziemi, puszczą niewytrzebioną okrytéj, a Naruszewiczowi bogate biskupstwa, którego dni uprzyjemniali Trębecki, wychowaniec Francyi, i Węgierski, naśladowca Piron'a.

O. gwardyan sam zachęcił Jana, aby szedł do Warszawy, prorokując mu tam świetne dla jego talentu losy, byleby się dał poznać królowi jakimkolwiek sposobem. Z odwagą w sercu, z ową żądzą gorącą zdobycia świata, która tylko do krańca młodości towarzyszy człowiekowi, Jan postanowił spróbować szczęścia. Niebieskie oczy Jagusi nieraz go wabiły ku Wilnu; lecz los matki, nadzieje lepszéj przyszłości rozkazywały iść do Warszawy.

Chłodnym porankiem jesieni pożegnali się w progu chaty. Jan napotkał był furmana powracającego do Warszawy, który podjął się zawieźć go za małą cenę.

— Czemużbym cię nie odprowadziła choć trochę? rzekła matka. Dłużéj będziemy z sobą. A zobaczymże się kiedy jeszcze? Bóg wie jeden!

Milcząc (bo kto słowa znajdzie w takim razie?) pocieszał ją Jan.

— Zobaczym się, zobaczym prędko, matuniu! przemawiał niewyraźnie. Czuję, mam nadzieję...

Idąc ścieżką ku miastu, ciągle tak rozmawiali o przyszłości, i nie odeszła matka, aż zobaczyła Jana

na bryce. Potém stała jeszcze długo, długo, odwracała się często, dopóki pył wzbity widziała na gościńcu. Zawróciła się nareszcie ku pustemu już domowi, ale dłuższą drogą, bo zaszła jeszcze do kościoła Kapucynów pomodlić się przed obrazem Świętego Antoniego na intencyę syna. Znowu miała chmurne dni pędzić, myśląc tylko nad kądzielą, myśląc nawet przy modlitwie: „Co on tam robi? jak mu się tam wiedzie?" czekając wiadomości od niego. Stara Małgorzata, jedyna powiernica i towarzyszka, słuchała macierzyńskich skarg, domysłów i nadziei, potakując im skinieniem głowy lub zimném:

— Jakoś to będzie... da on sobie radę.

Jan tymczasem zamyślony, znużony pobytem na wsi, który rozjaśniało jedno serce matki i współczuczucie zakonnika, a ubarwiały tylko praca i myśli, ale niczyja nie ożywiła serdeczna zachęta—jechał powolnie do pożądanéj stolicy. Kraj w téj podróży coraz się zmieniał, jak tylko może u nas się zmieniać, przedstawiając sobą najrozmaitsze próbki. W ogólności jest to kraj płaszczyzn i zieleni, ale wyjątkowo znajdziesz tu góry, znajdziesz niespodzianie urozmaicone widoki. Najczęstsze są wielkie lasy i niegłębokie w nich krajobrazy zewsząd obstawione gajami; przecięż i długie doliny ginące w mglistém oddaleniu, i nagie równiny dzikie napotkasz nieraz na drodze. Ziemia czarna i żyzna obok złocistych piasków porosłych czarnym jałowcem, wązkie strumienie, i szerokie rzeki, i ogromne zwierciedlane jeziora, i zielone nie-

zmierzone łany, i głuche puszcze, i zaludnione gęsto kąty,—wszystko tu znajdziesz na przemiany.

Ręka tylkò ludzka z zabijającą jednostajnością porozstawiała na téj ziemi budowy, wszystkie sobie podobne i należące do pierwiastkowéj epoki, więcéj zajętéj ubezpieczeniem schronienia, niż myślą o formach jego, o wdzięku linij. Pałace tam i owdzie ukazujące się, miały jeszcze wówczas miny feudalnych gniazd sokolich: poosadzane w widłach rzek, wśród trzęsawisk, wieżycami nasrożone, murami i wałami opasane, bramami żelaznemi zamknięte. Ale już mosty zwodzone ledwie gdzieniegdzie na swych łańcuchach wisiały, już z wielu wieżyc porobiono gołębniki, jaskółki słały spokojnie gniazdka na blankach, mech porastał gzemsy, podwórzec zajmowały szeregi ścieśnione pokrzywy i chwastów. Wierzchołki krągłych rondeli opadały, zamki mieniły się w pałace, gdzie niegdzie ogród włoski z kondygnacyami szumiał na rozkopanych wpół wałach; mostki i kapliczki zajmowały miejsca młynów prochowych i starych skarbców, innéj epoki świadków. Szlacheckie dworki, jedne z najcharakterystyczniejszych budowli krajowych, wyglądające jak ptaszki z gniazd z krzaków bzu, wiśni i grusz starych, ze swemi serniczkami, ze śpichrzami malowniczemi o galeryach drewnianych, z gankami na słupach, bramami, których rozpięty strzegł jastrząb u szczytu, nieraz uderzały Jana. Widocznie tu było życie i uczucie silne, cechy właściwości kraju ukazywały się wszędzie, trzeba je tylko było umieć wyczytać. Samo mnóztwo tych dworków mówiło kto tu panem. A jaka rozmaitość przy jednostajnéj zda się ich wszystkich powierzchowności! Jedne opuszczone i obite z tynków; inne strojne, jakby im się chciało z pałacami mierzyć; w tych

herby na facyacie, tam gniazda wróble tylko, lub schnące na tarciczce sery.

Jan wśród próżniactwa podróży, patrząc na dwory, usiłował zgadywać kto je zamieszkiwał, wnikał w ich życie z kolei spokojne lub wrzawy pełne, i budował z kilku zdziebeł całe losy, całe historye pełne obrazów i obrazków. Potém zwracał myśl na siebie, na matkę, i biegł popatrzeć duchem na ubogą chatę, stojącą w Brzozowym Ługu, tak nagą, tak wcześnie pochyloną, tak biedną!

Jednego dnia ukazał mu się wieczorem wielki pałac Sapiehów na górze panującéj miastu, gdzie zapewne dawniéj musiało być starsze od niego zamczysko obronne.

Teraz wymowne świadcząc o potędze czasu, wielki gmach bez wałów, mostów zwodzonych i wieżyc, stał sobie spokojnie i patrzał po okolicy. Zdawał się mówić ziemi opasującéj go, dolinom i miasteczkom, wsiom i folwarkom: „Jam pan wasz!” Stał jak na straży, podparłszy się w boki długiemi galeryami, które trzypiętrowy korpus łączyły z oficynami.

Piękna brama z zegarem wiodła na owalny podwórzec. Pańskie herby świeciły na frontonach, ale w pałacu było pusto. Nie jak dziś, gdy ruina i Żydzi opanowali opuszczone a pamiątek pełne miejsce; lecz pusto na chwilę, bo panowie odjechali. Lasy, miasteczko, zamek i dalsze widoki, wszystko to razem wzięte, a oświecone na chwilę tak, że pałac w świetle był cały, wywiodły Jana z ołówkiem w ręku za miasteczko, dla naznaczenia sobie widoku tego w podróżnéj księdze, gdzie zwyczajem artystów wziętym od Batrani'ego, twarze dziwne lub piękne, drzewa, budowy, widoki zbierał poczynający malarz. Żyd właśnie

się tu był zastanowił dla szabasu, nie brakło więc Janowi wolnéj godziny. Wyszedł szukać punktu dla rysowania. Wieczór choć jesienny, był przecię prześliczny.

Pajęczyny srebrzyste jak symboliczne nici łączące z sobą wszystko co żyje, połyskiwały od zachodzącego słońca; lasy fantastycznie ufarbowane jesienią, krwawe, złociste, pomarańczowe, ciemne, białawe, sine, plotły się w wieniec prześliczny; trawy miały barwę bronzowego kobierca, gdzie niegdzie resztą zieleni przetykanego; a pożółkłe słomiaste nawet ściernie różnych odcieni, zdały się kwadratami misternie wytkanemi na wielkim tym dywanie. Mleczne chmurki polatywały, nabierając barw zachodnich; księżyc czerwony, gniewny, straszny, ogromny, unosił się w sinych parach na wschodzie.

Cisza panowała w pustém miasteczku, które przechodziły stada bydła i owiec, zastanawiając się po kilka razy u wrot gospodarzy. Jan przeszedł ulicę, i piaskiem po za miastem puścił się ku pałacowi.

Zapylony powóz pański, obwiązany tłomokami, powolnie wlókł się ku miasteczku, ale w nim nie było nikogo; minął go obojętnie malarz. O kilka kroków daléj zdziwił się, widząc na niewielkiéj wyniosłości siedzącego mężczyznę, młodego, przystojnego i ślicznie ubranego. Zdawał się on czytać czy rysować. Było to wówczas dziwném zwłaszcza u nas zjawiskiem. A że miejsce właśnie najlepiéj przypadało mu do rysowania, postąpił ku niemu powolnie Jan, wpatrując się uważnie w nieznajomego. Był to mężczyzna młody jeszcze, miłych rysów twarzy, prawie piękny, z pudrowanym włosem, różowemi policzki, siwemi oczyma, uśmiechem w twarzy ledwie nie dobrodusznym. Żywo

poruszał ręką i niecierpliwił się, rzucał papier i chwytał, mówił do siebie, śmiał się i kiwał głową.

Ubrany w ciemny frak i takąż wyszywaną blaszkami kamizelkę długą, z mankietkami koronkowemi u ręki, na głowie miał na ucho włożony kapelusz ówczesny, maleńki, bez żadnych ozdób, na nogach pończochy szare z klinami, oraz trzewiki wytwornéj roboty z szerokiemi srebrnemi klamrami kameryzowaną robotą. Wielkie guzy sukni także były srebrne, a na koszuli buchastéj błyszczała szpilka złota z topazem. Para rękawiczek, płaszcz niedbale rzucony, laska i chustka od nosa delikatna, leżała na boku tuż przy nim. Wszystko zapowiadało w nim jakiegoś wielkiego pana, nawet owo brwi marszczenie, owe ruchy dziwne, samowolne, gwałtowne, ów uśmiech pogardliwy i niecierpliwe rzucanie się.

Jan tak się przybliżył, że cien jego padł na papier rysującego, który podniósł oczy siwe, przenikliwe, pełne życia, zatrzymał je na nim i zagryzł usta, zmierzywszy od stop do głowy liche jego i niepoczesne ubranie. Na ukłon Jana odpowiedział lekkiém głowy skinieniem, jakby się chciał co najprędzéj od natręta uwolnić.

— Waćpan jesteś tutejszy? spytał, zwracając oczy na album.

— Nie! podróżny, i właśnie szedłem także zamek rysować.

— A! doprawdy! szydersko trochę rzekł panicz, i spojrzał na Jana, ruszając nieznacznie ramionami. Waćpan chciałeś rysować. Zająłem mu dobre miejsce, nie prawdaż? Mnie się jednak zdaje, że nie zawadzi, jeśli z niższego odemnie stanowiska na zamek spojrzysz.

— Zapewne, rzekł Jan z uśmiechem także: ale

w takim razie linie zbyt uciekać będą, wyda mi się dziwnie i niekorzystnie. Z dołu patrząc, często się nam zdaje, jakby to, co widzimy, waliło się.

Nieznajomy spojrzał Janowi w oczy, gdy ten rzucił zarazem wejrzenie ciekawe na album, na którém zuchwałe linie, poprawiane, pokrzyżowane, coś tworzyły nakształt niepojętéj pajęczéj sieci.

— Waćpan zapewne będziesz szczęśliwszy, bo ja tego widoku nie mogę nawet oznaczyć, a słońce szybko zachodzi.

— Spróbuję, rzekł Jan ufny w siebie, bo czuł się silniejszym, a nic go mniéj nie kosztowało nad widok natury.

Batrani z perspektywy starego Hondyusza wyuczył go tajemnic dających klucz do pojęcia wszystkich linij pejzażu i architektury.

Siadłszy niżéj, a tak przecię, aby nieznajomy mógł widzieć jego robotę, oznaczywszy w myśli horyzont, rzucił Jan główne linie, oznaczył plany, i z dziwną poprawnością i szybkością wytłómaczył idealnie cały ten wielki widok, któremu kilka cieniów ołówka roztartych tuszownikiem, kilka silnych uderzeń (touches de sentiment) dodało życia i kolorytu.

Nieznajomy w miarę jak się posuwała robota, coraz się jéj ciekawiéj przypatrywał i mruczał pod nosem. Nareszcie zaintrygowany widocznie, wstał, oparł się na lasce, długo chodził za ręką malarza, i odezwał się w końcu:

— Wybornie! Waćpan jesteś artysta, co się zowie artysta!—I zażył tabaki ze złotéj tabakiereczki.— Nie mógłbyś mi pan mojego rysunku poprawić? spytał, biorąc swoje album.

— Na cóż mam panu psuć jego myśl? Wolę, jeśli

mu to zrobi przyjemność, ofiarować ten niewiele warty szkic mój. Niech mu to miejsce, pewnie wspomnieniem jakiém uświęcone, przypomni.

Ukłonił się, podając swój rysunek. Młody człowiek, jakby się wstydził, że z początku niebardzo grzecznie przyjął podróżnego, podniósł kapelusz protekcyonalnie, z wyszukaną grzecznością nieskończenie wyższego ku nieskończenie mniejszemu, i przyjmując dar, rzekł:

— Gdybym mógł czém zawdzięczyć...

— Rzecz to małéj wartości, ani wdzięczności, ani podziękowania niewarta. Cóżbym lepszego robił? Jestem więźniem tutaj, bo mój furman zatrzymał się na dzień cały; szukałem zajęcia...

— Pan więc jesteś artystą i krajowcem! To dziwna! mierząc go oczyma rzekł młody pan, zabierając płaszcz, chustkę i powoli naciągając rękawiczki.

— Artystą? nie śmiem brać tego nazwiska: uczę się i chcę nim być kiedyś, będę może. Ubogi, jadę do Warszawy pracować, o niewielkim groszu, bez opieki niczyjéj, ale z wielką ochotą.

Pan spojrzał z ukosa.

— Możebym mu mógł być użytecznym? szepnął. Powiedz mi, nim dojdziemy do miasteczka, kto jesteś? co myślisz z sobą? gdzieś się uczył?

— Mogęż tak pana męczyć?

— O! ja *lubię* artystów.

To *lubię* wyrzeczone było jakby: *lubię pieski*. Jan pomimo to, cały w płomieniach, począł swoją historyę, którą słuchający pan przerywał dziwnemi żarcikami, nie słuchając jéj bardzo uważnie. Czasem naiwność wyznań śmiech mu na usta wywoływała. Dopiero o Batrani'm i nauce u niego uważniéj słuchać począł.

— To dobry wcale malarz, rzekł: znam jego obrazy; tanio się płacą, ale znawcy je cenią. Masz pan zapewne tekę swoją z sobą, stydya, myśli? Może mi ją zechcesz pokazać, stoję w murowanym domu, cały wieczór sam będę... proszę do mnie.

Jan szczęśliwy z tego wypadku, który mu dawał nadzieje niespodziewane, wnosząc, że ów pan do wielkiéj jakiéj rodziny należy, pośpieszył do murowanéj gospody.

Przygotowana już herbata i angielski podwieczorek podróżny z jaj, wędlin i słodyczy złożony na prędce, okrywał stolik, za którym siedział a raczéj wpół leżał na sofie, zasłanéj dywanem, nasz panicz.

Nie wstawszy nawet i nie podniósłszy się na przyjęcie Jana, prosił go jeść; ale temu odpadł apetyt, choć był głodny. Nadzieja go paliła.

Dobrą godzinę nic nieznaczące tylko odpowiedzi jąkając, spędził w oczekiwaniu. Nareszcie słudzy zabrali jedzenie, panicz się wyciągnął na posłaniu i prosił o pokazanie teki.

Roboty Jana daleko większe teraz i pochwały i zdziwienie w nim wzbudziły niż pierwsza próbka na gościńcu, która może nieco miłość własną artysty w nim ubodła.

— Waćpan jesteś na bardzo dobréj drodze! Będziesz artystą, powiadam ci! Są tu głowy wyborne; lecz trzeba, żebyś jechał uczyć się daléj niż do Warszawy, trzeba, żebyś był we Włoszech. Masz waćpan znajomych w stolicy?

— Nikogo.

— Mogę więc zawdzięczyć mu za rysunek listem do królewskiego malarza pana Marcellego Bacciarellego, lub do Smuglewicza, który ma z Rzymu powrócić.

Jan poskoczył z takiém uniesieniem, że rękę jego ucałował.

— O! nie dziękujże waćpan! Jeśli mu się moja pomoc na co przyda, będę szczęśliwy, żem kraj obdarzył znakomitym artystą. Ale waćpan masz jeszcze znaczną przestrzeń drogi do Warszawy, a pieniądze? Szczerze mi powiedz, ile masz pieniędzy?

Jan wybąknął cicho co wziął z sobą, a panicz rozśmiał się na całe gardło.

— Daruj waćpan, rzekł: nie mogłem wytrzymać; lecz czyż to podobna?

— Tak jest.

— Czuję się w obowiązku ciągnąć daléj rozpoczęte przez mego kuzynka kasztelanica dzieło i dopomódz mu trochę. Oto dwadzieścia dukatów, które mi waćpan oddasz, jeśli kiedy będziesz mógł; jutro gotów będzie list dla niego.

Niepodobna odmalować radości Jana, uniesień i podziękowań, które młody dobroczyńca przyjął z obojętną, zimną grzecznością.

— Zresztą — dodał, żegnając go protekcyonalnie — ja sam wkrótce spodziewam się być w Warszawie. Oto zwykły mój adres, rzekł wsuwając bilet. Kto wie, czy ja wprzód czy waćpan staniemy, chociaż ja wracam, a pan jedziesz; bo z małym zapasem zapewne bardzo powoli wlec się musisz. Listy i pieniądze nigdy zbytecznemi dla niego być nie mogą.

Rozstawszy się z nowym opiekunem swoim, Jan napisał zaraz do matki, oddzielił dla niéj część pieniędzy, i doniósł o szczęśliwym trafie, uważając go u wrot nowego życia za przepowiednię dalszego powodzenia, za daną przez Opatrzność zachętę do wytrwania.

Jan jeszcze naówczas wierzył w tę Opatrzność tajemniczą, z wysoka ogarniającą jednėm spojrzeniem wszystkich ludzi, czytającą w ich myślach, uścielającą im drogi i zsyłającą mannę dla ciała a pociechy niespodziane dla duszy.

Smutne to były i świetne zarazem czasy, gdy nasz Jan z bijącém sercem wjeżdżał do stolicy tak wówczas zepsutéj, tak splamionéj wszelkiego rodzaju spodleniem, przedajnością, rozpustą, że nie wiem czy co bardziéj nad ten stan chorobliwy głównego grodu mówiło o blizkim upadku całego kraju. Ta obojętność u brzegu przepaści, ten szatański taniec rozpasanych rozkoszników po jednemu padających w otchłanie, pijanych, szalonych, bez jutra, okropnym był widokiem, lecz straconym dla współczesnych. Mało kto widział rzeczy jak były. Kilku ludzi z sercem, głową, zresztą szlachetnego charakteru, ostatnich przedstawicieli kraju, walczyło z tysiącami bez serca, głowy, bez charakteru, bez żadnego poczciwego uczucia. Jak szlachetne i piękne twarze rzadkie są w tym tłumie, tak rzadka też postać, coby lepiéj zepsucie, spodlenie malowała, coby równie była typem zgnilizny moralnéj, jak pan podskarbi koronny. To także reprezentant całéj téj massy ludzi obojętnych, upijających się na stypie, odzierających katafalk, zwlekających z dogorywającego trupa ostatnie szaty, ostatnie klejnoty, targujących się z sukcesorami o bogatą spuściznę. O! szumiała bo naówczas Warszawa stypą okrutną, ale nie było pra-

wie oka, coby smutną stronę tego wesela mogło zobaczyć. Wszystkim tak było miło, dobrze, tak się bawiono doskonale! Wprawdzie wpośród śmiechu ozwał się czasem głos straszny, rozeszła nowina ponura, ale wprędce taniec i skrzypki głuszyły ten odgłos, podobny hukowi poprzedzającemu trzęsienie ziemi. Dla młodego chłopca, co raz pierwszy widział stolicę, widok to był oszalający, straszny: tyle domów, tyle ludzi, zgiełk taki, tłum tak ogromny a tak rozmaity, przepych i nędza, rozpusta i pokuta, starość bez wstydu i dziecińìstwo bez sromu, wszystko pomieszane razem, zbite w jedno, ogromna massa stworzeń sklejonych tysiącem interesów, powiązana wzajemnemi potrzeby i namiętnościami. Zimno się robiło Janowi, gdy pomyślał, wjeżdżając na biednéj, odartéj furmańskiéj bryce do stolicy: „Co ja tu pocznę? jak się tu wyróżnić wśród tylu? jak się dać poznać i jak docisnąć?"

Wszędzie zdawało się pełno do zbytku, wszędzie miejsca brakło. Bez opieki, znajomych, młody, ubogi, nieśmiały, myślał co począć, i już żałował, że za radą matki nie udał się do Wilna. Tymczasem mimowoli pożerał oczyma przepyszne kawalkady pańskie, owe cugi nieskończone, owych błyszczących laufrów, paziów, dworskie kozacznie, strzelców, hajduków strojnych, wzgardliwych, dumnych, rozpychających tłumy; złociste powozy i skrzywione w nich twarze, naszywane i kameryzowane suknie panów, i cudne strojnych kobiet oblicza uśmiechające się, wesołe, tchnące zalotnością, rozkoszą, zdające się mówić: „Co mi dasz?"

Zaćmiło mu się w oczach, zakręciło w głowie. Tam leciał laufer z pochodnią, wyprzedzając pazia na koniu wysłanego do pani Krakowskiéj, do pana Zamojskiego, do księdza ex-podkomorzego, do pani Mniszchowéj

i t. d.; daléj sunął się powóz skromny na pozór, lecz smakowny i prześliczny pani G., ukazującéj przez spuszczone okna sławną pierś ową, którą kupiła króla, kibić, któréj pieszczoty zepsuć nie potrafiły, i dumne faworyty spojrzenie, która wie co może.

Daléj jeszcze jechała w kabryolecie uśmiechnięta Lullie, niecierpliwa, ciekawa i pochlebnica, wścibska a miła jak zepsute dziecko, znająca wszystkich i niemal wszystkim ulubiona.

Tuż zaraz wieziono trupa na mogiłki, a kondukt ze śpiewy przesuwał się mimo oświeconego szynczku, gdzie tańcowały pijane kobiety z lokajami niemniéj zepsutymi od panów. Próżne powozy wlokły się za konduktem; panowie ich nie mieli czasu, grali u W..., gdzie im jechać na mogiłki! Pan podskarbi koronny *incognito* śpieszył do pewnego domku na Krzywe Koło, gdzie miał napatrzonego ptaszka, usiłując się ułatwić między obiadem u kanclerza a konferencyą w zamku, i z zimną twarzą idąc się tarzać w kałuży. Blada jego maska wyzierała z czarnéj karetki jaszczurczemi strzelając oczyma, uśmiechem zimnym jak lód. Stary kanonik Szulc szedł bokiem, pieszo, z parasolem pod pachą, w starych łatanych bótach, w wytartéj sutannie; czemuż postrzegłszy go, tak mu się kłania pan podskarbi? O! o! nie darmo, czyha na sukcessyę i testament.

Za nim pędzi, leci, rozbija L..., brat rodzoniuteńki pani G... Pilno mu na grę, któréj winien ostatnie wrażenia człowieka zrujnowanego i bez przyszłości. Codzień spodziewa się milionów, zgrywa do koszuli, a król jegomość targuje się z szulerami o długi rozpustnika! Ostatki zostawił u W..., spinki nawet, pierścienie, konie, a co gorsza, dwa tysiące czerwo-

nych złotych na słowo: nazajutrz smutna pani G.... aż póki nie wyprosi u króla, żeby przegraną zapłacił. Oj! bywało i gorzéj.

Za nim tysiące postaci, coraz dziwaczniejszych, coraz poczwarniéj w oku Jana malujących się; za niemi w ostatku — powolnie idący bokiem jakiś poważny mężczyzna, pięknéj postawy, godności pełnego oblicza. Łzą mu niebieskie zachodzi oko, wąs smutno opadł na wargi, ręce się skrzyżowały na piersiach, patrzy i płacze w duszy. To Rejtan, co wkrótce oszaleje z rozpaczy, próżno podnosząc głos Kassandry, do umyślnie głuchych niedochodzący uszu... Daléj młody, wrzący wzgardą chłopiec z orlém spojrzeniem... Bohaterowie nieznani w tłumie jeszcze!

Zapalono nieliczne latarnie, Żydzi snuli się ze światłem, wszyscy zdawali się śpieszyć, pędzić, uganiać, szturchać, wyprzedzać; wszystkim rzekłbyś pilno, nie wiem dokąd i po co. Na zamku, który się przemknął przed oczyma Jana, błyszczało we wszystkich oknach; miasto całe jak tysiące oczu tysiące szyb otwarło jasnych i patrzało niemi w ciemność. A wrzawa! któż ją opisze tę wrzawę stolicy pod wieczór, gdy wszystkie namiętności wychodzą ze skorupy i lecą się napaść?

Żyd poganiał do znanéj gospody, kędyś w pośrodku miasta, do zażyłego czy do krewniaka. Nawykły do fałszu, chciwy na zysk, nielitościwy dla reszty ludzi a zasklepiony w sobie — częściéj jednak niżby myśleć można, Żyd uczuje coś przecię i uczucie zapłaci z serca. Ów pogardzony Izraelita ma człowieczą fibrę w skostniałém sercu, co zadrga poruszona, zadźwięczy, aż zimny rozum nakaże jéj milczenie.

W ciągu dość długiéj podróży Jan potrafił łagodnością swoją, cierpliwém wysłuchaniem powieści i przy-

gód, pozyskać nie powiem przyjaźń, ale życzliwość furmana. Stary siwobrody Dawid, choć zdzierał go jak mógł, czasem znowu za to od cudzego zdzierstwa obronił, gadał z nim poufale, a gdy już wjeżdżali do wrzawliwéj stolicy, wiedząc o wszystkich projektach Jana, obiecał mu wyszukać tymczasem stancyjkę tanią, obiecał nawet (gdyby tego koniecznie potrzebował) jaki grosz pożyczyć.

— Ja często bywam w Warszawie, mam tu teścia i siostrę, to jak dom dla mnie, choć sam jestem z Piasków pod Lublinem, mówił. Gdybyś ać mnie potrzebował, nu, nie mówię, mógłbym mu co zrobić.— I pocierał brodę. — Waść dobry człowiek, a dobry człowiek to i Żydowi brat, tylko gałgany goje.

Postawiwszy konie w stajni (bo też konie szły przed Janem i im się pierwsze należało staranie), Dawid pomógł wziąć zawiniątko Janowi i poszedł z nim do gospodarza.

— Milcz ać, rzekł, ja sam stancyę wam zgodzę, oniby ciebie zdarli; wać mizernie ubrany, niewiele zechcą, a jak ja godzić będę, to odtarguję dla was trochę. Nu! nu! spuść się ać na mnie, choć ja Żyd, nie będziesz żałował.

Jan zgodził się na te pomocnicze usługi Dawida, a ten w zajezdnym domu najął mu stancyę za dwa złote na tydzień, prawda na strychu, zimną, czarną, biedną, ale mógłże wybierać?

Żydóweczka strojna, zalotna, kręcąca główką maleńką na tłustym karczku białym, zwieszoną od niechcenia, przyniosła świecę i ofiarowała rybę, kawę, mięso, coby chciał. Zgłodniały Jan przyjął wszystko, pilno mu było najeść się i ruszyć w miasto, gdzieby niechybnie był zbłądził i dostał się może w ręce oszustów,

gdyby Dawid nie przyszedł i nie powiedział mu opiekuńczym tonem:

— Połóż się ać spać i odpoczniéj sobie, po nocy nie chodź, ludzi się strzeż. Poznają cię, żeś fryc, i ogolą łatwo, a nie, to obedrą gdzie w kącie. Drzwi zamykaj, pieniądze noś przy sobie, albo tak schowaj, żeby ich broń Boże! złodziej nie domyślił się gdzie szukać. Często grosz bezpieczniejszy w szkatułce, nu! nu! wać jeszcze nie żył, a mnie trzy razy do koszuli okradli. Wierz wać mnie.

Jan o mało go nie uściskał, a co lepsza, posłuchał, położył się głową na tłomoczku i tece, zaparł drzwi i niedługo czekając zasnął.

Gdy się przebudził, dzień był wielki, ale mało go przez brudne szyby wpadało do izdebki, która teraz dopiero wydała mu się w całéj swéj brudocie i obrzydliwości. Noc wszystko upiększnia i idealizuje, przez nią plam, skaz i brudów nie widać. Szare tynkowane ściany, piec spękany, dwie jakieś ohydne ryciny podpisane przez jednego z tych sztycharzy, co mają sławę bazgraczy na całym świecie; stół kulawy przyparty do ściany, okapany piwem, łojem, pyłem i nie wiem już jakiemi ostatkami jadeł, okruchami brudów; tapczan a na nim siennik poplamiony; podłoga chwiejąca się i powypalana, a od dziesięciu pewnie lat niemyta; stołek wypoliturowany rękami i czémś jeszcze czego powiedzieć nie umiem: oto była izba i sprzęt jéj cały. Powietrze dusiło.

Jan chciał otworzyć okno, ale to było zabite; jedna tylko szyba na jednéj zawiasie raczyła się odemknąć i wpuścić zgniły, smrodliwy wyziew jakiegoś śmietniska na zaułku.

— Za dwa złote na tydzień, to wyborne, rzekł Jan:

ale wolałbym dworek matki. Tam jest czém odetchnąć; tu mi przez tysiące ludzi wydychane powietrze, zepsute, skalane do piersi zalatuje. A! cierpliwości!.

Począł myśleć o skromnym, ale przyzwoitym ubiorze; gdy weszła posługująca czarnobrewa Żydóweczka, z figlarnym uśmieszkiem, do zepsutych owych czasów i domu, w którym żyła, zastosowanym.

— Dzień dobry panu! Pan spał tak długo! dwa razy pukałam do drzwi. Jegomość potrzebuje czego? Jest kawa, jest śniadanie; a może czego do miasta?

— Chciałbym sobie, moja panno, kupić jakie ludzkie odzienie, albo kazać zrobić; bo mi się w mojém trudno na miasto pokazać.

— Odzienie! a waj! To niechże pan mówi! Zrobić! po co robić? to tylko wielkie panowie każą sobie robić odzienie; pan kupisz nowe, nowiusieńkie, śliczności u mego stryja. Mój stryj ma handel win, kupuje starzyzny...

— Ale ja nie chcę starzyzny.

— Ja się omyliła „starzyzna!” a waj! to lepsze od nowego! wypróbowane! Mój stryj kupuje w wielkich domach, u senatorów. A jak pan chce się ubrać? po francuzku? Teraz wszyscy porzucili niezgrabnego kontusza...

— Ubiorę się jak zechcę...

— Zapewne, tak najlepiéj. To będzie zaraz. Mój stryj tanio przeda, a jest w czém wybierać. Proszę pana ze mną.

Jan zamknąwszy na klucz izdebkę, z pieniędzmi w kieszeni wedle przepisu Dawida, zszedł za Sorką ze wschodów, które mu dziś wydały się okropne, tak były połamane, wybite, brudne. W miarę jednak jak schodziły, rozszerzały się i śmiecie się zmniejszało.

Zeszli aż na dół. Po kilku słowach i chwilce poczekania wyszedł średnich lat Żyd w koszuli tylko i spodniach po kolana, w trzewikach, z piórem za uchem i tabakierką w ręku; otworzył ciemny skład i wprowadził Jana do izby sklepionéj, gdzie nietylko widać, ale czuć było mnóztwo złożonych sukień. Były tam nowe i stare, kosztowne i liche, pasy i łachmany.

— Co jegomość chce? spytał mierząc chłopca oczyma.

— Cały ubiór czarny.

— Doktor? spytał Żyd znowu.

— Nie.

— Nu a cóż? ksiądz?

— Nie... malarz.

Żyd skrzywił się pogardliwie i począł szukać; Jan także. Widział on kilka osób na ulicach po drodze, i zrobił sobie wcześnie wyobrażenie o przyszłym stroju; zresztą jako malarz miał trochę smaku: wybrał więc w prawie nowych sukniach cały strój czarny aż do pończoch jedwabnych mało co noszonych, trzewiki nawet z czarno szmelcowanemi stalowemi klamrami znalazły się na podoręczu, kapelusz, wszystko.

Ale gdy przyszło do targu, Żyd ogromne kładł ceny i nic ustępować nie chciał.

— Waćpan zapłacisz drugie tyle na mieście.

Widocznie chciano ułowić i oszukać fryca. Jan pomyślał i rzekł:

— Słuchaj, mości kupcze: jestem ubogi, nie mam grosza do wyrzucenia; zgodzim się o cenę, połowę zapłacę, a drugą połowę gdy znajdę kogo, co lepiéj znając się odemnie, poświadczy, że to istotnie tyle ile chcesz warto.

Po długich sporach, wśród których Żyd trzy razy

zamykał i odmykał izbę, chodził i wracał, sprzedał nareszcie żądane suknie. Jan obejrzał po dniu swoje odzienie, które mu się wydało świeże i do miary, i pobiegł z niém na górę. Wprędce ubrany, gotów do wyjścia, pomyślał: co zrobić z sobą? gdzie się udać?

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani jak nawet trafić. Zszedł na dół zamyślony błądzić po mieście. Jest to jedna z wielkich przyjemności nowoprzybyłego, gdy jeszcze w ogromnéj stolicy błądzi jak w pustyni, wśrod ludzi a nieznany nikomu; wszystko mu nowe, zajmujące a obce: oczy pasie a czuje, że nic w sercu go nie dotyka. Jest to rodzaj moralnéj kąpieli, przyjemnéj dla bardzo wielu. Artysta sto razy stawał przed gmachami, sklepami, ludźmi, z tą nowego człowieka ciekawością, ciekawością młodości i niedoświadczenia, którą wszystko zajmuje, zadziwia, zachwyca, unosi.

Tysiące rzeczy nowych zupełnie, a przez to samo kolosalnych, nowe barwy, linie ledwie marzone, twarze tak pełne rozmaitości, którą namiętne życie miasta nadaje, rozwijając wszelką skłonność, jątrząc ją łatwością zaspokojenia, — wszystko zastanawiało wędrowca. Jan szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. Teraz nawet, w blaskach wielkiego jasnego dnia, wydało mu się miasto wielkiém, piękném, lecz wielość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak dać tu rady? wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potém przychodziły mu na myśl wyrazy Batrani'ego, nieraz słyszane: „Miasto wielkie tysiące dla malarza nastręcza pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy

w wielkiéj ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił stary Włoch — wyrzec się świata i pokus jego; stłum w sobie żądze, poświęć się cały sztuce, miéj ją za cel jedyny dla siebie."

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział czy potrafi jéj sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojném oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zamku, bo król musi go mieć pod ręką, i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z appartamentami królewskiemi. Często do niéj schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pendzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to:— król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącéj ku niemu z tylu się powozami mijał, tyle osób spotykał, potém w podwórcu ogromnym w taki wpadł zgiełk ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czémś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżałe ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, w końcu całkiem głowę stracił i nie wiedział co począć. Nie pojmował, że trzeba było talarkiem sobie drogę torować, i nie śmiałby był nikomu z tych wygalowanych panów zaproponować datku. Smutny, z niczém powrócił wieczorem do stancyi, a resztę dnia spędził na duma-

niu. Stary Dawid i młoda Żydóweczka, która mu jeść przynosiła, pocieszali go zapewnieniem, że nazajutrz, byleby chciał zaofiarować talarka, utoruje sobie drogę choćby do samego króla, byle nie oszczędzał datku.

— Albo wie pan co? dodała Sore: ja panu dam Żydka ubranego po francuzku, który czasem wielkim panom usługuje (zarumieniła się trochę, bo Dawid spojrzał jéj w oczy), za talarka on się wypyta, dowie i pokaże panu gdzie masz iść.

Nazajutrz o południu Jan pośpieszył ze swoim przewodnikiem i potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał ztąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą, i wiele a wiele pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijść mu daléj nie dozwolono. Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francuzku. Jan nie umiał po francuzku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jak to od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Baciarelli widzieć się daje tylko na chwilę, i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy, zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonéj godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G.... Czekał do saméj piątéj, aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sessyi malarskiéj, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośném mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową, i począł z razu mówić coś złą francuzczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami, i zawołał złą polszczyzną:

— No, czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Biacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyj, rzekł: mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzic S... chce, bym wam pomógł, i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiéj malarni, pracowni na ogromną skalę, któréj ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większéj części portrety różne w całéj postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co rok przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największéj liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach: najwięcéj wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonéj wesołości może mimowolnie przebijał się z fizyognomii królewskiéj. Kilka innych obrazów wystawiało prawie

nagie kobiety, jakieś Wenery Kallipygi, malowane z zalotnic, z uśmiechającemi się pyszczkami i mdlejącemi oczyma. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończało koronki i t. p.

Jan obejrzał się do koła, ale prócz kilku nóg i rąk nie zobaczywszy żadnego gipsu, żadnych posągów, zdziwił się bardzo. Mannekin w generalskim mundurze siedział, zadarłszy nogi na krześle.

— Gdzie pan byłeś? spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani?? A! a! Włoch, Florentczyk, *povero!*— Skrzywił się. — Co umiesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon*... ale tylu już mam w mojéj malarni... Weź waćpan kredę — dodał od niechcenia — i odrysuj mi co chcesz na tém płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan pomimo przelęknienia, rzucił kilku śmiałemi rysami głowę starca (w rodzaju Świętego Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potém główne plany torsu.

— Nieźle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli. Lecz możeszże malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A! tylko rok!

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan

zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: „Na nic mu się nie przydam!”

— Jeśli pan pozwolisz — dodał — ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnéj nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba...

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — dorzucił niebale — mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającéj, kilku młodych ludzi nadeszło z drugiéj sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pendzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny, wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza, psuł umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jéj, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była, prócz części czoła i jednéj strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrysy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jéj zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli bladł, to czerwieniał.

— *Che diavolo!* przecedził przez zęby: wcale nieźle, wcale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcyą, dla mnie i dla nikogo więcéj.

— Jak to? spytał Jan nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz, będzie mojém, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósméj schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie kolledzy go nauczą.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak na pastwę, gdyby jéj nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz kollego? i zkąd przybywasz? rzekł jeden.

Jan dopiero po tém pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladéj twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnéj, ale czystéj. Drugi za nim stojący, mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskiemi a zbladłemi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wpartą.

Trzeci mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos miał ciemny rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapień; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie aksamitnym na uchu, z włosem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno-niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego; a różnie sobie ludzie to upodobanie w nim mistrza tłómaczyli. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pendzlem po palecie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzieindziéj.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was panowie i przyszli towarzysze proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Te kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie poszli zaraz do sąsiedniéj sali, śpiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, owym figlarnym śmieszkiem, pierwszym co go był zapytał, i smutnéj twarzy ułomnym.

— Daj ci Boże szczęście mój Żmujdzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś,—ale czy wiesz co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogań-

ska, i że czci żaby i węże, musimy cię więc najprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny: daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, śpiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale będzież ci smakował, kollego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! zawołał wesoło chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Dixi.*

To mówiąc, porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy co Jana zapytał, i ułomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłoń i prawie razem szepnęli: „Poczekaj, pójdziemy razem.”

Nieopatrznie sympatyczna jest młodość; nie ma ona tajemnic, którychby się wahała powierzyć: ściśnienie dłoni, uśmiech przyjazny, słówko serdeczne, całą ją zabiera i płaci. W chwili potém Jan schodził ze wschodów powoli, słysząc goniących już za sobą dwóch towarzyszów, co mu szeptali u wyjścia, aby się nieco zatrzymał.

W podwórzu dogonili go i szli razem.

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Feliksem: jaki zły duch zagnał cię do pracowni Bacciarellego?

— Zły duch? spytał Jan: ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem, i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj śliczne szczęście! przedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować jak machince, pracować dla niego ze swéj myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chòdźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks zwany Chmurą: opowiesz nam, jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batrani'ego, pobyt u matki podróż, spotkanie z wojewodzicem.

— Wojewodzic S..., rzekł Chmura, pomścił się na tobie za upokorzenie, którego doznał: zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Nicże się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznéj ręki. Może napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linij i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którém celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłómaczy żadnéj czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Za to używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że ztąd po niejakim czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! Żaden przecię tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go jeśli się o to stara, niewiele stoi o wy-

raz, trochę więcéj o miły, harmonijny koloryt, a nadewszystko o podobanie się królowi, i tym, przed którymi dworuje. Najwięcéj robi portretów i nagich bogiń. Jeśli kogo wyszle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiéj jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz, dodał Chmura.

— Bierzcie mnie jak widzicie. Wolę być oszukanym niżeli oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się, wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i nie łatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może nic do wyboru, chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiém szczęściem, a w istocie wielkiém na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzéj towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś nie-

zepsuty i poczciwy, rzekł powolnie: przyjmiéjże niektóre rady mogące ci bardzo w nowém życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemiła, zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie narobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojéj wyższości. Strzeż się pięknego kollegi, co ma minkę Rafaela, chodzi w berecie jak on, jak on się uśmiecha, a serce ma Guida! Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec, co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin, wzdychamy tu jak Izraelici na puszczy. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata, i gotowi spodlić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura: przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżéj nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i zaraz gospodarować w niém będziemy: obu lżéj nam będzie. Jeśli późniéj nie okażesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął, i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydało po smrodliwéj izdebce w żydowskiéj gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batrani'ego, szerokim pendzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Nie podobała się ta ma-

niera mistrzowi, i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do maniery miejscowéj i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniéj nienauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najlżejsze odstąpienie od swego *sposobu* karcił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnéj głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość, swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznemi środki i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niéj spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chcesz-li być artystą, unikaj miasta.. To Sodoma i Gomora!

W istocie, Warszawa wówczas zasługiwała na to nazwanie, tak była zepsuta, tak przegniła od górnych warstw towarzystwa do najniższych prawie.

Jan ocierał się między ludźmi i poglądał z blizka na jedną z najciekawszych epok krajowéj historyi, na tę stypę pijanych grabarzy, która się zowie świetném panowaniem Stanisława Augusta. Codziennie w zamku bywając, pomimowolnie wnikał w to życie dziwne zmianami opinij, fizyognomij, charakterów, gdzie nieledwie wszystko obracało się na najnieszlachetniejszéj osi osobistego interesu.

Feliks, towarzysz codzienny jego, jak Kassandra wzdychał, przepowiadając smutne przebudzenie po szale. Dla niego kłamane wesele nie miało tajemnic.

Przybycie do Warszawy na sejm księżny kurlandzkiéj, ze świetnym dworem i przepychem królewskim prawie, nowe jeszcze wlało życie w ten ruch już i tak do szału podobny. Bale goniły za balami; król jegomość przelatywał jak motyl od piękności do piękności; przysiadł się był nawet razem z księciem Sapiehą do księżny Bironowéj, ale go zazdrosna odwołała G..... i posłuchał.

Jan wpatrzył się przez czas pobytu swego w Warszawie w ten obraz, który podobno nie znajdzie malarza, coby go wystawił w całéj fantastycznéj okazałości jego i szkaradzie. Jego wspomnienia, ze smutkiem, jako obce przedmiotowi powieści, całkiem tu wyrzucać musimy.

. . . .

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciołmi i pracą domową, którą sam wedle swéj myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionéj, i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimer młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarelli'm, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzedanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięztwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o téj stani-

sławowskiéj zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie, lub brechlance łamali nadkruszone.

Przypatrzył się Jan walkom liliputów, i świetnym zwycięztwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego, i całéj przepysznéj uroczystości, takiemi naówczas okrytéj oklaskami, i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył;—

gdy król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc na niego:—„A to wcale dowcipnie!“ (ale z gorzkiém ust skrzywieniem);—Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprawdzie wykonał i massy tylko poznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, gruppach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, dla zdecydowania o portrecie

pani N...., która odmalowana została leżąca w łóżku i bawiąca się z pieskiem, prawie naga, z uśmieszkiem figlarnym, z ręką na głowę zarzuconą, w pozie dziwnie bezwstydnéj, na wzór Tycyanowskiéj Wenery w Trybunie,—chodził od trójnoga do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August,—i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! jaka śmiałość ręki! jakie gruppowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Winszuję ci mój chłopcze! odezwał się król, wpatrując się coraz uważniéj w rysunek; prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był,—gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco późniéj wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potém wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan, jeśli chcesz i jeśli ci kazano;

ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go blady i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje, za to mu płacę, rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podoba mi się kazać Rudolfowi malować, i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, któréj nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarelli, ściskając ramionami i ostrém wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiéj?

— Ja!! z rozkoszą woli naj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojéj wyrzec rozkaże.

— Wolą jest jego, aby Rudolf malował.

— Niechże maluje, odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? dodał tryumfujący Bacciarelli.

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo, nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w gniew niepojęty wprawiła Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i daléj.

Niebardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich.

Turkułł, ów sławny paź królewski, figlarz i dowcipniś, którego żarciki lubił Stanisław August, a śmiałość tolerował, bo ta go bawiła—Turkułł był narzędziem szczęścia dla Jana.

Turkułł wysłany został z prześlicznemi wiśniami, nowalią osobliwszą od króla j. m. do pani Zamojskiéj. W drodze, zepsute dziecko, trzpiot i łakomiec, tak się wpatrzył w wiśnie, że mu się ich poczęło zachciewać niezmiernie. Ulegając nieszczęsnéj pokusie, zjadł śliczne wiśnie posłane, po jednéj aż do dna; a na miejsce ich kupił w straganie kwaśnych i maleńkich, odnosząc je od króla pani Zamojskiéj. Nazajutrz, gdy Stanisław August odwiedza siostrzenicę, skarży mu się pani Zamojska:

— Cóż to za żart zrobiłeś w. k. mość ze mnie? Przysłałeś mi jakieś wisienki, których w usta wziąć nie mogłam.

— Jak to? *ma toute belle!* prześliczne, łótowe i najpierwsze wiśnie!

— Szkaradne, drobne, kwaśne!

— Kto je przyniósł?

— O! nie wiem doprawdy.

— Czy nie Turkułł?

— Bardzo być może, dorzucił przytomny Bacciarelli, który malował portret pani Zamojskiéj dla króla. Wczoraj gò widziałem na koniu stojącego przed straganem nieopodal ztąd i kupującego wiśnie.

— A łotr! śmiejąc się zawołał król: *il n'est pas degouté!*

Z powrotem do zamku przywołują pazia.

— Coś zrobił z wiśniami pani Zamojskiéj? spytał król, kręcąc go za ucho.

— Najjaśniejszy panie! a cożem miał zrobić? dopełniłem ich przeznaczenia.

— Tak! ale nie oddałeś ich pani Zamojskiéj. Na miejsce ich kwaśne jakieś, brzydkie, maleńkie!

— Prędko jechałem, utrzęsły się może, zbiły i skwaśniały.

— Bacciarelli powiada, że cię widział kupującego jakieś wiśnie w straganie?

— Mnie?

— Waści.

— No! to wolę wyznać w. kr. mości, że mnie skusiły jak jabłko Adama. Owoce dla mężczyzn są tak niebezpieczne! Daruj królu! Wiśniom i kobietom oprzeć się niepodobna! dodał z głębokiém westchnieniem i udaném strapieniem. P. Bacciarelli! (zapłaci mi! szepnął do siebie), on zawsze widzi co chce, a czego nie chce nie widzi.

— No? czegoż tam się nie dopatrzył, panie Turkułł?

— O! wielu rzeczy najj. panie! Naprzykład zobaczył, że pan Rudolf rysował karuzel, a nie widział, że rysunek, który w. kr. mość pochwaliłeś, był wcale innéj ręki.

— Innéj ręki? czyjéjże naprzykład?

— Biedaka Litwina jakiegoś, który z tego powodu wyszedł od Bacciarellego i stracił miejsce, nie chcąc dać malować ze swego konceptu.

— Pleciesz waćpan! rzekł król obojętnie.

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości corocznie się malującego. Po krótkiéj chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte; zbliżył się do Rudolfa i zapytał wpatrując się w niego:

— A co? mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie, podchwycił Włoch szybko— jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencyą król, mierząc go oczyma.

Ten postrzegł a raczéj przeczuł z wyrazu twarzy królewskiéj, że się coś święci niedobrego, i chciał wyprzeć się nieswojéj roboty, ale Włoch przerwał nie dając mówić:

— Zdaje mi się, rzekł żywo, żem się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiéj wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle;* pod mojém okiem byłby się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecię rysował? spytał król obojętnie.

— Nie ma go tu, odrzekł Bacciarelli; nie wiem czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię mości Bacciarelli.

To rzekłszy, król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan z razu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi, i przyszedł

nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał jakby nie wiedział dla czego tyle dni nie pokazywał się w pracowni, i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować effekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóztwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięzko z tak trudnego zadania. Jan podżegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydziełko: drobniutkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światłocieniem. Pod pretekstem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to, i zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie, i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tém nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrzeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na nim roboty swéj nie mógł znaleźć! Oczy mu zaszły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— *Che bestia!* mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowém, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go: czegoby życzył?

Ośmielony łagodném i wesołém wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historyę, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań—niepohamowanych każdego artysty:

— Włochy!

— Jedź, rzekł król,—a wracaj nam mistrzem! Jest

już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małém. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przysyłaj mi roboty swoje. Prócz tego—dodał cicho—nie masz tu podobno przyjacioł.

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozpłakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potém opatrzony w pieniądze, pasport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrot nieśmiertelnego Rzymu.

Wyjazd jego z Warszawy zaćmił się bolesnym wypadkiem. Towarzysz Jana, poczciwy Feliks, znękany, zrozpaczony, i gwałtowną chorobą rzucony o łoże, podał mu na pożegnanie dłoń zimną, która w ręku jego skrzepła na wieki! Kilka rozpoczętych płócien, teka rysunków pełnych energii i niezwykłego ognia, wspomnienie w jedném sercu prędko zatrzeć się mające,—oto co po nim zostało.

— „Witaj ziemio! Grecyi dziedziczko, ojczyzno odrodzonéj sztuki, matko wielkich artystów, których wykarmiłaś na ruinach starą myślą umarłego świata, których wykołysałaś głosami nadziemskiemi przeszłości witaj Italio! witaj Roma!...” wołał Jan ze wzruszeniem, wstępując na odwieczną drogę, na któréj czuł raczéj niż widział ślady rzymskich wozów, ujrzawszy starą naddrożną kolumnę, jedną z tych, co olbrzymie drogi olbrzymiego państwa rozmierzały.

Z podwójném uczuciem chrześcianina i artysty pokłonił się wielkiéj ruinie i zamyślił nad nią głęboko.

Nigdzie tak żywo nie mówi przeszłość, jak na tym grobowcu. A dla Jana grobowiec rzymski był także kolebką. Tu wykołysała się na falach krwi męczeńskiéj wiara Chrystusowa, nowa religia, nowe prawo dla świata. Sztuka starożytnych na chwilę zapomniana, ustąpiła w jego umyśle miejsca katakumbom o nieforemnych symbolicznych postaciach, oraz podaniom z pierwszych heroicznych chrześciaństwa wieków.

Wzruszenie, w którém niepojętym sposobem mieszały się wiara i sztuka, opanowało serce jego. Jan bowiem pomimo zaniedbanego wychowania, przejął od matki, wyssał z mlekiem głębokie, silne uczucie religijne, dotąd niestarte i nieosłabione niczém. On wierzył sercem; głowa jeszcze u niego serca słuchała.

Wszystko tu przemawiało do niego; a pierwsze dni w Rzymie spędzone, nie pogański świat, nie sztuka jego wspaniała i podziwu godna, ale pamiątek chrześciańskich i świętych miejsc obejrzenie zajęło. W kościele Świętego Piotra, u Świętego Stanisława *dei Polacchi*, u Jana Swiętego na Lateranie, u Maryi Większéj, u Maryi Anielskiéj, Świętego Piotra *in Vincoli*, modlił się najprzód jako pielgrzym, posyłając w modlitwie westchnienie za matką.

Ochłonąwszy dopiero z tego pierwszego uczucia, wyłącznego w początku, Jan poczuł się artystą, pomyślał, że jako artysta nie jako pielgrzym tu przywędrował. A arcydzieła sztuki z kolei silnie go pociągnęły ku sobie. Przygotowany do widzenia ich i ocenienia przez Batrani'ego, nie zaraz jednak potrafił wielkość i piękność ich uczuć, rozeznać.

Ze sztuką jak ze wszystkiém innėm na świecie, potrzeba wyrobić w sobie smak różnostronny, pojęcie szerokie jéj całości, aby wszystkie objawy tak rozmai-

te geniuszu ludzkiego zrozumieć, aby przez uwielbienie dla jednych nie stać się niesprawiedliwym dla drugich. Mało jest ludzi, coby razem rysunek, linię bozkiego Rafaela, wyraz naiwny starych mistrzów, potęgę Michała-Anioła, koloryt uroczy szkoły weneckiéj, wdzięk Albana pojąć i uczuć umieli, nie wyłączając jednego przez cześć dla drugiego, nie stając się niesprawiedliwymi dla któregoś z tych wielkich, w swoim każdy rodzaju, mistrzów.

Jan też w początku nie uczuł całéj wielkości, arcydzielności tworów, które spotykał. Błądził od jednych do drugich, i tysiącem sprzeczności rozmarzony, nie pewien co wybrać i kogo słuchać, był jakby wśród wrzawy stu pięknych głosów, z którychby każdy inaczéj śpiewał. Każdy w początku tego doznaje, kto nie ma wielostronnego uczucia w sztuce i wyrobionego wyższego o niéj pojęcia. Późniéj, najczęściéj jeden mistrz najsilniéj do organizacyi, temperamentu, wykształcenia przemawiający, staje się wybranym i uwielbionym kosztem innych. Jego stawiamy na czele gmachu, a resztę pod nogami bohatera. Lecz jest-li to sąd sprawiedliwy, sąd, jaki być powinien? Nie, jest to po prostu ślepe zamiłowanie siebie w drugim. Ledwie prawdziwie wyżsi niém się nie zadawalają: pracują nad sobą, aby zmysł potrzebny do pojęcia zakrytych im piękności wyrobili w sobie, i dochodzą do tego pracą, żądzą i wolą niezłomną.

Jan długo błądził od obrazu do obrazu, od posągu do posągu, zapytując siebie: Co jest prawdą dla sztuki? czy linia, czy barwa, czy wyraz, czy wdzięk, czy siła? Każde dzieło inaczéj mu na to wielkie pytanie odpowiadało; żadnego nie znalazł, coby wszystkie pojedyncze warunki sztuki skupiło w jedném i równie

dobitnie zadość im czyniło. Tu dopiero pojął on co jest ideałem, tym odwiecznym wzorem bozkiego Platona, na który ma się mistrz tworząc zapatrywać. Ideał jest to właśnie owo dzieło niestworzone, niezrealizowane, które tłómacząc i wcielając niedoskonale, zawsze zbyt w jedną stronę pochylamy, ze szkodą całości.

Ideał, to dzieło energii Michała-Anioła, linij wdzięcznych Rafaela, wyrazu Fiesole'go, kolorytu Tycyana, żywotności Rubensa, wdzięki Guidów i Albanów. Ideał, to nadziemska doskonałość, wiążąca w sobie wszystkie ziemskie doskonałostki, niekompletne, ułomne.

Oddać sprawiedliwość, pojąć, ocenić każdego z wielkich twórców arcydzieł: oto nad czém Jan silił się naprzód, nim zasiadł do pracy. Błądził po galeryach i muzeach, godziny całe siedział u posągów i obrazów, aby z nich myśl twórcy przeczytać. Im mniéj sympatyczne było dla niego arcydzieło, tém usilniéj starał się zjednoczyć w niém z myślą artysty. W ten sposób dopełniał braki w swéj organizacyi, rozwijał w sobie zamarłe w zarodzie siły. Po długich godzinach wpatrywania się w dzieło, świtała z niego zakryta wprzódy myśl powolnie, aż pierwéj mglisty twór otoczyła, blaski swemi. Jaśniał mu on; czytał jego znaczenie, dzielność jego pojmował; pochylał głowę, czuł w duszy, iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednéj zagadki rozwiązywało krocie drugich.

Tak spłynęły pierwsze dni pobytu w Rzymie, pierwsze tygodnie całe, na próżniaczéj powiedziałbyś może wędrówce, która przecięż chwilą w życiu Jana ważną i dla rozwoju duszy jego stanowczą była. Artyści jak Jan, z daleka, z Francyi, Niemiec, Hollan-

dyi, Anglii i innych stron świata przybyli do Rzymu dla nauki, poglądali na tego obcego przybysza z podziwieniem i szyderstwem. Była to chwila najfałszywszych pojęć o sztuce. Młodzież biegła malować, nie myśleć i uczyć się do Rzymu; łapała piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąckroć rysowane; ściskała piękne Rzymianki, szalała w Cafe Greco, weseliła się chwilą swobody, chwilą młodości; ale niegłęboko wtajemniczała się w zamknięte dla niéj sztuk tajniki. Sztuka była piękną lilią, pojmowaną najdziwniéj, poziomo i bez zapału; sceptycyzm może XVIII wieku obnażył ją z uroków, osuszył, i materyę, powierzchnię daną do naśladowania, ograniczył.

Myśl uciekła z tego nagiegò szkieletu, który napróżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

Jan poważny, zamyślony, często ze łzą w oku, częściéj jakby nieprzytomny, tak głęboko zadumany i zwinięty w sobie, stał się pośmiewiskiem młodych artystów towarzyszów, z którymi pracował pod przewodnictwem Landi'ego.

Znalazł i tu przecięż kogoś, co sympatycznie uczuł się w początku pociągniony ku niemu. Młody Annibal Cipriani, ubogi przybysz z Wenecyi, który napoiwszy się dziełami kolorytu w ojczyźnie Bellini'ch, Palmów, Tycyanów i Tintorettów, szedł do Rzymu szukając tu linii i wyrazu, rysunku i myśli,—pierwszy ku niemu dłoń wyciągnął. Spotykali się razem w pracowni Landi'ego, któregò byli uczniami. Annibal, choć Włoch, niemiał chytrości włoskiéj, szyderstwa im właściwego, próżności, jaką oni mają. Serdeczny, zbyt może czuły

i wrażliwy, z czczością w sercu, bo pozbawiony był tego uczucia religijnego, które jeden lud jeszcze w tym kraju zachowuje—rzucał się na wszystko, ku wszystkim, gdziekolwiek domyślał się pokarmu dla serca. Szukał on napróżno przyjaciela w tłumie, i po innych zwrócił się do Jana. Jan dotąd miał wielkie i szczere uczucie religijne; Annibal, który więcéj czytał, zakosztował XVIII wieku owoców, pozbawiony był wiary, świat i życie nie miało dla niego tajemnic. Ze łzą w oku nad nędzą ludzkości, pod pozorem litowania się nad nią, powtarzał zdania pseudo-filozofów, dowodząc, że wiara jest zasłoną umyślnie przed światem wyciągnioną, aby z ciemności korzystać, by ludzkość ślepą pozostała na wieki i na wieki związaną.

Annibal tém niebezpieczniejszy był dla Jana, że szlachetny w duszy, nie szydził prawie, ale się oburzał, że zdawał się mówić za ludzkością, za postępem, za wszystkiém wielkiém, dobrém i szlachetném. W początku wielkie zdumienie opanowało Jana, gdy pierwsze jego słowa wypowiedziane w zapale posłyszał: zaląkł się, osłupiał; potém z ciekawością ucha nadstawił; aż wreszcie, nieznacznie, przyjął zarazę nie wiedząc o tém. Wyższość umysłowa i wykształcenie naukowe Annibala, który jako artysta był mierny i mały, ale jako człowiek myślący, szybkością pojęcia, obeznaniem z wielością przedmiotów i zagadnień górował nad Janem—ułatwiła nawrócenie. Jan czuł się małym w jego przytomności, choć w istocie daleko był potężniejszy. Co serce mu dyktowało na zbicie słów Annibala, tego nie umiał i nie śmiał wyrazić, bojąc się okazać nieukiem. Słuchał więc, oburzał się, milczał i pił zarazę.

O! tysiąc razy powtórzymy: wszystko jest zaraźliwe

na świecie, cnota i występek, myśli, przekonania, sądy.

Myśl rodzi myśl z siebie, a wszczepiona na drugiéj miesza się z nią i pośrednie wydaje płody, które dorastając ojcowską lub macierzyńską przybierają fizyognomię. Tak u Jana wszczepił się sceptycyzm na uczuciu religijném, i wyszły z niego myśli płowe, barw niepewnych, już wiodące do obojętności, do niedowiarstwa. Nie przyjmując z równą jak Annibal gwałtownością wszystkich, jakie przeciw religii wyprowadzał zarzutów, nie powtarzając obelg, zobojętniał przecię i zastygło powoli dawniéj tak silne religijne uczucie. Świat w pierwszych chwilach tego przebudzenia zdał mu się nagi, zimny, pusty i straszny; za nim widział tylko śmierć, zgniliznę, zapomnienie, nicość.

Na nieszczęście, z innych względów Annibal był dla niego drogim darem: przewodnikiem, tłómaczem, pomocnikiem, przyjacielem. Prędko poznajomieni, połączeni ściśle, już się nie rozdzielali.

Włoch potrzebował się wylać, i znajdował duszę naiwną, otwartą dla siebie, w którą rzucał coraz gwałtowniéj wzbierające myśli i uczucia; Jan miał towarzysza i przyjaciela, a wyrzec się go młodemu, jednemu wśród obcych tak trudno! tak trudno!! Często po dniu rozmowy, gdy dziwne nowości sceptycyzmu, tak rozczarowujące, tak ostre, tak zimne wbiły się weń, Jan spędzał noc w gorączce i niepojętych dla siebie zgryzotach sumienia. Czuł, że źle robi, a rozbierając czynności, złego się w nich dopatrzyć nie mógł.

Prawdy mniemane, prawdy wyższe, których apostołem był Annibal, powoli zasiane, wschodziły w nim i rozgałęziały się w duszy. „Ciemnota! niewola! przesądy! powtarzał cicho w sobie, poglądając na duchow-

nych, na religijne obrzędy—kiedyż ludzkość otrząśnie się z tego?"

„Biedna ludzkość! biedni ludzie!" A ani razu nie rzekł nikt w sobie, nie spytał się siebie: kto dał to światło, za pomocą którego walczono teraz przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę poganizmu? kto uznał braćmi świat cały? kto wyrzekł jedno prawo do nieśmiertelności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedną za występek karę? Teraz odrodne dzieci obracają się przeciwko matce. Nie spytają się i nie odpowiedzą sobie:—Chrześciaństwo, wiara nowa. Zdawało się naówczas wszystkim, że naturalny rozum, długo spowity, nagle rozwiązał pieluchy i roztoczył samoistne swe błyszczące promienie; że jemu ludzkość winna była wszelkie światło. Czemuż jednak ani bozki Plato, ani żaden z filozofów starożytności, pełnych owego naturalnego rozumu, przed chwilą wielkiéj ofiary nie wyrzekli wielkiego słowa „bliźni" ani razu? czemu Miłość, Ofiara, te najwyższe tajemnice chrześciaństwa, nieznane były przedtém nikomu? czemu: *płać dobrém za złe*, *przebacz*, nikt nie wyrzekł wprzódy? czemu duch nie podniósł się nigdy do wysokości, na któréj dopiero od 1800 lat stanął? A świat tak stary! tak stary!

Myśli te nie mogły przyjść Janowi. Jego przyjaciel Annibal, wielkiemi wyrazy ludzkości, swobód, oświaty, i najlepszych chęci pełnego serca, z gorliwością młodzieńczą i zapałem przekonania szczerego, silnie działał na człowieka dotąd nietkniętego z téj strony, niemającego mocy na oparcie się pozornie potężnym rozumowaniom.

W doktrynie XVIII wieku, którą wiek XIX przedłuża, strona wielka i piękna, strona jéj szlachetna i prawdziwa, jest niezaprzeczona. Każdy system ludz-

ki, najfałszywszy nawet i najzgubniejszy, na jakiéjś myśli wielkiéj się opiera, inaczéj nikogoby sobie nie zjednał. Nowość niedostateczną jest jeszcze ponętą. Tak też i filozoficzno-socyalne doktryny przeszłego i teraźniejszego wieku, niosą przed sobą chorągiew jasną, promienistą; lecz z zasad najpiękniejszych błądzą we wnioskach i szerokich zastosowaniach, w utopiach prześlicznych zapewne, w marzeniach dusz prawych i szlachetnych, niemniéj jednak w utopiach i marzeniach, w niepraktycznych teoryach. Na dnie najfałszywszéj nauki jest jakaś prawda, co jéj życie nadaje, co ją złoci i podnosi. Fałsz rzadko jest w pierwszych zasadach; najczęściéj w rozwinięciu i zastosowaniach szukać go potrzeba. Na lep zasad lgną umysły płytkie z sercami poczciwemi, a gdy się opatrzą gdzie zaszły, powracać już nie czas.

I filozofia dawniejsza, i nowa, szły w imię ludzkości, walczyły o braterstwo, oświatę, o wywrócenie zgubnych przesądów; lecz zaszły od tych pobudek szlachetnych do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, których praktycznego zastosowania przewidzieć nie mogły, zaszły do pojęcia człowieka za warunkami jego bytu, za szrankami jego natury. Chciały i chcą przerobić ludzkość na idealną, nie wiedząc, że śmierć jéj może gotują. Po gwałtownem lekarstwie ciężko odchorować musi świat cały.

Lecz wróćmy do Jana; przebaczcie mimowolny ustęp.

Jan mieszkał już z Annibalem, i nie rozłączał się z nim. Włoch postrzegł ze zdumieniem, że ten obcy, którego tak niższym od siebie sądził, jako artysta daleko lepiéj i wzniośléj widział rzeczy od niego. Uczył się więc z kolei od Jana, nie bez skrytego upokorzenia, nagradzając sobie swoją niższość artysty

wyższością oświeconego człowieka i filozofa, jak naówczas zwano. Ale Jan skutkiem ciągłego towarzystwa Annibala, w dziełach sztuki powoli tracił sposobność czytania ducha i myśli. Annibal widział w nich tylko koloryt, kształty, zręczny układ, effekt ogółu, światło, nagości, draperye; twórczéj duszy, niewidoméj myśli, co ożywia to wszystko, spaja, porusza, tchnie życie, nie domyślał się. Materyalizm artystyczny Annibala nie mało wpłynął na Jana; począł i on coraz wyżéj cenić piękne karnacye, cudne kształty ciała, mięsistość torsów, utoczenie rąk, *morbidezzę*, więcéj nawet niż łzy w oczach Nioby, niż wyraz boleści żywéj w oczach Laokoona. Sztuka dla Annibala całkiem była cielesną. Jan jéj już tak materyalnie widzieć nie mógł, lecz zobojętniał dla duchowéj jéj części. W widzeniu Ezechiela (Rafaela) naprzykład, Annibal tylko kompozycyę czworga zwierząt Apokalipsy, układ i swobodę lotu przez przestrzenie wynosił; Jan zadumywał się jeszcze nad znaczeniem obrazka, nie śmiejąc już przyznać, że myśl jego leciała za Zbawicielem w nieskończone przestrzenie!

Lecz któż opisze kiedy historyę duszy i myśli człowieka, tak, aby wszystkie odcienie zmian w nich zachodzących wystąpiły jasno na jaw? kto potrafi rozedrzeć łono swoje, aby z niego jak pelikan wytoczył krew najtajniejszych ran, najskrytszych boleści?

Jan zmieniał się, obojętniał, i w stolicy chrześciaństwa stawał się nieznacznie poganinem; lecz zawsze pierwsze młodości wrażenia wiosenne, niezgluzowane niczém, żyły w nim jeszcze tajemnie, przechowane na dnie jak zeschłe pierwszéj miłości pamiątki. To, co mu się gwałtownie narzucało pod szatą błyszczącą postępu, pukając do serca w imię bolejącéj ludzkości, po-

krywało tylko warstwą popiołów głąb duszy, ale nigdy nie wyrugowało ze wszystkiém tego, co na dnie jéj rosło.

Rozerwany, w niepewności, jednego dnia po staremu się modląc, drugiego oburzając znowu przeciwko przesądom z Annibalem, Jan był w tym stanie pośrednim, chwiejnym, który dla wielu słabych ludzi całego życia jest męczarnią. Dwie prawdy błyskały z kolei w jego oczach, a wybrać nie umiał między niemi, a nie wiedział, która jest jedyną prawdą, prawdą matką.

Nauka tymczasem szła powolnie, a na niéj także wypiętnowała się historya wewnętrznéj walki. Jan uczył się więcéj materyalnych sztuki warunków, niżeli jéj ducha. Annibal wmówił w niego, że się do Rzymu przyjeżdża jedynie, by wkraść się w tajemnice kompozycyi linij i świateł mistrzów wielkich, aby studyować naturę, nie żeby szukać sposobu wydania myśli, uczucia i napełnienia tworów swych duszą.

W Sądzie Ostatecznym Michała-Anioła, kolosalnéj karcie najpotężniejszego z malarzy, widzieli tylko dziwną potęgę rysunku, osobliwych złamań torsy, muskulatury, skrócenia śmiałe; w sławnéj Dyspucie, piękne starców oblicza i układ wyborny; w Kommunii Świętego Hieronima wdzięk i zręczność kompozycyi i t. p. Annibal zniżał Jana do swych poziomych myśli; nie był jednak Jan wolny od jakiegoś niepokoju duszy, zawsze zwiastującego człowiekowi, gdy się cofa lub zniża.

Malowali razem u Landi'ego. Jan nabywał mechanicznéj wprawy szybko i zastanawiająco; z ucznia przechodził na mistrza. Kilka jego robot wychwalanych przez nauczyciela, wynoszonych przez Annibala,

ściągnęło na ń nareszcie uwagę i innych' współbraci artystów, którzy zapoznali się z nim, przyjęli go ściskaniem dłoni do swojego grona i uznali za brata.

Towarzystwo rożnorodne, liczniejsze, oderwało go od wpływu ustawicznego Wenecyanina. W tym czasie Jan odmalował kilka swoich własnych kompozycyj na wielką skalę; między innemi Wenerę i Adonisa, do których mu dwa najpiękniejsże wzory Rzymu służyły. Annibal odciągnął go od zamiaru malowania męczeństwa Świętego Pawła, które przedsiębrał, do którego nawet rozpoczął studya; przekonał go, że sceny podobne nie są przedmiotem dla sztuki! Biedny Jan w początku walczył, nareszcie usłuchał. Jak gdyby sztuka prawdziwa miała się ograniczać jednym tylko wdziękiem, jednym tylko dla oka samego powabem!

Dla Włocha ciało, nagość, urocze linie i koloryt świetny, stanowiły całe malarstwo; ekspressya wedle niego psuła linie, a nie tworzyła; unikał też jéj jak starzy poganie, których cudowne kształtami posągi, z jednym pospolitym uśmiechem lub obojętném skrzywieniem wszystkie się nam okazują. Już konający Gladyator jest jakby przeczuciem sztuki chrześciańskiéj, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha.

Dotąd pomimo towarzystwa, w którém zostawał, Jan był czystych obyczajów i czystych myśli; a chociaż nieraz burzyła się w nim krew młodzieńcza, zapał artystyczny, duchowy ją ochładzał. Wspomnienie też Jagusi wstrzymywało go i strzegło jak anioł opiekuńczy. Często takie wspomnienie, w głowach łoża przez anioła stróża trzymane, jest tarczą przeciwko brudnym namiętnościom. Lecz we Włoszech, jak artyście, otoczonemu pokusami, kiedy mu najpiękniejsze

kobiety Rzymu za wzór Wenery godzinami służą, wytrwać niepokalanym, wynijść czystym? Jak w tęsknych wieczorach, gdy tysiąc myśli wiedzie za rękę tysiące żądz, młodemu, z całą ciekawością młodości ku rozkoszy ciągnionemu nie dać się uwieść szepczącéj do ucha Włoszce: „Ja cię kocham — ja kocham ciebie!?"

Rzadki pewnie, ktoby w młodości kochał jedną nie wszystkie kobiety, coby kochał kobiety, nie zaś miłość samą. A miłość cielesna i duszna tak są z sobą związane, tak często poczyna druga, a kończy podstawując się pierwsza! Dwie te miłości, dwie siostry rodzone: jedna powietrzna, idealna, smętna ze łzawém wejrzeniem i westchnieniem, z piersią wzniesioną; druga gorąca, wesoła, uśmiechająca się, drażniąca, niedbała o jutro i na jutro niepamiętna; a zawsze podobne do siebie (choć odmienne) jak dwie siostry rodzone. Annibal, który cały żył kobietą i rozkoszą, bo wiara żadna nie dawała mu przyszłości, a myśl występku nie była hamulcem, szydził z prostoty dziewiczéj Jana. On już kilka łatwych kochanek przekołysał na kolanach i porzucił bez żalu; Jan jeszcze żył myślą dawnéj czystéj miłości dzieciństwa.

Czarnowłose i czarnookie Włoszki spoglądały na Jana ciekawie; obojętność jego, układ dziwny, zdumiewały je i drażniły. Nieraz czarne oko Angioliny, ostatniéj z kochanek Annibala, którą porzucał co miesiąc i co miesiąc się z nią godził, spoczęło w źrenicy Jana z pytaniem: „Nie jestżem dość piękna?" Nieraz w wesołéj igraszce, gorące usta spoczęły długo, zajadle, lejąc truciznę żądzy w krew Jana i mówić się zdając: „Ktoż ci da więcéj rozkoszy nademnie?" Nieraz objęła go, drażniąc Annibala, i przytuliła się do niego

Angiolina, aż biedny młody artysta drżał, bladł i na chwilę czuł się obłąkanym; wytrwał jednak długo, długo, wierny wspomnieniom swoim.

Lecz wewnątrz niego tlał już ogień, a oczy Angioliny rozdmuchywały go codziennie. Mieszkając z Annibalem, widywał ją codzień, pędzili wieczory, noce letnie na rozmowie i śpiewach, był nieraz świadkiem całego dramatu cielesnéj żądzy, namiętności, nasycenia, obrzydzenia, obojętności, świadkiem tych odpływów i przypływów passyi zwierzęcéj, co jak morze zalewa brzegi i cofa się od nich ze wstrętem.

Miłość duchowa nie zna podobnych, równie gwałtownych zmian i ostateczności; ona jest zawsze jedna, dopóki czysta. Cielesna musi mieć charakter cielesny, znikomy: przychodzi potężna, rozkwita jasno i więdnieje, i znowu wzrasta i znowu upada.

Angiolina, dla któréj Jan był niepojętą zagadką, może dla tego tak uparcie po każdéj kłótni powracała do Annibala, że chciała nareszcie rozwiązać pytanie: „Co to za kamień-człowiek? Dla czego tak młody a tak zimny? Jestżem tak szpetna, tak nieponętna, niepożądana? czy on tak dziwnie zastygły?”

Zwierciadło i ludzie nieustannie powtarzali jéj, że jest bardzo piękna. Angiolina bowiem powszechnie za najcudniejszą Wenerę całego Rzymu uważana była; nigdy Rubens nie wymarzył takiéj wspaniałości ciała w takich kształtach uroczych; takiéj karnacyi złocistéj nigdy nie odmalował Tycyan; dwoje równie jasnych, czarnych oczu nie świeciło może od wieków nad Tybrem. Oczy Angioliny, mijając inne wdzięki, były może najpotężniejszą jéj bronią. Cała ciałem będąc, namiętna, ale bezmyślna, wyuczyła się jednak Włoszka nadawać swym oczom wyraz tak dziwny a tak coraz

różny, że mówiły więcéj niż tysiące słów, niż najrozkoszniejsza muzyka.

Raz zmrużone, łzą zwilżone, przygasłe, zdały się szeptać: „Kocham cię, kocham, umieram z miłości. Luby chodź do mnie! chodź do mnie!"

To znowu jasne, ogniste, otwarto, wołały: „Pragnę, palę się, goreję!"

Czasem z jakiémś błędném marzeniem błąkały się niby nieprzytomne, a pełne wdzięku nieokreślonego, jakby patrzały w inny świat i nie widziały ziemi.

Czasem zwracały się prosto w niebo, szukając w niém zda się pociechy, ratunku w nieszczęściu, litości.

Czasem pływały w łzie srebrnéj, miękkie a gorejące, wyrazem boleści chwytając za serce.

Czasem się śmiały bezwstydne, zalotne, płomienne, szyderskie, rzucały wejrzenia ostre jak sztylety, kłóły jak owe długie szpilki, któremi Angiolina upinała włosy.

Angiolina mogła mieć lat dwadzieścia, ale wyglądała na podziw świeżo: dziecię ulic mniéj się bało czasu, słońca i wzruszeń; na wszystko było już zahartowane od młodu. Biała jéj szyja, osobliwszéj form doskonałości, nieco ozłocona słońcem południa, nie miała tych mdło zielonawych tonów, barw chleba czerstwego, które wielu Włoszkom są właściwe, zdawała się być zdjętą z obrazu Tycyana, pokrytego złotą długich lat *patiną*. Piersi trochę wzniosłe i spore jak u Bachantek Rubensa, gładkie były jak marmur i jak marmur chłodne; chlubić się zdawały swemi kształty i mało co ukrywały się pod roztwartą z niechcenia suknią. Ręce i nogi tylko dalekie były od idealnéj doskonałości, ale uchodziły wszakże i nie raziły bezkształtem. Angiolina

stroiła się jak Włoszka w kraśne gdyby Cyganka płachty, ulubione dzieciom Południa i Wschodu, w złociste świecidełka, bursztyny, korale, łańcuchy; nawet z tém ładnie jéj było.

Różnemi sposoby Angiolina próbowała Jana, to weselem, to rozpustą, to smutkiem, to rozpaczą udaną, to drażniąc go wzrokiem, to jątrząc pocałunkiem; nic jednak nie pomagało.

Raz wieczorem — a był to wieczór tęskny, cichy, smutny — usiadła mu na kolanach (Annibala nie było). Poczęła szeptać jak dziecię pieszczone, czystą udawać i skromną. Poczęła potém milcząca policzek gorący przykładać do jego twarzy, obejmować go rękami za szyję i... zapłakała. Nie wiem co jéj te łzy wycisnęło. W szeptach cichych głos Angioliny był tak uroczy i dźwięczny! Jan usłyszał w nim jakby dalekie echo rozmowy z Jagusią, coś podobnego do głosu dziewczęcia swojego, i ucałował łzą oblane policzki. Poczuwszy usta jego na swéj twarzy, Włoszka chwyciła go nawzajem, zjadając pocałunkami, przyciskajac piersią wzdętą i marmurowemi ramiony. Ale ten wyskok czułości szalonéj, zamiast oszalić Jana, rozbił urok, co go otaczał. Wyrwał się i uciekł od niéj. Angiolina w gniewie szukała noża, aby go zabić, lecz nie znalazła pod ręką. Nadszedł Annibal. Nazajutrz rozpoczęła znowu oblężenie.

Czemuż człowiek tak słaby? czemu dla niego tak łatwy niepowrotny upadek, którego płacze bezsilnemi łzami? Wkrótce Annibal śmiał się z upokorzonego Jana i zwycięzkiéj Angioliny, która chodziła w tryumfie, jakby jéj kto koronę na głowę włożył. Wenecyanin poznał od razu, co ją tak uszczęśliwiło, rozpromieniło i zrobiło dumną.

Pierwszy krok tylko łzami się opłaca, a rzadko pierwszy bywa ostatnim.

Jednego wieczoru siedzieli na schodkach, używając chłodu, Annibal, Angiolina i Jan. Angiolina brząkała na gitarze, śpiewając starą piosnkę, w któréj *amor felice* grał wielką rolą, a każda strofa nim się kończyła niezmiennie. Twórca *canzony* zapewne piosnką chciał nagrodzić czego nie dostaje życiu.

Księżyc nad grodem Cezarów pływał srebrzysty na głębinach nieba, krociami gwiazd usypanych. Maleńkie dzwonki klasztorne brzęczały jak komary w oddaleniu; świerszcze śpiewały pieśń swoją po skwarnym dniu letnim, ciesząc się nocą chłodniejszą. Angiolina wspartą miała głowę na ramieniu Annibala, jedną ręką obwinęła go za szyję, drugą ukradkiem podała Janowi, a ten ją trzymał bez myśli i czucia, gdzieś daleko goniąc marzeniami, jak prawdziwe dziecię północy, tęskny chmurnego nieba wychowanek, co zawsze ucieka od świata w mgliste krainy marzeń.

Annibal nócił przez zęby wyuczoną od któréjś ze swych kochanek canzonę starą:

Peroch' amore no se po vedere.

Na schodkach dały się słyszeć chód i śmiechy; ale Włoszka nie cofnęła jednéj ani drugiéj ręki, choć widziała nadchodzących. Byli to dwaj artyści, Niemcy, znajomi Annibala i Jana: Martin Grone i Jeremiasz Süssemann, dwa w swoim rodzaju typy.

Pierwszy z nich, Martin Grone, po swojemu pojmował tylko sztukę jako materyał do historyi postępów umysłu ludzkiego i objawów jednéj idei, coraz inaczéj i pełniéj się wyrażającéj. Szukał zabytków

starożytnych, śledził ich symbole, allegorye, myśli ukryte, a często nawet czytał hieroglify, gdzie ich nie napisano. Czytał je, powiedziawszy sobie wprzód, że tam być powinny,— tak niemiecka postępuje uczoność. Archeolog więcéj jeszcze niż artysta, uganiał się po Rzymie za wszelkiego rodzaju starożytnościami, chcąc niemi, jak mówił, lepiéj niż historyą pisaną, wytłómaczyć starożytne wieki, ich obyczaje, ich ducha. Miewał on nieraz szczęśliwe pomysły, a jakkolwiek wyłącznie i jednostajnie plastycznym utworom nadawał większą niż należało i jedyną ważność, wiele przecię dla sztuki razem i historyi uczynił. Z jego notat późniéj wydane zostały dzieła sławne w Niemczech, które choć imienia jego nie noszą, jemu początek swój winny. Grone był poważny, suchy, sztywny, i cały zajęty myślą, która mu jeść i spać nie dawała: wytłómaczyć Rzym i dawną cywilizacyę ich pomnikami, oto co zamierzał. Dla niego poczynające się naówczas Muzeum Katakumb i Muzeum Neapolitańskie z Herkulanum i Pompei dobytych zabytków, były najrozkoszniejszych dumań przedmiotem. Rozczulał się nad rondelkiem, płakał nad lampą lupanaru, i przysięgał, że trójnog całą w sobie zawierał historyę pogaństwa. Owe trzy nogi szczególniéj były dla niego pełne znaczenia!

Jeremiasz Süssemann, malarz czuły i słodki jak nazwisko, które nosił, robił obrazki z Idylli Gesnerowskich z wielkim wdziękiem. Dla niego ten wdzięk, przyjemność kolorytu, wyraz słodyczy, zawierał całą sztukę. Po za tém była już egzageracya i obłąkanie. Poddać się oczom, wydrzeć westchnienie z piersi, nic więcéj nie zamierzał; nie chciał ani głęboko wzruszyć, ani kazać myśleć. Z długiemi włosy, jasnemi niebie-

skiemi oczyma, bez wielkiego wyrazu, Jeremiasz był poczciwy chłopak, a choć protestant, nie sceptyk, nie racyonalista, nie szyderca. Owszem był pobożny i czuły; najlepsze w nim serce kryło się pod pozorem flegmy, oziębłości; a często oko szkliste i zimne pozornie, zwilżało się łzą, któréj źródło on znał tylko. Jan kochał go i sympatyzował z nim; Annibal śmiał się z niego, ale go oceniał. Zbliżały ich niektóre prawdy, na które filozof i protestant godzili się przeciwko katolicyzmowi.

Angiolina podniosła trochę głowy z ramienia Wenenecyanina, spojrzała i cicho szepnęła:

— Jeremi i Martin!

— A! witajcież! zawołał Annibal, powstając ze wschodów nagle i wyciągając dłoń. Jak się macie? gdzie idziecie? Przerwaliście Janowi lnianą przędzę jego, którą obwija, nie wiem, przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Dumał jak muł (przepraszam), gdyście przyszli.

Jan uśmiechnął się trochę złośliwie, i podał dłoń Jeremiaszowi.

— Jak się macie? jak się macie?...

— Po co pytać? któż chorym może być w Rzymie? odparł poważnie Martin. Myśl daje tu siły, zajęcie, zdrowie, nie ma czasu słabnąć i chorować. Lecz do rzeczy. Słuchajcie! chcecie jutro być z nami?

— Gdzie jutro? spytał Annibal: czy na jakiéj willi, czy przejażdżce w okolice, czy może w jakiém starém zwalisku, pod którego ruiną Martin odgrzebie myśl zaspaną od lat tysiąca i kartkę dziejom wydartą?

— W wielkiém zjawisku — kolebce, w Katakumbach, odrzekł Martin. Dość już pogańskiego świata; chcę zbadać tę nić, co łączy dwie sztuki, dwa światy,

dwie oddzielne historye. Pójdźcie z nami do Katakumb! Nie możecie nie być ciekawi! Był tam kto z was? Anglik sir Artur Cromby, jego siostra, ja, Jeremiasz, idziemy jutro zwiedzić podziemia.

— Kolebkę przesądów i niewoli umysłowéj, podchwycił Annibal.

— Nie, kolebkę ducha! poważnie odparł Niemiec.

— Groby męczenników! dorzucił Jeremiasz.

— Straszne pieczary! żegnając się szeptała Angiolina. Mówią, że w wielu z nich kryją się bandyci.

Jan jeden milczał.

— Idę, rzekł po chwili namysłu. Dawno tam być pragnąłem, a dotąd nie miałem sposobności; wdzięczen wam jestem, żeście o mnie nie zapomnieli.

— A więc jutro rano zbieramy się u Paola Pansego, w kawiarni na rogu. Paolo nam sprowadza dobrego i umiejętnego Cicerone, Anglicy wiozą swojemi powozami na miejsce. Będzie nas sześciu i weseléj.

— A ty nie idź, mój Nibalu! zawołała pieszcząc się z nim Angiolina: po co tobie? To cmentarz, pieczara, straszne, ciemne! Zostaniesz ze mną. Można się zabłąkać, można zginąć... nie idź!

Mówiąc to, tuliła się do Annibala, a patrzała w oczy Janowi.

Wenecyanin rozśmiał się z próżnych strachów Carity i obiecał na jutro.

Nazajutrz u Paola Pansego zastali już Anglików i dwóch artystów niemieckich. Anglik sir Artur był oryginał, jak prawie wszyscy jego współziomkowie, których mamy szczęście widzieć na stałym lądzie; lecz oryginalność jego zależała na tém, że chciał uchodzić za człowieka, co się potrafi zastosować do wszystkich krajów i towarzystw, co umie wcielić się wszędzie.

Jednêm słowem: Anglik był oryginał têm, że udawał wcale nieoryginalnego, a w głębi takim był przecię.

Z artystami artysta, uczony z uczonymi, z ludem człek prosty i przesądny, z filozofami sceptyk, Anglik z Anglikami, Włoch z Włochami — sir Artur stawił się na oznaczoną godzinę w kawiarni, wierny swemu słowu. Ubrany był za Transteweranina, ale z fizyognomią tak widocznie wywiezioną z West-Endu, że wzbudzał tylko śmiech patrzących na niego. Miał minę karnawałową. Blady, bardzo pociągłéj twarzy, dość niezręcznych ruchów, białawych włosów, długich rąk i laskowatych nóg, typu zupełnie normandzkiego, sir Cromby przebrany za Włocha, wyglądał potwornie, pociesznie, cudacznie. Uprzejmy i grzeczny aż do zbytku dla tego, że powszechnie obwiniają Anglików o dumę i rubaszność, ściskał za ręce artystów, całował się z nimi i fraternizował aż do przesady. Udawał popularnego i wesołego towarzysza, choć go to męczyło i wiele kosztowało.

Ale potrzeba go było widzieć w towarzystwie różnorodnêm, gdy zmuszony kilku osobom podobać się, do wszystkich zastosowywać, z kolei najróżnorodniejsze miny i postaci przybierał, najrozmaitszą odzywał się mową, zawsze dosyć pociesznie. Sir Cromby pewien był, że ma talent niepospolity jednoczenia się z têm, co go otacza; ludzie, co z téj myśli jego korzystać umieli i za słabość podchwycić, byli mu najulubieńsi. Od lat pięciu, bezwstydny jakiś Francuz, bijąc w to, żył z jego kieszeni, całą za nim niemal obiegłszy Europę.

Dla dania sobie placu do popisu, podróżował całe prawie życie, w każdym kraju usiłując się stać jakby krajowcem: wyuczał się języka, którego wymawianie

z angielska przekręcał; uczył się obyczajów i do nich święcie się stosował, ale po większéj części brał je nie z życia żywego, lecz z książek — to też pociesznie wyglądały niekiedy!

Słowem, był to jeden z najdziwniejszych może znanych oryginałów, a przy swych białych włosach, przeciągłéj twarzy, w krasnym stroju Zatybrzan, ze sztyletem u pasa, w zawiniętym na ramiona płaszczu, karykatura wyborna! Na widok jego Jan i Annibal ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Anglik powitawszy ich po bratersku, poufale, zamaszyście, dyalektem włoskim wymawianym po angielsku, którego zrozumieć nie potrafili, począł kląć na opóźnienie jakieś, i wysypał cały słownik przekleństw i połajań miejscowych.

Lecz uwagę nowoprzybyłych odwróciła na siebie wkrótce siostra sir Crombego, miss Rosa— postać jeśli nie dziwniejsza od pierwszéj, to przynajmniéj w oryginalności jéj nieustępująca. Była to śliczna córa północy: biała, niebiesko-oka, wysmukła, lekka, powietrzna, na któréj widok serce Janowi wspomnieniem gorącém kraju uderzyło wzruszone. Twarze podobne miss Rosie tylko się na obrazach widują; tak była ideałną, tak uroczą, tak piękną. Opisać wdzięku tego zjawiska, wdzięk nie w każdym z pojedynczych rysów, lecz w ogóle tylko i zbiorze ich będący, nie można piórem, nie można! Miss Rosa biała była jak alabaster, złotowłosa, z wielkiemi głębokiego lazuru oczyma, zbudowana jak Sylfy; skrzydeł tylko zda się brakło jéj, aby ulecieć z ziemi, a gdy się poruszyła, myślałeś, że się zerwie i zniknie jak ptaszek. Ręka biała miała kształt arystokratyczny, a paluszki jéj cienko i zagięto kończące się, pozór artystycznego utworu nieco manierowanego snycerskiéj roboty, nieżywych rąk ludz-

kich. Nóżka, kibić, szyja, ramiona, odjęte rzekłbyś z obrazu starego jakiemuś aniołowi, Anioła z Fiesole.

Lecz ubiór, wyraz oblicza, postawa, sprzeczały się dziwacznie z rysami anioła i spojrzeniem anielskiém. Miss Rosa Cromby była ubrana na wpół po męzku: z chusteczką na szyi, w amazonce, w sznurowanych bócikach, w popielatym kapelusiku z piórem, z teką pod pachą; wyraz jéj oczu był pełen słodyczy, usta uśmiechały się szydersko i złośliwie. Zdziwili się niepomału artyści, gdy ich powitała, po angielsku, dając im rękę do ściśnienia, z żartobliwym śmiechem, przez który poglądały białe ząbki, poczynając znajomość.

— Miss Cromby! rzekł prezentując brat.

— Siadajmy i jedźmy do Katakumb, dodała Rosa, zbliżając się do Jana, którego twarz widocznie ją szczególnie uderzyła od pierwszéj chwili. Wy panie ze mną? Wszakże jesteście malarzem, artystą? spytała szybko.

— Tak jest.

— Zkąd? z północy pewnie? z Niemiec może!

— Z Polski.

— A! zawołała Rosa: bądźmy przyjaciołmi. Polska to ojczyzna Sobieskiego??

Anglicy, jak wiele innych narodów w owéj epoce, znali z bohaterów naszych tylko jednego, co heroiczny błąd popełnił, ratując nieprzyjaciela. Teraz im przybył Kościuszko.

Nim stanęli u wnijścia najdawniejszego podziemia na cmentarzu Świętego Kaliksta, przy kościele Świętego Sebastyana, Jan miał czas przekonać się, że kobieta, z którą w towarzystwie Martina Grone'go jechał, dziwniejszą jeszcze była, niż mu się z razu wydała. Jéj męzki strój, postawa i ruchy niczém były w porównaniu z męzkim aż do zbytku umysłem, który an-

gielska filozofia materyalizmu przekręciła w najsceptyczniejszy sposób. Angielka, w duszy artystka, cała żyła sztuką, od dawna nie oddalała się już z klassycznéj ziemi włoskiéj, czas swój dzieląc i godziny zupełnie swobodne między malowanie a czytanie dzieł, co ją postawiły na najwyższym szczeblu niewiary. Wierzyła tylko w teraźniejszość, w życie; przypuszczała coś nakształt duszy, ale oburzała się zarówno na tak zwane przesądy religijne i przesąd nieśmiertelności po zgonie. Z wielu innymi dawniejszych i nowszych czasów marzycielami, wolała przypuszczać metampsychozę.

— Żyć, użyć, zapłakać, pokochać, umrzeć! mówiła do Jana z żywością kobiety, któréj pilno pokazać swe myśli:—a potém zostać zapomnianym i drugim miejsca ustąpić. A może, może, odrodzić się robaczkiem, muszką, lub jeszcze człowiekiem...

Jan słuchał jéj osłupiały.

— Czytałeś pan Spinozę? spytała go po chwili.

— Nie, odparł Jan. Ja jestem z kraju pobożności i wiary, z kraju katolicyzmu starego; ledwie tutaj spotkałem się z wątpliwością, sceptycyzmem i filozofią; tu dopiero oswoiłem się z niemi. A szczerze lękam się ich, krwawią mi serce.

— Tak, dodała miss Rosa: kiedy ślepemu zdejmują kataraktę, boli go także, on się także lęka; lecz późniéj oswaja się ze światłem i cieszy niém.

Jan westchnął.

— Pani! rzekł: wyzuć się z nieśmiertelności, zrzec przyszłości, zrzec nieba i nadziei niełatwo.

— Człowiek jest śmiertelny, ludzkość nieśmiertelna, człowiek żyje w ludzkości zawsze. Zresztą nie przemawiaż do pana stara idea metampsychozy?

Jan potrząsł głową; zamilkli znowu; lecz Rosa

w milczeniu strzelała ku niemu oczyma, mówiła do niego spojrzeniem. Pomimo wstrętu i podziwu, jaki w nim wzbudzała, Jan nie mógł się jéj napatrzyć, oderwać od niéj. Jakaś dziwna sympatya łagodna dwojga dzieci północy, spotykających się pod gorących Włoch niebem, łączyła ich dwoje.

Wysiedli z powozu, a gdy się przed nimi otwarły drzwi starych podziemiów podkopujących Rzym pogański, Grone jako antykwaryusz pośpieszył naprzód ze swą erudycyą. Umieściwszy się w pośrodku gruppy, któréj ostatnie ogniwo stanowiła miss Rosa i Jan, nie dał nikomu westchnąć, spojrzeć ani wyrzec słowa, póki nie wyrzucił z siebie, co nazbierał przez dni kilka cytat i wiadomości.

— Katakumby — rzekł poważnie — albo raczéj *katatumby*, jak je zwano początkowo, bo pierwszy Grzegorz Święty użył wyrazu *katakomby*, mówiąc właśnie o tych, które zwiedzamy, nie są wcale dziełem chrześcian.

— Jak to? przerwał Anglik: dziełem pierwszych chrześcian niezawodnie!

Przewodnik Cicerone, w którego attrybucye wdzierał się Grone, pokiwał z nieukontentowaniem głową i szepnął: „Heretyk!" splunąwszy ze wzgardą.

— Tak, nie są początkowo dziełem chrześcian całe, powtórzył Grone. Były to karyery, z których dobywano puzzolanę i tuf wulkaniczny do budowli. Zwano je *arenariae*. Cycero pisze o nich w mowach, mówiąc o Asiniusie.

— Tyś sam taki! szepnął zniecierpliwiony Annibal. Ja nie pojmuję — dodał głośno — co też tu ciekawego! Labirynt kilkupiętrowy ciasnych przejść, pół-

ki i szufladki na grobowce, popsute i złego stylu sarkofagi, malowania pozacierane i brzydkie.

— A myśl? a wspomnienie łez, męczarni, ofiar pierwszych bohaterów krzyża? zapalczywie podchwycił Anglik, broniąc miejscowości wedle swojego zwyczaju i wcielając się w otaczające.

— *Arenariae...* ciągnął daléj poważnie Grone, idąc ciasnym korytarzem, którego sklepienie to się zniżało, to podwyższało, a boki z kolei rozszerzały i zwężały nierówno: — wspomina także Swetoniusz w *Neronie* o nich, powiadając, że Faon radził cesarzowi schronić się *in specum Egestae arenariae.* Witruwiusz tymże wyrazem je oznacza. Pierwsi chrześcianie...

— Pierwsze ofiary! zawołała miss Rosa: ofiary, które za sobą tyle innych ofiar przesądu pociągnęły.

— Ofiary... machinalnie powtarzał archeolog, niezmieszany bynajmniéj ciągle przerywaną rozmową. Zwano także katakumby *latomiae*, *coemeteria*, *areae*, *criptae*. Tertullian i Hieronim temi wyrazy je oznaczają.

— A! co nam do twego Tertulliana i Hieronima! przerwał znowu Annibal: ot patrzaj lepiéj z nami, jeśliś ciekaw, a nie bałamuć nas.

— Katakumby, posłuchajcie — ciągnął daléj flegmatycznie Niemiec — rozsuwały się w różnych kierunkach dokoła Rzymu. Te, które zwiedzamy, uważają się za najstarsze. Ciągną się one pod drogą Appijską i cmentarzem świętego Kaliksta. Katakumby Swiętych Saturnina i Thrasona u *Porta Salaria*, Świętych Marcellina i Piotra za *Porta Maggiore*, są także bardzo stare.

— Stare! spodziewam się, że stare! rzekł ruszając ramionami Anglik. Nieznośny gaduło Niemcze! nim

powiesz o ich wicku i nazwaniu, złóż wprzódy łzę u wnijścia. To schronienie Świętych, to pierwsze kościoły wiary, co świat odrodziła. Tu uciekający od krwawych wyroków Numeryana, Maksymina, co im nawet wstępu do katakumb broniły, mogli użyć w ciemnościach chwili spokoju i chwili modlitwy.

— Bracie, szalejesz! przerwała Rosa. To byli biedni zaślepieńcy.

— To byli Święci! rzekł zginając się przewodnik.

— To były wielkie dusze bohaterów chrześciaństwa! wyjęknął Jan z uczuciem.

— Twórcy owéj sieci, co zagarnęła świat cały! uśmiechając się z politowaniem dokończył Annibal.

Wśród téj dziwacznie sprzeczającéj się rozmowy, szli wszyscy za przewodnikiem w światła uzbrojeni korytarzami, które się ciągną pod Appijską drogą. Co chwila najmniéj ciekawych coś uderzało, a Niemiec, który się był przygotował na lekcyę i czytał dobrze Bosia, Boldettego i Bottarego, tłómaczył natychmiast, na cokolwiek się natknęli. W owym czasie więcéj jeszcze pamiątek, późniéj do muzeum watykańskiego przeniesionych, znajdowało się w kryptach. Korytarze nieforemne, ciasne przejścia, wschodki niezgrabne, maleńkie bazyliki, studnie i cysterny do chrztów, ozdoby sklepień, symbola, napisy — w jednych szyderstwa, w drugich ciekawości, w innych uniesienia oznaki wywoływały. Jan silnie był poruszony widokiem téj kolebki chrześciaństwa, gdzie ubodzy i biedni naukę nową dla świata, oblaną krwią męczenników, pielęgnowali, gdzie spoczęły kości ofiar, co chętnie szły na stosy, na pożarcie, na męczarnie, na śmierć. „Jak wielka, jak silna wówczas była wiara!” myślał w duszy.

Niemiec tymczasem chwytał się pierwszéj zręczności, aby paplać i objaśniać.

— Ta izba — mówił podchwytując, aby go kto nie uprzedził — była kaplicą... kościołem. Te wyżłobienia w jéj ścianach są to *locula*, z obu stron na grobowce przygotowane; w pośrodku to głównego męczennika: *memoria*, *confessio*, *martyrum*, *testimonium*, *titulus*. Wiara, jak widzicie, opiera się na ofierze, świadczyła się krwią wylaną, na grobach pierwsze niekrwawe składała ofiary. Jak Chrystus za wszystkich, tak wszyscy za wszystkich poświęcić się powinni. *Ofiara*, *miłość*, głównemi są zasadami nauki chrześciańskiéj, całym jéj symbolem.

— Dla czegoż to tak przekręcono? tak na złe umiano obrócić? zapytał Annibal.

— Tak! dla czego? powtórzyła za nim Angielka: dla czego co kruszyło więzy, więzami się stało? co świeciło, gasi światło?

— Czcze deklamacye! pogardliwie odpowiedział Grone. Słuchajcie lepiéj.

— Będzie nam bez końca tłómaczył, rzekł Anglik: a my czuć, my się wcielać, my sercem pojmować chcemy.

— Jam tylko po prostu ciekawa, szepnęła Rosa, i zastanowiła się u jednego z wyobrażeń Jonasza, których pełne są katakumby.

— Jonasz! zobaczywszy to, zawołał zaraz Niemiec. A wie pani co znaczy Jonasz? Symbol, mit, allegorya. Nowi nawróceni chrześcianie widzieli w Jonaszu, i nie bez przyczyny może, to, co poganie w micie Herkulesa, pochłonionego przez wieloryba i po trzech dniach wyrzuconego przezeń. Są i greckie wazy z tego rodzaju wyobrażeniami. Jonasz także krewni

się z Jazonem połkniętym przez smoka i wyswobodzonym z gardła jego. Mity są wieczne, a odkrycie ich znaczenia....

— Do was należy! rzekł łagodnie, uśmiechając się, z ukłonem Süssemann.

— Tak! rzekł naiwnie Niemiec: pewna jest, że to do mnie należy. Znajdziecie tu nietylko Herkulesa— dodał — ale i Orfeusza, którego pierwsi chrześcianie wzięli za emblemat missyi Chrystusa na ziemi. Ten Chrystus, *Pastor Bonus*, to także postać, którą sztuka chrześciańska wzięła od pogan i swoim zwyczajem zastosowała do siebie. *Kalamis* był twórcą tego typu w starożytności. Jest to *Merkury Kriophoros.*

— Bredzisz, kochany Grone! rzekł Anglik, idąc daléj.

Przewodnik pluł i oczy wywracał, słuchając tego.

Korzystając z chwili milczenia, które zdumiony nieco apostrofą zachował Niemiec, Anglik podchwycił, cały przejęty sytuacyą, z oczyma dziwnie rozpłomienionemi:

— Wystawcie sobie owe wielkie, tajemne uroczystości, owe zgromadzenia wiernych, i ofiary, i uczty, i braterski pocałunek tych, którzy wkrótce paść mieli pod katowskim mieczem. Co za obrazy! Jak wielkie i święte obrazy!

— Ten, to dobry katolik, mruknął przewodnik Antonio: ale ten drugi *Tedesco, diavolo, eretico.*

Wtém Niemiec przyszedłszy nieco do siebie, nie dał rozczulonemu dokończyć, bo go erudycya dusiła i zmuszony był zrzucić ją z siebie.

— Zgromadzenia, — zaczął krzyczeć szybko — zgromadzenia owe zwały się *agapes*, *ἀγάπαι* od *ἀγάπη*,

charitas, miłość; były to zgromadzenia braci w Chrystusie. Odbywały się z różnych powodów, z okoliczności poświęceń, pogrzebów, urodzin, a ztąd zwały się *connubiales*, *dedicatoriae*, *funerales*, *natalitiae*. Agapy nareszcie potępione jako zabobon pogański przez Świętego Ambrożego, wkrótce zarzucone zostały. Oto — dodał — jedno malowanie wyobrażające obchód tego rodzaju, ucztę z kilku tylko osób złożoną.

— Co za mizerna bazgranina! jakie linie! jakie twarze poczwarne! rzekł Annibal zbliżając się.

— Okryłbym złotem ten kawałek ściany, gdyby mi go dla *British Museum* sprzedano! zawołał z uniesieniem sir Artur.

— Proszę nie ruszać! rzekł żywo Antonio.

— Ten stół okrągły to *cibilla*... na nim — uparty kończył Grone — widzicie potrawy. Sługa trzyma w ręku szklankę do picia, *cyathus*. Oto chleby z wyciętemi na nich krzyżami (*quedra*); oto jaja, symbol ekspiacyi u starożytnych.

Tak szli ciągle daléj a daléj wśród tłómaczeń Niemca, uniesień Anglika, ironii Annibala, rozczulenia milczącego Süssemanna i cichéj rozmowy Jana z miss Rosą Cromby. Ona go rozpytywała, on odpowiadał, ale roztargniony, widokiem miejsca przejęty, pół słówkami. Ze wszystkich najmniéj uważała Miss Rosa na to, co ją otaczało: wspomnienia owych czasów tak żywe, tak przejmujące, ani jéj rozczulały, ani unosiły; dusiła się w ciasnych korytarzach, poglądała na niezgrabne malowania, śmiała się z Noego, który w arce maleńkiéj, jak w pudełeczku, do wpół zamknięty wyglądał i t. p.

Niemiec tymczasem porównywał Abrahama, Mojżesza, Jonasza i Daniela, do Perseusza, Bellerefona,

Herkulesa i Tezeusza, prawił o nieśmiertelności symbolu, o jego znaczeniu, o symbolach słońca, wołu, jelenia u źródła, pawia na kuli stojącego i innych wyobrażeniach, które się spotykają w Katakumbach. Tak przeszli znaczną część krypt, a Angielka nie zważając na zaostrzoną ciekawość towarzyszy, poczęła się napierać do powrotu.

— Powietrze to dusić mnie zaczyna— rzekła — pomimo otworów.

— *Foramen*, szepnął Niemiec, odwracając się.

— Niedośćże macie jeszcze tych jednostajnych przejść, schowanek, grobów i ołtarzy? A! wracajmy już, proszę!

Napróżno uniesiony sir Artur chciał od Świętego Sebastyana i Katakumb drogi Appijskiéj udać się zaraz do innych i daléj ciągnąć badania, które Niemiec ofiarował się wspierać swą erudycyą; spóźniało się, Antonio przewodnik znużył się i gniewał, że nie miał czego tłómaczyć, miss Rosa niecierpliwiła się: trzeba było powracać. Pośpieszali więc ku wnijściu za przewodnikiem: Jan smutny, miss Cromby zamyślona, sir Artur zawsze w ekstazach, Süssemann milczący ze łzą w oku, Annibal uczepiwszy się za rękę Antonia przewodnika, prawił mu koncepta filozoficzne tłómaczone z francuzkiego, bawiąc się oburzeniem Włocha i łajaniem jego.

Grone szeptał wciąż pod nosem wyrazy jakieś niezrozumiałe.

Część dnia spędzona w Katakumbach, a raczéj przypadkowe poznanie Anglika i jego siostry, większy wpływ wywarło na Jana, jego życie, wyobrażenia, może na przyszłość, niżeliby przewidywać było można.

Tak często drobny na pozór wypadek farbuje długą lat przestrzeń.

Rozstając się po przebyciu Appijskiéj drogi, Anglik ścisnął, za rękę Jana, a Rosa chwyciwszy dłoń jego, długo ją wstrzymując i wpatrując się w oczy zarumienionemu młodzieńcowi, szybko wysypała tysiąc grzeczności i złoconych słówek. Zapraszała go, aby ich odwiedził i usilnie żądała bliższego poznania, ściślejszych stosunków. Annibal widząc to, gwiżdżąc poszedł przodem, gdy Jan wstrzymany i naglony, musiał wreszcie dać słowo Rosie, że ją odwiedzi, że częściéj widywać się będą. Angielka dała mu bilet z adresem, a na rozstaniu rzekła:

— Pamiętajże pan! pamiętaj! Tyle naszego, co w tém życiu. Gdy w niém spotkamy twarz i serce naszemu pokrewne, miłe, czemuż od nich odbiegać? czemu się do nich nie zbliżyć? czemu nie spróbować szczęścia?

Brat tak się bawił swoim włoskim ubiorem i sztyletem, że końca rozmowy nie słyszał, a może nie chciał jéj słyszeć. Jan milczący, zamyślony, powrócił z Annibalem do cichéj izdebki, gdzie zastali Angiolinę na łóżku leżącą i uśpioną z gitarą w ręku. Włoch ją przebudził brząknieniem po strunach. Zerwała się żywo, i poskakując ku obu razem, zawołała:

— A! wróciliście, Bogu dzięki! i cali! nic się wam nie stało? Chwała Matce Bożéj, ale już drugi raz szczęścia nie próbujcie. Mówią, że tam łatwo zabłąkać się i zginąć można.

W kilka dni potém, przypomniawszy sobie obietnicę, Jan musiał pójść do pałacu, który Anglik zajmował na Corso. Dwie zupełnie oddzielne jego części były mieszkaniem brata i siostry. Sir Artur tegoż

ranka wyjechał był do Neapolu w celu zbadania życia lazzaronów i rybaków. Czekały go już najęte mieszkania w Castellamare, w Sorrencie i saméj stolicy. Miss Rosa Cromby była sama jedna.

Ona ze służącą tylko zajmowała obszerny, ale opuszczony, choć dawniéj wspaniały appartament. Dwóch murzynów ubranych po oryentalnemu usługiwało jéj; reszta dość licznego dworu i służby mieściła się na dole i nie była widzialna. Ogromna sala i gabinet do niéj przytykający pełne były kwiatów, dywanów, posągów, obrazów dość gustownie porozstawianych i porozwieszanych dokoła. Przepyszne naczynia marmurowe napełnione były świeżemi i wonnemi pękami kwiatów; firanki pół przezroczyste zasłaniały okna; posadzkę wszędzie, zwyczajem angielskim, wyłożono dywanami.

Miss Rosa na szezlongu leżała z książką. Czytała jedno z upodobanych dzieł Russa. Przed nią na trójnogu stał poczęty obrazek, na ziemi leżała paleta i porozrzucane pendzle.

— A! jak się masz! zawołała, zrywając się: jak się masz, artysto! Czekałam na ciebie, i gdyby nie resztka wstydu kobiecego, głupiego wstydu, którego pozbyć się nie umiem, byłabym cię pierwsza odwiedziła, tak byłam niecierpliwa.

Jan podziękował w milczeniu; nie umiał odpowiedzieć.

— Wiesz co? dodała śmiała Angielka: jestem lawaterystka, rysy twojéj twarzy podobają mi się; chcę koniecznie bliżéj się poznać z tobą, chcę cię pokochać jak brata. Siadaj.

Przyjęcie, sposób powitania, mowa, ruchy prześlicznéj miss Rosy były tak dziwne i niepojęte dla

Jana, który nigdy nic podobnego nie widział, nie wyobrażał nawet sobie, że miał się za uśpionego i marzącego dziwacznie. Dotknięcie białéj ręki przywołało go do świata i uczucia życia: łza zakręciła mu się w oku. Ona go po męzku ściskała za rękę i wskazywała krzesło.

— A sir Artur? spytał Jan, nie wiedząc od czego począć rozmowę.

— Pojechał dziś do Neapolu, odpowiedziała śmiejąc się. Nie mów mi o nim, to dziwny szaleniec, dziwnie lekki człowiek! Serce dobre, ale głowa słaba. Cały w ekstazie, wszystko uwielbia, a nic nie pojmuje. Ale szczęśliwy może, a to najważniejsza. Szczęście! rzekła z westchnieniem — szczęście, zagadka życia: tysiąc razy zdaje się blizka rozwiązania, i — wiecznie nieodgadniona.

— Szczęście? rzekł Jan pytający: wszakże to cisza w duszy, spokój bez żądzy, zadowolenie pragnień i długi byt bez zmiany.

— Gdzież ono? gdzie ono? przerwała miss Rosa. Nie! nie! nic podobnego nie ma na świecie. To szczęście stare, ideał niedościgniony; a ludzkie prawdziwe szczęście, to suknia arlekina, złociste i czarne łachmany pozszywane razem; życie, jakiém jest: boleść z nadzieją, nadzieja i rozkosz w cierpieniu, ciągły ruch, ciągła walka, ciągła czynność. To szczęście nasze. Innego nie ma! — dodała — nie ma! nie ma!

— Takiego ja szczęściem nie nazwę.

— Boś ty jedna z tych organizacyj szczęśliwych a biednych, co wiecznie łudzić się muszą i tęsknić do spokoju, nie mogąc go dostąpić. Powiedz mi, kochałeś ty?

To pytanie w różowych ustach miss Cromby miało

coś przykrego. Jan się zarumienił jak dziewczę, i odpowiedział z bolesném zająkaniem:

— Któż nie kochał?

— Kto? ja! ja! smutnie odpowiedziała Rosa. Możnaż to nazwać miłością, czegośmy oboje zapewne doznali, chłodne jakieś uczucie, chwilowe, przemijające, ciepły wietrzyk wiosenny wiejący przez serce młodociane? Ja inaczéj wyobrażam sobie to uczucie, które sprawia, że zapominamy i nie znamy świata prócz w sobie, że w sobie mamy wszystko: przyszłość, niebo, Boga, a to się wysłowić nie daje.

Zarumieniła się, spuściła twarz w dłoń białą i zamyśliła.

— Takbym kochała — rzekła żywo — gdybym kochała kiedy.

— I szczęśliwy kogobyś miss kochała, boby pewnie wart był tego, powiedział Jan zmieszany i niespełna przytomny.

— Alboż koniecznie kochamy kto wart tego? Alboż my wiemy co miłość? Nie kochamy ani piękności, ani cnoty może, ani przymiotów, ani nic z tego co się daje pojąć, określić; kochamy coś niepochwyconego, nieokreślonego, tajemniczego, kochamy to co kochamy, nie wiedząc dla czego; ciągnie nas siła fatalna. *Ich liebe dich, weil ich dich liebe*, powiedział jakiś poeta... Serce uderzy raz, drugi, idziemy za niém; widzimy, że nas wiedzie ciemnemi drogami i nad przepaści prowadzi. Cóż po tém! nie umiemy, nie możemy mu się oprzeć.

— Alboż nie można oprzeć się sercu?

(Pytania i odpowiedzi Jana tak były chłodne i pospolite, że każdy inny, nie miss Rosa, byłby ostygł, słuchając ich. Ona się coraz ożywiała.)

— Tak! kto go nie ma! zawołała dumnie, błyskając okiem. Ale po cóż ta rozmowa? Myśmy w zdaniach i wyobrażeniach daleko od siebie; uczuciem może bliżsi jesteśmy niż myślą. Ty wierzysz we wszystko, tyś dziecię jeszcze; ja! w nic... O! omyliłam się — podchwyciła, zrywając się z siedzenia i podając Janowi rękę — wierzę w sztukę i wierzę w miłość, wierzę w przeznaczenie i fatalność.

— Jest to wiara tych, co innéj nie mają.

— Spokojnam z nią dosyć, i innéj nie żądam. Chodź, zobacz obrazy moje i roboty.

Miss Cromby powiodła najprzód Jana przed stare płótna, które świeżo zakupiła. była na licytacyi po kardynale R...; potém do swoich własnych robot. W tych wiele było ognia, zapału, ale część mechaniczna słaba i nieumiejętna.

— Pokazuję ci moje po tamtych, aby ci się gorzéj wydały, abyś je osądził surowiéj. Powiedz mi o nich prawdę: lubię szczerość, naprowadzisz mnie na drogę, będę ci wdzięczna.

Jan tak zagadniony, chwalił, co było godne pochwały, lecz nie ukrywał, co widział słabém. Rosa ścisnęła go za rękę:

— Dobrze rozumiesz sztukę, a jeszcze lepiéj obowiązki przyjaźni. Bo nie prawdaż, że jesteśmy przyjaciołmi od dzisiaj? A ty moim nauczycielem?

— Sam dotąd jestem uczniem.

— O! to nic nie szkodzi! uczymy się do śmierci. Będziemy więc, nie prawdaż, uczyli się we dwoje. Podaj mi rękę, Janie, zgoda?... A teraz — dodała, siadając — chciałabym poznać cię lepiéj; opowiedz mi swoją przeszłość.

Zagadniony tak porywczo i niespodzianie, Jan chciał się od wyznań wymówić, chciał tę spowiedź nagloną odłożyć, ale miss Rosa miała szczególny dar ośmielenia, rozognienia człowieka najzimniejszego, przywiedzenia go ku czemu chciała. Wymogła więc nie ustępując, że Jan opisał jéj szczegółowo przeszłe swoje życie, a wyznanie to szczere niejedną tajemną łzę go kosztowało. Kilka razy w ciągu opowiadania przerywała mu pytaniem, użaleniem, ściśnięciem ręki, a gdy skończył, z zapałem i uniesieniem zawołała:

— Jesteś dziecię ludu i dziecię natury! podwójną teraz czuję ku tobie sympatyę. Czém jesteś, winieneś tylko sobie. Szczery, szlachetny! otwarty! o! proszę cię, bądźmy przyjaciołmi. Ty mnie malarstwa, ja ciebie tego, com sama z książek zaczerpnęła, nauki świata i życia, uczyć będę. Tyś ślepy jeszcze, mój bracie!... A teraz chodźmy do ciebie, chcę cię nawzajem odwiedzić. Mówią, że Lavater poznaje ludzi z pisma; ja uczę się ich z mieszkania. Chcę widzieć twoje.

— Miss Cromby, ja mieszkam daleko, i... dodał—nie sam jeden.

— Jak to? z kimże? z kobietą może? spytała lekko się rumieniąc.

— Nie, z Włochem Annibalem malarzem, który wczoraj był także z nami.

— Wiem! ten, co mi potakiwał nieustannie. Nie lubię potakujących.

— Myśli jak wy!

— Tém lepiéj dla niego. Chcę widzieć roboty wasze; chodźmy, bez wymówki.

— Pieszo?

— Czemuż nie? Chodzę wiele i szybko; podaj mi rękę.

Zadzwoniła.

— Lecz w ulicy, sami we dwoje.

— Właśnie Negr mój Nero pójdzie za nami; a zresztą, co mi tam!

— Będą mówili...

— Niech mówią, i ja mówię o drugich, na zdrowie! Chodźmy.

To rzekłszy, schwyciła kapelusz popielaty z głowy posągu, wzięła laseczkę w rękę i zbiegła ze wschodów wołając Nerona. Neron, ogromny, straszny Negr, rzucił się ich śladami. Ona ciągnąc za sobą Jana, śmiała, żywa, lekka i dumna, leciała ze swobodą niepojętą w kobiecie.

Nie postrzegli się jak stanęli u drzwi, przez które dawał się słyszeć brzęk gitary. Jan domyślił się po fałszach, że Angiolina grała.

— Pozwól pani, rzekł, pójdę naprzód. Annibal nie sam jeden.

— A! z kobietą zapewne?

— Zdaje mi się.

— Cóż nam to szkodzi! Kto ona? model wasz? Znam je wszystkie. Jéj imię?

— Angiolina.

— Prześliczna! znam ją, to i moja Venus. Chodźmy! czegoż stoimy? cóż ona mi szkodzi?

Annibal spał gdy weszli. Angiolina wyciągniona na ziemi na macie, oparta plecami o łóżko, grała z cicha na gitarze. Na widok Jana i miss Cromby, zerwała się żywo, zarumieniona, i składając ręce spytała:

— A! signora! wy tu co robicie?

— Widzisz Angiolino! przyszłam zobaczyć roboty twoich dwóch malarzy... dwóch kochanków może?

— O! nie! Jan nie mój kochanek wcale: to kamień czy kawał lodu północy, to...

I skrzywiła się, ale w téj chwili z za drzwi czerniejąca twarz Negra uderzyła ją, zapomniała o wszystkich i poczęła się w niego wpatrywać, łamiąc ręce i kiwając głową.

— A! jaki czarny! jaki czarny, straszny heretyk! co za bestya okropna! a jak to ubrane!

I wyszła na wpół zlękniona, wpół rozdrażniona przypatrzyć mu się z blizka. Powiedzmy prawdę, zaczęła go bałamucić, aby się przekonać, czy jest człowiekiem, tak jak na Markizach dzikie niewiasty przed umarłym lubieżne przybierają postaci, by sprawdzić, że nie żyje. Annibal zerwał się ze snu i powitał miss Rosę. Ta zaledwie kiwnąwszy mu głową, poczęła oglądać roboty Jana. Zachwycona niemi unosiła się, chwaliła, przypatrywała i co chwila ściskała go z uczuciem za rękę.

Annibal trochę w miłości własnéj obrażony, widząc, że mu się nie dostaje ani cząsteczka pochwał, tak hojnie Janowi sypanych, usiadł w kącie zachmurzony. Nareszcie portret Angioliny, w jéj wdzięcznym narodowym stroju odmalowany dość szczęśliwie przez Włocha, zwrócił uwagę miss Cromby; zażądała gu kupić od Annibala.

— Nie jest do sprzedania, odparł zimno.

— Moglibyście sobie zrobić drugi; wszak macie na zawołanie oryginał! szydersko rzekła Rosa.

— Chcę mieć i kopię.

— Do woli. Adio! Wy ze mną, nie prawdaż? spytała obracając się do Jana,—odprowadzicie mnie?

Opierać się było niepodobna; poszli razem. Angio-

lina długo jeszcze wyglądała niby za Negrem, a może więcéj za Janem. Za kim z dwóch? zagadka, może za obudwoma. Annibal położył się na łóżku z gitarą, ona przyszła po chwili oprzeć głowę na jego kolanach, i śpiewała tak do późnéj nocy stare włoskie piosenki.

Jan tymczasem powracał z miss Rosą do jéj mieszkania; po drodze zatrzymywali się razem u posągów i fontanu, mówili o sztuce. Angielka umiała suchą i zimną teoryę sceptycyzmu i materyalizmu z ogniem i zapałem wykładać. Pod wpływem uroczych jéj słówek, Jan czuł się silniéj zachwiany w ciągu dnia jednego, niżeli długiém obcowaniem z Annibalem.

Przekonania jego chwiały się, niepokój był w duszy. Kobieta, jakby miała na sercu ku swéj niewierze go nawrócić, o wszelkim przedmiocie w duchu swoim mówiła, wszędzie umiała wrzucić słówko znaczące, słówko, co więzło w głowie słuchacza i rozwijało się późniéj samo w cichych dumania godzinach.

Nie ma nasienia, coby łatwiéj się przyjmowało nad sceptycyzm i niewiarę. Niszczyć daleko zawsze łatwiéj niż tworzyć, trudniéj nawracać niż wywracać. Nawrócenie jest dziełem natchnienia; wywrot robotą zimnéj myśli. Natchnąć wiarę cud tylko może; lada głupiec zachwiać nią w słabym potrafi, a potém nigdy już ona nie wróci.

Miss Rosa do późnego wieczoru czytała Janowi, mówiła z nim, i takie potrafiła wzbudzić zaufanie, topiąc w nim niebieskie swe oczy, czarując niepojętym wdziękiem, że wyznał przed nią więcéj niż przeszłe swe życie, bo stan teraźniejszy duszy, walki z sobą, niepewność, pragnienie pozostania przy staréj wierze, którą miał za jedyną prawdę i jedyną szczęścia rękojmię.

Angielka śmiała się z niego jak z dziecka, śmiechem, wymową, opowiadaniem i mamiącemi wielkiemi słowy filozofii, postępu, światła, zdeptania przesądów. Oszalałego puściła nareszcie, ściskając silnie za rękę i mówiąc mu na pożegnanie:

— Powrócisz jutro?

— Jutro, nie wiem, mam godziny nauki.

— Ja chcę, ja wymagam! przyjdziesz?

I Jan przyjść obiecał. Nazajutrz znowu zatrzymała go długo; a gdy się rozstawał:

— Wiesz co? rzekła—mamy próżne mieszkanie. Sir Artur nie wróci tak prędko; każę ci malarnię urządzić u mnie, mieszkaj tutaj, to lepiéj będzie.

— A ludzie?

— Znów ludzie! co mi ludzie! roześmiała się.

— Lecz znaszże mnie dosyć?

— O! dziecię! Jakbym cię znała od kolebki! Umieszże się zakryć? No? nie prawdaż, że zgoda? Twój Annibal z Angioliną to nudne towarzystwo. Annibal bazgracz, bez duszy artysta; Angiolina ładne zwierzątko. Zechcesz jéj dla wzoru, przyjdzie i tutaj. A tak będziemy razem!

— Prawdziwie, nie śmiem... nie wiem...

— Wahasz się! biedny! a więc pomówimy o tém jutro jeszcze, odezwała się, żegnając go z uśmiechem. Bądź zdrów, bracie! Chrześcianie zwali się braćmi w Chrystusie; myśmy bracia przez sztukę i uczucia. Nie wiem co fatalnie ciągnie mnie ku tobie.

Jan, słysząc te ostatnie wyrazy, które były prawie wyrzeczeniem się chrześciaństwa, zasmucił się odchodząc. Angielka zadziwiała go, pociągała ku sobie urokiem niewytłómaczonym; ale zarazem czuł jakieś politowanie nad nią i jakby bolesne przeczucie wiszą-

cego nad nią nieszczęścia. Były chwile, w których jasne lazurowe oczy téj kobiety niepostrzeżenie nabierały wyrazu zdradzającego wewnętrzną mękę, pokrytą pozorem tylko wesela i swobody.

Annibal i Angiolina byli w mieszkaniu, gdy Jan nadszedł. Jedli maccaroni, których sobie przynieść kazali, i śmieli się do rozpuku. Obojgu ręce i policzki świeciły się od ciepłéj oliwy, w któréj pływał przysmak ów włoski ubarwiony sosem pomidorowym. Włoch zobaczywszy Jana, nagle zamilkł, i ukośne puścił na niego spojrzenie. Na powitanie nie odpowiedział wedle zwyczaju, i widocznie skrzywił się jakby zagniewany. Myśląc, że ten zły humor przejdzie, Jan zaczął coś mówić, ale mruczenie tylko odbierając zamiast odpowiedzi, zamilkł także. Wieczorem o jakąś drobnostkę żywe wymówki począł Annibal robić Janowi; nazajutrz już się rozstawali.

O niewielkim zapasie, gdyż pensya królewska nie była wystarczająca i nieregularnie dochodziła, Jan musiał myśleć bardzo, jak sobie nająć mieszkanie i utrzymać się, nie przypuszczając nawet, aby miss Rosa pod niebytność brata chciała go u siebie umieścić. Lecz najniespodzianiéj, Nero, dwóch tragarzy i służący miss Cromby nadeszli po zabranie rzeczy Jana. Karteczka Rosy zapraszała go usilnie do przygotowanego mieszkania, pod pozorem lekcyj, których od niego żądała. Nie bardzo mając czas nad tém co robił zastanowić się, Jan pozwolił zabrać obrazy i rzeczy. Annibal poglądał na to gniewnie i zazdrośnie, pożegnał go zimno i szydersko, odwrócił się pogardliwie i usiadł do roboty.

Przyszedłszy do hotelu Anglika, Jan nie zastał miss

Rosy, była na przechadzce w *villi Borghese*. Otworzono mu jego pokoje. Widocznie wybrane były jak dla malarza i wybornie oświecone: jeden bardzo obszerny do pracy, drugi dla spoczynku chłodny, zacieniony i miły. Tu znalazł Jan małą biblioteczkę i naczynie z kwiatami na konsoli marmurowéj. Uderzyły go te przedmioty jako dowód troskliwości i pamięci miss Cromby. Biblioteczka składała się z owych ksiąg chciwie naówczas czytanych, które gotowały wielkie burze światu w imię idei, postępu, ludzkości i światła; nowsi pisarze francuzcy i angielscy, kilka sławnych romansów, kilka ksiąg pseudo-filozoficznych zajmowało półki.

Jan oczekując przybycia miss Rosy, usiadł tymczasem czytać. W rękę mu wpadł Russo. Był tu cały zbiór pism jego: *Heloiza*, *Wyznania*, *Umowa społeczna*, *Listy*. Pisarz ten zdawał się stworzony dla Jana; od pierwszych kart uczuł się pociągnionym ku niemu i chciwie go już pożerał, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i w ubraniu z przechadzki weszła Rosa.

— A! przecię! jużeś tu bracie! zawołała. Cieszę się, zobaczysz jak ci dobrze będzie.

Jan odpowiedział jéj niewyraźném podziękowaniem.

— Teraz twoja godzina niewoli, godzina mojéj lekcyi, chodź do mnie.

Poszli razem. Lekcye były wzajemne! Jan uczył malarstwa Angielkę; ona z całym zapałem nauczycielki, co nigdy jeszcze nie miała ucznia, zasady szkoły filozoficznéj, któremi napojona była, przelewała w niego. Wszystko co XVIII-ty wiek wydobył z prochu historyi przeciwko wierze: uciski w jéj imieniu dopełniane, inkwizycya, wojny, zabójstwa, zdrady, mordy przesuwały się w obrazach żywo kreślonych przed

oczyma Jana. A nauczycielka tak była natchniona! wyraz jéj każdy tak gorąco z duszy wyrzeczony! tak mówiący i przenikliwy!

Nauka ta trwała długo. Codziennie nauczycielka i uczeń, nauczyciel i uczennica stawali się sobie potrzebniejsi, milsi, codzień poufalsi z sobą. Już kronika gorsząca plotła dziwy o ich pożyciu; a jednak, jak zawsze prawie, w tych pozornych bardzo plotkach nie było prawdy. Rosa i Jan żyli z sobą jak brat z siostrą.

W jéj sercu może od pierwszego wejrzenia obudziło się czulsze i gorętsze uczucie, usiłowało wyrobić wzajemność, ale dotąd napróżno. Jan patrzał z zachwyceniem na miss Cromby, długie godziny wlepiał oczy w jéj twarzyczkę tak uroczego wdzięku, ale w sercu nie czuł ku niéj nic nad przyjaźń prawdziwą, nad spokojne przywiązanie brata. Żadna inna struna w nim nie zadrgała. Często wieczory całe pędzili na długich samotnych przechadzkach, w których tylko z dala idący Nero im towarzyszył; często dni całe przepędzali obok siebie, oko w oko, dłoń w dłoni, z całą szczerością młodości z uczuć się swoich i myśli spowiadając. Ale Jan nie miał na sumieniu wielkiego grzechu miłości, z któregoby się choć mimowolnie wyspowiadał Rosie. Czekała ona, czekała, serce jéj biło, oczy płonęły lub łzą zachodziły,—on pozostał jak był.

— To przyjdzie z czasem, mówiła sobie,—to przyjdzie z czasem!

Ale czas ubiegał, a nic nie przychodziło. Jan kochał ją zawsze tylko jak siostrę, ona go już jak jedyną istotę na ziemi, z gwałtownością téj wyłącznéj miłości, która się chwyta swego przedmiotu jak własności, która za nim, bez niego, nie widzi nic w świe-

cie; pustynię tylko. Miss Rosa kochała pierwszy raz w życiu. Długo, długo nikt tego uczucia nie potrafił w niéj wzbudzić; tu jedno wejrzenie, gdy go idąc do Katakumb spotkała, zrobiło wszystko. Dla tego miss Cromby tak silnie przywiązała się do Jana, tak gwałtownie chciała go przyciągnąć ku sobie—obawiała się, iż nigdy już więcéj kochać nie potrafi. Względy urodzenia, nierówności stanu, były dla niéj przesądem, nie zważała na nie zresztą—kochała. Miłość ta była już tak gwałtowna po kilku miesiącach pobytu razem, że jeden Jan uparcie w niéj tylko szczerą przyjaźń mógł upatrywać.

Dokoła zaś powiadano głośno, że miss Rosa była kochanką Jana, może nawet zaślubioną przez niego tajemnie. Annibal zazdrościł mu bogatego ożenienia!! filozof! Jan tymczasem gorące objawienia uczuć biorąc za właściwość charakteru Angielki, nic nie rozumiał, niczego domyślać się nie chciał.

Po kilku tygodniach próżnego usiłowania, nauczycielka stała się milczącą i smutną. Całe dni przepędzała w milczeniu, oparta na kanapie lub przed trójnogiem z pendzlem w ręku, a nie mogąc malować. Raz tak zastał ją Jan smutnie zamyśloną, i zbliżywszy się powoli, wziął za rękę, mówiąc po cichu:

— Miss Cromby, co to wam?

— Co mi jest? podnosząc łzawe oczy zawołała. Co mi jest? nie wiesz?

— Jakże mam wiedzieć? Widzę tylko od niejakiego czasu smutek, roztargnienie, zamyślenie, powodu nie wiem. Powiedz mi go szczerze!

— Nie wiesz powodu! nie wiesz! powtórzyła smutnie. I nigdy go wiedzieć może nie będziesz. Po co? dla czego? dodała jakby do siebie mówiąc.

— Spodziewam się, że mi to powiesz! rzekł Jan. Może potrafię cię pocieszyć, poradzić, może...

— Gdybyś chciał! a raczéj gdybyś mógł!

— O chęci możeszże wątpić? Lecz jest-li w mojéj to mocy?

— W twojéj i nie twojéj! mógłbyś a nie możesz. O! nie pytaj Janie, nie pytaj, na co ci wiedzieć na co biedna twoja siostra choruje? Choroba nieuleczona, smutna, kończy się śmiercią. A śmierć, drogi mój bracie, to sen bez przebudzenia, to sen bez marzeń, mówi nasz Shakespeare... kto wie czy bez marzeń? kto wie sen to jaki?

I pierwszy raz pod panowaniem silnego uczucia miss-Rosa, za śmiercią i zniszczeniem cielesném, rzuciła to wielkie: *Peut-être?* którego wprzódy nie było dla niéj. Wprzódy widziała tam nicość, gdzie dziś bijące uczuciem serce już jéj jakieś wskazywało życie. Nigdy rozum zimny, niewsparty uczuciem nie zaprowadzi człowieka w te nieprzystępne krainy. Zawsze wodzem podróżnego serce. Wiara też nie w rozumie, ale w sercu; a w rękach ciekawego rozumu ona się rozpada jak blaski tęczowe, gdy dziecię schwytać je pragnie.

— Nie! dodała: to sen wieczysty, to zapomnienie, to zniszczenie i nic więcéj.

I powstała od trójnoga, rozrzucając wkoło siebie co trzymała w rękach. Padła na sofę i płakać poczęła.

— Miss Rosa, na Boga cię zaklinam, powiedz co to jest?

— Na Boga? powtórzyła z uśmiechem,—i straszne bluźnierstwo z choréj wyrwało się duszy. Jestże on tą istotą pełną dobroci, któréj dzieci cierpią tyle?

która patrzy nie wiem zkąd, patrzy i nie wyciągnie im ręki?

Jan osłupiał.

— Cierpisz, rzekł: podzielmy to cierpienie, proszę, powiedz mi, powiedz je. Ty wiesz miss Cromby, że cię kocham jak brat, że dałbym życie dla ciebie.

— Tak, szepnęła Angielka po cichu—tylko jak brat! Na co mi twe życie, gdy nie mogę mieć serca? Nie proś—rzekła głośno—nie chciéj wiedzieć tego: nic mi nie pomożesz, nic Janie; choroba to nieuleczona.

— Ulżyć jéj przecię można?

— Nie! pogorszyć tylko!

— Droga miss Cromby!

Ona spojrzała obłąkanym wzrokiem na niego:

— Janie, rzekła: nie dopytuj się, na Boga, na tego Boga, na któregoś mnie zaklinał!

— Tajemnica! Więc nie chcę jéj wiedzieć.

— Nie mam dla ciebie tajemnic...

— Cóż więc takiego kryjesz?

Czoło dziewczyny pokryło się znowu rumieńcem, westchnęła cicho, pomyślała, potém jak gdyby nagła myśl ją uderzyła.

— Słuchaj, rzekła: daj mi słowo, daj słowo uczciwego człowieka, a wiesz jak wysoko cenię godność ludzką, że cokolwiek się dowiesz odemnie, nic naszych stosunków nie zmieni.

— Możeszże wątpić miss Rosa? zawołał Jan, któremu myśl przebiegła po głowie, że ona kogoś kochać musi, że go posądza także o miłość ku sobie, odpowiedzieć jéj nie mogąc. Zarumienił się, zatrząsł.

— Jeśli kochasz kogoś, siostro, rzekł szybko—jeśli kochasz, czemuż mi powiedzieć nie możesz? Myślisz, że

ja cię także kocham tajemnie? nie prawdaż? Nie chciałabyś wyznaniem przywiązania dla kogo innego odepchnąć tego, któremu zostawiłaś tylko przyjaźń swoją? O miss Rosa! jakże mnie nie znasz! Śmiałżebym ja kochać ciebie, podnieść oczy tak wysoko? do tego domu, do któregoś mnie ze szlachetném zaufaniem wprowadziła, wejść z myślą zwodziciela, z podejściem? zdradą opłacać przyjaźń? Ty myślisz to pewnie; lecz przysięgam ci, brat nie kocha cię więcéj, nie kocha cię czyściéj, nie kocha cię inaczéj.

Te słowa wyrzeczone z zapałem, porwawszy się z siedzenia wysłuchała Rosa, i padła znowu, zakrywając twarz rękoma. Wyznanie Jana uderzyło ją w serce.

— Co to jest? spytał po chwili: nie chcesz mi odpowiedzieć? gniewasz się? wątpisz?

Kobieta płakała.

— Na Boga! oszaleję! zawołał Jan: wytłómacz mi, zlituj się.

— I w tém nieszczęście moje, że zrozumieć mnie nie możesz, płacząc i padając mu do nóg wyrzekła Angielka. Nie rozumiész, że cię kocham; nie rozumiesz, żeś mnie zabił; że chcę być twoją; żeś ty mi jeden na świecie; że bez ciebie jam ciało bez duszy, zginiona, umarła.

Jan słuchał i nie rozumiał, wlepił w nią oczy, zadrżał i rzucił się ku drzwiom. Rosa pobiegła za nim z gwałtownością niesłychaną, pochwyciła go za rękę, którą do bolu ścisnęła mu i żywo zawołała:

— Dałeś mi słowo, że cokolwiek powiem, nic stosunków naszych nie zmieni. Dałeś mi słowo, pamiętaj! Nie uciekaj, bo umrę. Janie mój! nie uchodź, nie zostawuj mnie samą. Nic nie chcę od ciebie, tylko

żebyś ze mną pozostał. Zapomnij com mówiła, jeśli możesz; będę wesołą, będę spokojną, ale nie uchodź odemnie. Czego chcesz? uśmiechu? roztrzepania? śpiewu? udam uśmiech, roztrzepanie, zaśpiewam, nawet spokojność odegram przed tobą, choć mi serce wrzeć będzie, ale nie odchodź! Bo—dodała powolnie z mocą największą—daję ci słowo kobiety i słowo człowieka: jeśli uciekniesz, umrę. Nie będę czekała śmierci i siedziała z założonemi rękoma, ale pójdę sama przeciwko niéj. Tak, umrę!

Po téj scenie poruszającéj, Jan pozostał wprawdzie, ale ani wdzięki Rosy, ani nawet wyznanie nie obudziło w sercu jego uczucia, które nigdy na zawołanie nie przychodzi. Kochał ją jak brat. Rosa spodziewała się, że urodzi się miłość, czekała na nią, wyglądała, widziała czasem gdzie jéj nie było wcale, cieszyła się, to znów wpadała w zadumanie, milczenie i rozpaczliwą odrętwiałość.

— Gdybym wiedziała kogo on kocha, mówiła w duszy: poszłabym i zabiła ją. Ale on nikogo nie kocha, jakieś może wspomnienie... najniebezpieczniejsza z miłości, bo odczarować się nie może. Czekajmy, czas ją zwycięży.

Tak płynęły miesiące. Życie Jana nie zmieniło się: napróżno chciał kilkakroć usunąć się z domu tego i ukryć; nie mógł, nie puszczono go. Szpiegowany, otoczony sługami, kroku uczynić swobodnie nie potrafił. Brat miss Rosy przybył z Neapolu, zastał gościa w domu, nie zadziwił się temu wcale, wstrząsnął go tylko silnie za rękę, opowiadał przez dwa wieczory o życiu rybaczém, które wiódł w golfie, a trzeciego dnia odjechał do Sycylii, zostawując ich znowu samych.

Czy widział czy nie widział co się działo w domu, nie wiem. Cały teraz zajęty był ubraniem sycylijskiém i Sycylią, do którój chciał już przybyć o ile możności Sycylijczykiem. Jan malował, czytał, i rozczarowując się codzień książkami, które poezyę życia ścierały pod pozorem przesądów, doskonalił się w sztuce coraz bardziéj. Landi uznał, że go nic mistrze nie nauczą więcéj, że sam sobie najlepszym być może. Ciągłe zapatrywanie się na arcydzieła wyrobiło w nim smak, uczucie prawdziwego piękna, i wtajemniczyło go w najtrudniéj nabywające się, językiem nigdy nieokreślone, arkana sztuki.

Miss Rosa już nie malowała wcale. Od pierwszéj owéj rozmowy, nie mówiła więcéj z Janem o miłości swéj, stała się zimną na pozór, dumną, szyderską nawet czasem; ale w oczach to błyszczących ogniem, to płaczących tajemnie, czytać było można uczucie tłumione. Siadała często na koń i latała po okolicy aż do znużenia, starała się o silnie wstrząsające wrażenia, szalała, zatapiała się w ulubionych książkach; ale na tę chorobę co ją trawiła, nigdzie, w niczém nie znajdowała lekarstwa. Janowi zdawało się, że oddalenie być niém może jedynie; a chociaż miss powtarzała mu często, że dał jéj słowo pozostać, zamyślał usunąć się i pracował nad tém, aby ujść niepostrzeżony. Obrazy swoje porozsyłał powoli w różne miejsca pod różnemi pozorami, i Angielka nie sprzeciwiała się temu; rzeczy nie miał prawie,—i jednego wieczoru niepostrzeżony zszedł ze wschodów z bijącém sercem i smutkiem w duszy, bo cierpienie zostawiał za sobą. Zdawało mu się, że nikt nie wie o jego zamiarze ucieczki, nikt go o nią nie posądza. Zaledwie minął bramę

pałacu, gdy z okna głos Rosy dał się słyszeć z cichém: *Adio.*

Podniósł głowę.

— Idziesz—rzekła łagodnie—idziesz bez powrotu, uciekasz odemnie! Nie wstrzymuję cię więcéj. Bądź zdrów i szczęśliwszy odemnie.

Okno żywo się zamknęło.

Jan pozostawszy sam, nie wiedział co miał czynić: powrócić czy uciekać?

— A! rzekł w sobie: żegna mnie spokojnie, nie wstrzymuje; siła więc téj nieszczęsnéj namiętności minęła już, zapomni i wspomnienie czas zatrze.

Spojrzał w okno, westchnął i odszedł.

Na odległéj uliczce tydzień spędził zupełnie samotny, smutny nie wiedząc czemu, rozdrażniony, cierpiący. Zaczynał czuć rodzące się jakieś przywiązanie, którego wprzódy nie miał; chciał ją widzieć, chciał ku niéj powrócić, głowa mu się paliła, sny dzikie chodziły po niéj; pytał siebie sto razy na dzień: „Kochamże ją teraz?" Może już kochał ją biedny, ale silną wolą wstrzymywał się, by do niéj nie wrócić. Tak kilka dni zeszło, gdy wieczorem zastukano do jego izdebki.

Poznał głos sir Artura, i nim miał czas zaryglować się od niego, już Anglik wszedł z pudełkiem pod pachą, ukłonił się, postawił je w milczeniu na stole, otarł pot z czoła, dobył papier z kieszeni i podał go Janowi.

Był to testament miss Rosy.

— Co to jest? zakrzyczał Jan obłąkany.

— Co? Ostatnia wola umarłéj.

— Umarłéj?

— Tak, utopiła się w Tybrze... dość zimno na pozór rzekł sir Artur.

— Kiedy?

— O! blizko tydzień już temu. Nie wiecie, *per Baccho!* nie wiecie! wy! a to pociesznie! *Cospetto!* nie wiecie! przecięż wam zapisała piękne dobra w staréj *merry England*.

— Ona! mnie!

— A tak! czytajcie, siadając rzekł sir Artur. Czytajcie-no tylko; dowiecie się powoli wszystkiego... Cóż to za ciupka! mówił do siebie. Jak trudno mi was wyszukać było!

Ale Jan pogrążony w boleści nieprzytomnéj, która zdaje się na chwilę odbierać człowiekòwi uczucie nawet jego osobistości i mąci wszystkie myśli, leżał na posłaniu zbladły, z zaciętemi usty, omdlał.

Sir Artur dość niezręcznie zlał mu twarz zimną wodą, i potrząsając go za rękę, rzekł:

— Panie artysto! obudź się. Lepiéj było nieco wprzódy mieć trochę więcéj uczucia. Mamy z sobą do pomówienia.

Jan otworzył oczy, zawołał:

— Umarła! dla mnie!... i gorzkò płakać począł.

— Tak, umarła dla was—zawsze na pozór zimno mówił sir Artur—zapisując wam piękne majętności odziedziczone po matce i ciotce. To dobrze; ale kto mi za jéj śmierć odpowie? Miałem jedną tylko siostrę, i kochałem ją szczerze. Tak! kochałem ją choć po cichu i tajemnie, jak się kocha jedyną istotę, co nas obchòdzi na ziemi. Ona mnie wiązała z Anglią. Teraz nie mam nikogo. Jeden z nas musi paść—dodał wskazując na pudełko,—będziemy się strzelali. Tak, będziemy strzelali się na śmierć.

Jan się wzdrygnął.

— Boisz się? spytał Anglik. Musisz jednak bić się, powiedziałem ci. Strzelać się będziemy na grobie Rosy, którą kazałem pochować na cmentarzu Świętego Kaliksta, nad temi Katakumbami, które na nieszczęście nasze razem zwiedzaliśmy. Ażebyście zaś nie myśleli, że was chcę zabić, abym wydarł spadek po siostrze...

— Spadek! majątek! gorzko rzekł Jan: możecież mówić nawet o tém, w téj chwili?

— Mogę mówić, bo bardzo cierpię i nie gram komedyi, dodał Anglik z flegmą. Jeśli was zabiję, to dobra rozdam na szpitale, zwrócę krewnym waćpana, jak zechcesz. Lub posłuchaj. Założę religijny jaki zakład wychowania. Niewiara zabiła Rosę. Chrześcianka byłaby się modliła, płakała, zapomniała lub cierpiała z rezygnacyą.

— Wolałbyś pan, żeby cierpiała a żyła? cierpko rzekł Jan.

— Wolałbym, bo miałbym zawsze uleczenia jéj nadzieję; pojechałbym z nią do Kairu, pod piramidy, do Indyi; nie ma bolu, któregoby czas i podróże nie uleczyły. Wierzcie mi... Ale godziny lecą, a ja muszę was zabić jak najrychléj. A zatém, chodźmy.

— Dokąd?

— Na cmentarz Świętego Kaliksta; na grób Rosy.

— W nocy?

— Tém lepiéj! strzelamy się na płaszczu, *à bout portant*, chybić nie można. Jeden z nas padnie. Ciągniemy losy o pistolety: jeden z nich tylko nabity.

Jan z zimną krwią poszedł za Anglikiem, chociaż zataczając się chwilami; łzy wielkie wzbierały i upa-

dały mu z powiek. Księżyc przyświecał idącym pòwoli, w milczeniu, starą drogą Appijską.

Na świeżéj, gładkiéj i zimnéj płycie marmuru, która pokrywała grobowiec biednéj dziewczyny, Artur rozesłał swój płaszcz, ukląkł i pòmodlił się najprzód. Jan już nie umiał się modlić, zapłakał, skrzyżował ręce, czekał. Anglik podał mu dwa pistolety Lazara do wyboru. Pochwycił jeden z nich Jan, stanęli przeciwko siebie, podali dłonie na znak przebaczenia i strzelili.

Artur upadł na wieko grobowe, a głowa jego, przez któréj usta krew się rzuciła, zatoczyła się zimna po za marmur, na zieloną murawę; chrapliwy głos konania dał się słyszeć—ucichło...

Nazajutrz tłum ludzi cisnął się na cmentarz Świętego Kaliksta, gdzie znaleziono trupa Anglika, który, jak powiadano, zastrzelił się z rozpaczy na grobie ukochanéj siostry. Ręka jego skrzepła i skostniała cisnęła jeszcze pistolet wystrzelony. Wywleczono ciało biedaka za poświęcony obrąb, i pochowano gdzieś w ruinach bez żadnego obrzędu. Dwór tylkò i ludzie Artura, którzy go niewymownie żałowali, towarzyszyli cichemu pogrzebowi.

Jan z gorączką wspomnień nieznośnych, wywlókł się z Rzymu, aby zwiedzić Włochy. Przebiegł grody sławniejsze Italii, a dłużéj niż w innych zamieszkał w ojczyźnie Batrani'ego, Florencyi.

Jako malarz zyskiwał on co chwila nowe siły, nowych dochodził tajemnic, nowych nabywał przymiotów; lecz jako człowiek utracił co miał najdroższego: wiarę, ze wszystkiém czém ona życie ozłaca. Ta nić czarodziejska, co łączy duszę z niebem, zerwana była dla niegò.

Obojętny, milczący, chłodny, machinalnie prawie szedł drogą, którą wprzód sobie wyznaczył.

Jedno wspomnienie matki sercem jego wzruszyło czasem, i to tylko wspomnienie rodziło tęsknotę do kraju, gdzie nic więcéj, nawet twarzyczka Jagusi zapomnianéj już go nie wabiła.

Na wygasłém popielisku miłość synowska stała jeszcze ostatnią świecąc iskierką.

Czasami zadumany tęsknił po domu, myślał o chatce, gdzie nad kądzielą stara o nim myślała matka, w nieznany kraj za synem nie mogąc nawet puścić myśli. Czasem wyobrażał ją sobie chorą, w niedostatku, płaczącą nad synem, którego zobaczyć rozpaczała,— i porwany nieopisanym jakimś niepokojem, nagle z Florencyi puścił się do kraju. Podróż tę, pozbawiony zasiłków, musiał odbyć powolnie i pieszo, a z coraz wzrastającą niespokojnością. Niepokój ten równał się chorobie. Gdy stanął na granicy swéj ziemi, pierwszy raz od dawna łzą zaszły mu powieki, serce zabiło młodością, obejrzał i rozmierzył co utracił a co zyskał w podróży. Zyski nie nagradzały strat niepowetowanych: Jan nie mógł się już modlić.

Lecz ze wstąpieniem na ziemię rodzinną uczuł przynajmniéj potrzebę modlitwy i wielkość swéj straty.

Powracający z Rzymu Jan, zaledwie się zatrzymał w stolicy, którą wielce znalazł zmienioną. Król nie mógł go widzieć nawet, tak był w téj chwili zajęty sobą i wypadkami, co go otaczały groźne, naglące. Zna-

jomi dawni rozpierzchli się. Grób tylko Feliksa znalazł na Powązkowskim cmentarzu, którego krzyż drewniany, nadgniły i pochylony groził upadkiem. Położywszy trwalszy nieco od drzewa kawałek kamienia przyjacielowi i pożegnawszy Warszawę, Jan śmiertelnie smutny, targany niepokojem, który go gnał ku matce, nie mając już nawet środków dostania się do niéj, tak resztę grosza stracił w drodze, sprzedać tu musiał za bezcen kilka kopij przywiezionych z Rzymu, aby za nie dojechać do Brzozowego Ługu co najrychléj. Od roku już wieści nawet nie miał o jedynéj istocie wiążącéj go do ziemi, o matce. Przyszłość wydawała mu się zewsząd chmurną i groźną. Kraj nie był wcale w owym stanie spokoju i świetności, który sprzyja sztukom i literaturze; wszystko wrzało jak w chwili pożaru.

Serce nie ze wszystkiém jeszcze odrętwiałe ciągnęło go do staréj chaty na Litwie... mizernéj, ubogiéj chatki gdzie się urodził, gdzie pierwsze lata dzieciństwa spędził, nie śniąc nawet takiéj, jaka mu zgotowana była, przyszłości. Niepokój wewnętrzny mówił mu, że tam go może czeka matka sił ostatkiem, aby pożegnać i pobłogosławić.

Ale od stolicy (gdzie Jan spotkał się z wyprawionemi inną drogą obrazami i pakunkiem dość znacznym) opóźniła się podróż dla niedostateczności funduszów na jéj odbycie i niepewnego stanu kraju. Obrazy, studya, książki, były mu ostatniemi pamiątki pobytu we Włoszech; rozstać się z niemi nie miał siły, obawiał się o nie i wlókł się za niemi powolnie.

Sto razy wstrzymywany w drodze przez różne partye wojsk krzyżujących się po kraju i niszczących go

pod pozorem ocalenia—dostał się nareszcie do rodzinnego miasteczka.

Na widok kościoła Kapucynów i dworka ubogiego, którego komin dymił w oddaleniu, łza mu się dawno niewidziana znowu zakręciła w oku. Chmurny i smutny wieczór kradł ten widok pożądany; resztę drogi musiał już odbyć po ciemku i na oślep. Serce go prowadziło.

Gdy ciężka bryka wtoczyła się w dziedziniec, stara Małgorzata ukazała się w progu pochylonéj chaty.

— Moja matka? spytał Jan, rzucając się niespokojny naprzeciw niéj.

— Żyje biedniaczka, żyje! odparła żywo staruszka—choć Bóg widzi, lepiéj żeby ją wziął do chwały swojéj, tak wiele cierpi! Od pół roku z łóżka nie wstaje, paraliżem ruszona, codzień zdaje się kona a skonać nie może. Wiele to my ją razy kładli na ziemi, myśląc, że tak lżéj będzie wyjść duszy z ciała! Ale nie! Od czasu jak język odzyskała, ciągle powtarza: „Muszę czekać na Jana, pobłogosławić go i umrzeć.” Litościwy doktor, co ją odwiedzał, trzy razy naznaczał jéj termin. Ale nie! ona taki zawsze go przebyła i powtarza: „Muszę czekać Jana.”

Zaledwie dosłuchawszy tego, Jan pośpieszył do izby.

Tu okropny przedstawił mu się widok. Uboga chata jeszcze bardziéj była odarta, uboższa, puściejsza od czasu jak ją opuścił; łóżko choréj pokryte ohydnemi łachmany, w ognisku ledwie głowienka smutnie dogorywająca. Zimno, pusto, wiatr chodził ze ścian i sufitu się wkradając, podłoga cała przesiąkła wilgocią i porosła pleśnią. Ściany okopcone od dymu, czarne,

wiadro z wodą u drzwi, garnek nadbity na kominie, dzban na stole i trochę okruszyn razowego chleba. Serce się ściskało, patrząc na tę nędzę tak nagą i tak straszną; szpital nie byłby okropniejszy.

Zaledwie Jan ukazał się na progu, matka, która od pół roku wstać i ruszyć się nie mogła, podniosła się wprost na łóżku, błyszczące jak szkło otworzyła oczy, a usta jéj zawołały głośno, wyraźnie:

— Mój Jan! mój Jan! Śpiesz się, czekałam na ciebie! umrzeć nie mogłam, ach! a tak ciężkie życie! Niech cię pobłogosławię...

Syn we łzach przykląkł przed nią, ona złożyła ręce na głowie jego, ucałowała czoło synowskie, dwie łzy szkliste potoczyły się po bladéj i zmarszczonéj twarzy, i już kostnieć poczynała, opadając bez władzy i ruchu.

— Wody! wody! ratunku! zawołał Jan nieprzytomny.

A Małgorzata zbliżając się rzekła:

— Na co wody, paneczku? Nieboraczka umarła już dzięki Bogu!

Spojrzał syn i postrzegł, że prawdę mówiła stara. Dobył sił dla zamknięcia jéj powiek jeszcze we łzie otwartych, i usiadł obok łoża nędzy na ławie, powtarzając w duszy machinalnie:

— Za późno wróciłem! mój powrot ją zabił! mój powrot ją zabił!

Cała noc zeszła mu u lichego łoża umarłéj, któréj nędzę i męczarnie sobie wyrzucał.

— Nie lepiéjże było—mówił—pozostać tu przy niéj, wspomagać ją w starości, uprawiać ten ziemi kawałek i żyć tém życiem, którém żył ojciec, dziad; życiem cichém, nieznaném, ukrytego w trawie robaka? Cożem

zyskał? Wielkie myśli, które zginą ze mną, wielki niepokój i niepewność, męczarnie! Straciłem jedno serce, które mnie kochało na ziemi, jedno i jedyne. O! dla sztuki jak dla wiary czyż wszystkiego się zaprzeć, wszystkiego wyrzec potrzeba, wszystko jéj spalić na ofiarę?

W gniewie na siebie, w smutku głębokim przebył noc całą na ławie. Ten domek osierocony teraz, którego został dziedzicem, był mu drogą pamiątką cierpień i życia matki. Nie miał krewnych, przyjaciela, opiekuna, nikogo. Co począć z sobą? Świat był mu obojętny, a wielka świeża strata zmniejszyła jeszcze jego wartość.

Nad rankiem Małgorzata, z babami przybyłemi z miasteczka, poczęła się zaprzątać około pogrzebu, umywać ciało, ubierać je dla wystawienia na tapczanie w pośrodku jedynéj izdebki. Twarz zmarłéj świeciła pokojem, jakby błogosławieństwo, które oddała Janowi, wszystkie nici łączące ją ze światem cierpień, zerwało.

— Paneczku! zawołała Małgorzata: a macież wy na pogrzeb pieniądze?

To zapytanie dopiero przywołało Jana do rzeczywistości. Ostatniéj posługi matce nie było oddać za co! kilkanaście złotych całą było pozostałością, z którą przyjechał Jan.

— U nas wątpię, żeby był jaki grosz, mówiła stara; bo jejmość żyła ubogo, skąpiła strasznie, odmawiała sobie wszystkiego, a pracowała, że aż oczy traciła biedniaczka. Gdyby miała, toćby sobie tak nie żałowała, i słudze staréj a wiernéj. A Bóg widzi, żeśmy cały rok pościły i w łataném chodziły tylko, nawet do kościoła. Pod poduszczyną są klucze; niech-no pa-

nicz je weźmie; pójdziemy, a poszukamy odzienia dla nieboszczki.

Machinalnie powlókł się Jan do bokówki, gdzie stała jedyna skrzynia, ale zupełnie pusta. Trochę w niéj tylko bielizny, kilka zużytych gałganów...

— Gdzież się podziały jéj zapasy odzienia, sukni? spytał syn. Czemuż nie odezwała się do mnie o pomoc? Byłbym dał duszę, a przysłał jéj coby chciała! A! taka nędza! taka nędza!

Wtém Małgorzata podniosła brudny kawał płótna i krzyknęła:

— Toż co? A toż co? W imię Jezusa Pana! Toć to worek z pieniędzmi!

W istocie, spory wór z prostego płótna leżał w kąciku gałganami pokryty.

Przy nim była karteczka szara, wydarta z książki od nabożeństwa, a na niéj krzyżyk skreślony niezgrabnie i napisane nieforemnie słowa: „Dla mojego Jana.”

Syn w rozpaczy załamał ręce, padł czołem na skrzynię.

Całe jéj życie dobrowolnéj nędzy, pracy bez spoczynku, z utratą zdrowia, składało się na ten dar pośmiertny. Ona była sercem cała, cała matką. Małgorzata zdumiona stała, ruszyć się nie mogąc, i wyrzucając sobie zapewne, że wprzód nie dośledziła bytności tego worka, który teraz przechodził na własność Jana. Jan ucałował go ze łzami, ale w sercu rzekł:

— Nie tknę grosza z niego! święte to pieniądze! bo z wielkiém poświęceniem zebrane, pójdą za duszę twoją, na grób twój i pogrzeb, dla jedynéj sługi, co lepszém była dziecięciem odemnie. Jam ich niegodzien.

Nazajutrz wspaniały, na jaki tylko zdobyć się było można, pogrzeb zdziwił miasteczko i okolicę. Zbieg-

li się nań wszyscy z sąsiedztwa. Kościół wystąpił z całym przepychem wiejskim; a tłumy szły za trumną biednéj matki, którą syn utrzymywał na wozie czarnemi wołami ciągnionym.

Reszta pieniędzy pozostała na msze, na pomnik, na wynagrodzenie Małgorzaty, któréj oddał wszelki sprzęt po matce, i na jałmużny. Krzyż tylko, medalik noszony na piersiach, włosów trochę i srebrny ślubny pierścionek zatrzymał Jan dla siebie.

Oddalić się z tego miejsca potrzeba było, a trudno dla serca. Komu powierzyć dom? komu zadzierżawić rolę? godziłoż się ją sprzedać? Téj myśli Jan przypuścić nie mógł. W kilka dni sąsiedzi zaczęli przybywać z propozycyami nabycia, mniéj więcéj korzystnemi, ale zawsze poczynając od tego, że kawałek ten nic nie wart, i że tylko dla niego, przez szczególny wzgląd, przez przyjaźń, przez jakiś affekt nagły i gwałtowny, dać mogą tyle a tyle. Każdy niby z łaski go chciał kupić.

Jan wszystkim podziękował i odpowiedział, że nie sprzeda.

Strzelec sąsiednich lasów zadzierżawił chatę i rolę z warunkiem, aby w niéj nic nie odmieniał i wszystko pozostało jak za życia matki było. Odwiedziwszy Kapucynów i grób matki, na którym odzyskał pragnienie modlitwy i pobożność młodzieńczą gdyby cudem, Jan ruszył do Wilna. Wspomnienia młodości wiodły go tam na lep swój zdradziecki. Było to jedyne miejsce, z którego mu zostały pamiątki miłe i pociągające; ale między odjazdem a przybyciem taka rzeka lat i kału przepłynęła, tyle wypadków i uczuć! Wszystko tam teraz okrutnie do niepoznania zastał zmienione.

Ledwie wysiadłszy, poszedł pytać o Batrani'ego. Stary Włoch umarł; wdowa po nim z dziećmi pozostała zubożała i wiodła najnędzniejsze życie w domu na Zarzeczu, gdzie wynajmując resztę lokatorom, sama stała, na tyłach. Długi nieopatrznie zaciągnięte dojadały ją i groziły najzupełniejszym niedostatkiem. Jan czując obowiązki dla rodziny Batrani'ego, pośpieszył ku niéj.

Niedaleko od mostu, ku rzece posunięty, w części na palach oparty, stał lichy domek, w połowie drewniany, w połowie z muru starego. Pochylony, z dawna niepodparty i niepoprawiany, brudny, zdawał się grozić upadkiem; ze wstrętem zbliżał się każdy ku niemu, tak niechlujne otaczały go kałuże. Mieszkańcy, po większéj części zamesznicy i skórnicy, których tu blizkość rzeki zwabiała, obrzydliwemi wyziewami fabryki napełniali powietrze. Mydlarz Żyd mieścił się z nimi na dole. Sznury pozawieszane skórami przecinały dziedziniec w różnych kierunkach; kupy garbarskich reszt zalegały wszędzie, a smrodliwy rynsztok wiódł wody i fusy mydlarskie do rzeki, która je zabierała z sobą. Czarna połamana galerya okrążała wewnątrz czworościenne domowstwo, wspierając dachy nadgniłe budowli. Tu, dawniéj pieszczona Maryetta, mieściła się w dwóch ciemnych izbach z dziećmi, które podrosły i popsuły się zaniedbaniem i nędzą. Syn starszy wyrósł na hultaja, rozpieszczony i ukochany; młodsze wyuczyły się złego, znękane i prześladowane od matki. Znienawidzeni przez nią biedni Batrani'ego ulubieńcy chodzili w łachmanach; a starszy przepijał i tracił co zarwał, powracając do matki niemal codzień pijany, obity, obdarty, jeśli nie nocował pod wartą.

Na widok tego przerażającego obrazu serce Jana

się wzruszyło, zapłakał. Wszystkie roboty męża posprzedawała żona za bezcen, nic nie zostawiwszy nawet na pamiątkę, i wyrzucając biednemu zmarłemu nędzę, któréj sama była przyczyną, którą zwiększał nieład i rozpusta najohydniejsza.

— O! toż ma być los dzieci biednego artysty? spytał się Jan w duszy. Nie! nie! to być nie może.

Dawniéj tak piękna Maryetta, teraz z zagasłemi oczyma, wychudła, obrukana, schorowana, przyjęła gościa, nie poznając go i nie umiejąc sobie wytłómaczyć co sprowadzało tutaj porządnie ubranego mężczyznę.

Ledwie się jéj potrafił przypomnieć. Zaczerwieniła się, zapalczywém na niego i dumném rzuciła okiem. Niechęć, gniew, nienawiść jeszcze w tém dzikiém sercu nie były całkiem zagasły.

— Idź pan sobie! zawołała wzgardliwie: nic nie potrzebuję od niego! Batrani twój poczciwy zostawił mnie z dzieciskami swemi w nędzy. Bodaj cierpiał na tamtym świecie jak ja tu cierpię, głupia, com za niego poszła! Nie przypominaj mi go, abym nie klęła.

A gdy Jan drżącym głosem spytał o ryciny lub obrazy, czyby ich nabyć nie mógł? z przeklęctwem bezwstydném i obrzydliwém, zamknęła mu drzwi przed nosem kobieta.

Ale zaledwie kilka kroków odszedł za wrota, starszy synek jejmości dogonił go w ulicy.

— Jegomość! zawołał kiwając ręką na niego i stając nad rynsztokiem, w który pluł dla zabawki.

— Co chcesz?

— Daj mi jegomość dwa złote na piwo!—I zrobił minę głupowato-uśmiechniętą wyciągając rękę.—Ja przyniosę za to rysunek ojcowski. Było ich wprzódy dużo i na płótnie i na papierze, ale dyabli wzięli.

Jan żywo wyciągnął rękę ku niemu, podając mu pieniądz, i uciekł.

Obrawszy sobie ubogie mieszkanie na Zamkowéj ulicy, może przez pamięć, że tu mieszkał z Batrani'm, którego polecenie spełnił, modląc się jak umiał na grobie jego matki we Florencyi,—Jan począł myśleć, co pocznie i jak żyć daléj będzie?

Dotąd zadaniem jego była sama sztuka; teraz się odkrywała druga strona, strona czarna zagadki:—zastosowanie sztuki do życia, pogodzenie obojga. Poświęcić się dla materyalizmu korzyści i bytu dobrego, obrócić natchnienie w chleb, godziłoż się? Pomyślawszy, że w téj drodze za zarobkiem nieraz przyjdzie zaprzeć się sztuki, zdeptać myśl i poniżyć się do wyrobów bezdusznych, drżał i oburzał się artysta. W pełni życia, talentu, siły, czuł się usposobionym do tworzenia, do wydania swych myśli; ale w kraju, który mu los wydzielił, jak było użyć talentu? kto go potrafi ocenić? kto go nagrodzi współczuciem? Czasy Stanisławowskiéj stypy przechodziły, walką wrzał kraj cały; obraz i dzieło sztuki w obliczu ważących się wielkich losów ludu, były nikczemne, nieznaczące. Co pozostawało artyście? Czekać i cierpieć.

Tak, ale i żyć było potrzeba.

Jan więc musiał wynijść z apatyi, ruszyć się i szukać chleba.

Wiele go kosztowała robota niestosowna i upokarzająca, którą mu dawano; przecięż zdobył się na odwagę potrzebną, i w dumie znalazł środek do zniżenia się bez skalania. Robił ręką bez duszy, z gorzkim uśmiechem, owe malowania na murze, które kilka tygodni, nieznany nikomu, dla chleba podejmować musiał.

Nie umiał prosić, starać się, zabiegać; nie wiedział co począć z sobą.

Błądził jak obłąkany. Świeża strata matki, wspomnienia włoskie, obraz rodziny Batrani'ego, przejmowały go do głębi, wprawiały w rozpacz, zobojętnienie, odrętwiałość.

Nareszcie zebrawszy dostateczne fundusze, otworzył malarnię na Zamkowéj ulicy, i kilka wierszy za opłatą wydrukował w gazecie, oznajmujących o przybyciu malarza, ucznia Bacciarellego, powracającego z Włoch. Tytuł ucznia Bacciarellego podyktowano mu życzliwie, gdyż w jego przekonaniu nie było wcale czém się chwalić; ale u nas dzięki cudzoziemskiemu nazwisku, Bacciarelli więcéj ma dotąd sławy od Smuglewicza, Czechowicza i Leksyckiego.

To ogłoszenie w gazecie, powtórzone razy kilka, zwabiło naówczas licznie zgromadzonych na Święty Jerzy obywateli litewskich.

Zbiegł się tłum do mieszkania malarza, otwartego dla wszystkich. Wielkie jego obrazy przywiezione z Rzymu, kopie cudnie wykonane z Rafaela i Dominiquina, którychby się sławny Guizzardi z Bolonii ani Michele Micheli florencki, naśladowcy starych arcydzieł, nie powstydzili, zwracały nawet nieznawców oczy.

Lecz serce mało nie pękło malarzowi, co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie umiejącego sądzić dzieła artystów, tak nieodwołalne wydającego wyroki—gdy usłyszał sądy i zdania swojéj rodzinnéj publiki.

Wybrane towarzystwo nasze niżéj daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, niżeli włoscy lazzaroni.

Słuchając uwag, zapytań, uniesień swych ziomków, Jan zmartwiał.

— U nas—rzekł do siebie smutnie—nie godzi się być artystą. Jest to samobójstwo; jest to rzucanie się dobrowolne na pastwę dzikim zwierzętom cyrku, co szarpią cię nie czując, że w tobie mieszka duch boży, natchnienie święte.

Po téj próbie, przyszłość czarniejszą jeszcze ukazała się Janowi, Potrzeba było wracać do Włoch, lub malować dla siebie bez nadziei zrozumienia, ocenienia; ale z czego i jak żyć? Nie miał nawet komu wylać swoich cierpień i podzielić się niemi. Lepsze towarzystwo, do którego był przywykł za granicą, tu go odpychało jak rzemieślnika prawie; z niższymi, co go zrozumieć nie mogli, sympatyzować nie potrafił.

Kilka dni, w ciągu których za zasłoną, często czasem za drzwiami, lub siedząc na oczach, wysłuchał zdań o swoich obrazach, stało mu za wieki męczarni. Głosy to były prorocze na przyszłość. Twarz mu się zmieniła, oczy wciągnęły, policzki zapadły. A jeść ledwie miał co! Ostatniego dnia, nie mając już nadziei sprzedać co ze swoich robot, siedział zadumany i zrozpaczony, gdy kareta jakaś zatrzymała się przed domem.

Lokaje przybiegli naprzód, oznajmili wielkiego pana, który wszedł poważnie w kapeluszu na głowie, w płaszczu, z rękami w kieszeniach, i prosto skierował się ku obrazom. Jan także nie powstał na jego przyjęcie.

Hrabia zmierzył go oczyma, i powrócił czmychając do obrazów, suwając po nich osowiałym wzrokiem.

Śmierć Adonisa, przedmiot kilkakroć traktowany przez różne szkoły włoskie, obraz, w którym Angiolina była Wenerą, najgłówniejszym był utworem Jana.

Wszyscy się zgadzali, oddając mu największe pochwały. Angiolina była tu wyidealizowana i upiękniona jeszcze. Na Adonisa stał wzorem najprześliczniejszy Rzymianin. Pejzaż cudowny otaczał tę parę, któréj koloryt miły, harmonijny, złocisty i rysunek poprawny a lekki, zachwycały.

— Co za tę sztukę? spytał amator. Przypadłaby mi do salonu—pobożne obrazy nie w modzie—gdyby nie drogo! Wenus wcale niczego!

— Ten obraz—rzekł Jan wstając powolnie—kosztował mię prawie rok pracy i pensyi królewskiéj; jest to dzieło, na którém zakładam sławę moją; nie chciałbym się z niém rozstać, nie będąc pewien, że czy poznają się na niém tu ludzie czy nie, cenić go będą przynajmniéj dla pieniędzy, które kosztował. Nie oddam go od tysiąca czerwonych złotych!

— *Peste!*

Hrabia osłupiał, popatrzał, plunął, zawinął się i odszedł.

Powrócił od drzwi, zmierzył oczyma Jana i spytał:

— Waćpan oszalałeś?

Nic nie odpowiedziawszy, rzucił się malarz na krzesło.

Obrażony już hrabia, wskazał laską na kopię niedbale zarysowaną Świętéj Cecylii Rafaela, którą we Florencyi począł Jan dla siebie. Była ona niewykończona, ale rozmiary obrazu i świeży koloryt złudziły amatora.

— A ta sztuka? zapytał.

— Dwadzieścia.

— Dla czegoż to różnica tak wielka?

— To kopia i niewykończona.

— Dam dwadzieścia, ale mi ją skończysz.

— Na to potrzebaby wrócić do Florencyi, aby sumiennie zrobić. Kończyć zaś tutaj, dorywczo, na pamięć, to popsuć.

— Nic nie rozumiem! to jakiś szaleniec! rzekł pan, ruszając ramionami. Więc nie kupię?

— Jak mu się podoba.

Mrucząc zszedł nieukontentowany amator, który tegoż dnia kilka szkaradnych płócien kupił, tak właśnie jak Stany Zjednoczone Ameryki kupują w Rzymie wszystkie szkarady, nie droższe nad cztery czy pięć szyllingów. Cena stanowiła tu obraz.

O południu mlekiem i bułką posilił się Jan i czekał.

Nadeszło kilka osób znowu, ale przez prostą tylko ciekawość, nie dla kupienia czegokolwiek. Dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydzono, porównywano, prawiono głupstwa i brudy, aż odeszli nareszcie.

Trafił się jeszcze amator drugi, który, jak sam powiadał, potrzebował obrazów *dla tonu*, bo je wszyscy wielcy panowie mieli. Był to dawniéj kuchmistrz pana Ogińskiego, który, gdy wielki pan się zrujnował, skupił po nim i wziął w długu znaczne dobra, i zaczynał grać rolę pana.

Zachciało mu się z kolei obrazów. Sądził, że ich za bezcen dostanie, a o wartość wewnętrzną wcale mu nie chodziło, bo jéj nawet nie przypuszczał. Zniecierpliwiony jego napuszoną gadaniną Jan, gdyż kuchmistrz-amator chciał zakupić wszystko razem, a dawał tyle ile za jeden dać było można—prosić go musiał wreszcie, aby raczył pójść za drzwi. Kuchmistrz odszedł, trzaskając drzwiami i klnąc na całe gardło.

Nazajutrz też same sceny z tysiącznemi odmiana-

mi. Dwie tylko osoby w tłumie mógł Jan wyróżnić, i o nich w notatkach, z których czerpiemy, zostawił wspomnienie.

Z rana bardzo wsunął się człowieczek średniego wieku, zgarbiony, o lasce, w okularach, w futerku, aksamitnych bótach i ciepłych jedwabnych rękawiczkach. Bladém okiem powiódł po obrazach. Głowa jego wyłysiała, okryta była czapeczką czarną, któréj nie zdejmował.

Spojrzał po pokoju, jakby chciał zmierzyć nędzę Jana, i pociągnął nosem; popatrzał na okruszyny bułki i resztę mleka niedopitego na stole; potém dopiero wziął się do obrazów. Pilnie, szczelnie, oglądał je z kolei, kiwał głową, robił minki, uśmiechał się, kłaniał, przecierał okulary, ale nic nie gadał. Niekiedy z ukosa spojrzał na malarza, i znowu pilnie zdawał się badać obrazy, choć daleko pilniéj przypatrywał się zbladłéj twarzy Jana.

Po godzinnym prawie przeglądzie, który już zniecierpliwił artystę, zbliżył się nareszcie do niego, pytając o cenę kopii Madonny z Rafaela, maluteńkiéj, ale *con amore* wykończonéj, jakby dla oszukania znawcy.

— To bardzo śliczne! mógłbym to mieć?

— Rzecz mała, a ja do niéj dość przywiązuję wartości.

— Doprawdy? ale cóż przecię za cena?

Jan powiedział ogromną, staruszek sie cofnął, uśmiechnął i położył obrazek.

— Cóżby kosztował oryginał? zawołał.

— Oryginał sprzedany był w Rzymie za tysiąc funtów sterlingów, a kopia Andrea del Sarte za mało co mniéj.

— Toż przecię Andrea del Sarte!

Jan się uśmiechnął.

— To też cena moja jak imię—mała.

Nieznajomy odskoczył, wrócił od progu.

— Gdybym się mu ośmielił ofiarować dziesięć dukatów.

— Jabym nie przyjął, rzekł grzecznie Jan.

— Piętnaście.

W téj chwili nędza grożąca przyszła na myśl Janowi, i rzekł rzucając się na siedzenie:

— Bierz pan, ale niech nie patrzę. Jest to pamiątka, z którą mi rozstać się trudno.

Malował tę kopię u miss Rosy.

Nieznajomy dobył woreczka, wybrał jak najsumienniéj poobrzynane dukaty i położył na stole, wsunął obrazek pod futerko, i skłoniwszy się grzecznie, odszedł zwycięzki. Tegoż dnia amator ów, handlarz, wziął 100 czerwonych złotych, przedając płótno za oryginał z galeryi królewskiéj skradziony przypadkiem i skrycie wywieziony z Warszawy. Staruszek ten zajmował się wszelkiego rodzaju handlem i lichwą. Mieszkanie jego pełne było obrazów, ponabywanych na licytacyach, sprzętów starych, sreber, mebli, kosztowności i rupieci najrozmaitszych. Trochę znajomości, a wiele szarlatańśtwa i wprawy, dawało mu łatwość nabywania i korzystnego odsprzedawania obrazów. Młodzi panicze, starzy głupcy i biedne kobiety padali jego ofiarą.

Mając Jana w ręku, bo poznał niedostatek, postanowił okrzyczeć go za bazgracza, a sam korzystać ze sprzedaży jego robot, podkurzając je, naklejając na stare płótna i fabrykując cenne oryginały dla nieuków. Starzec ten bezdzietny i bez familii, skąpiec godny służyć za wzór dla Moliera, zastawił swoje sidła tak

zręcznie, że nikt już nawet nie zajrzał do malarni artysty.

On czekał tylko, póki nie wyjdą owe piętnaście obciętych dukatów, gotując się sam i przez swych wysłańców ponabywać resztę obrazów za lichą cenę.

Tymczasem kolledzy malarze, wydrwiwali przybysza, nie widząc nawet jego robot, i wymyślając na niego najdziksze potwarze dla obrzydzenia. Jan w kilka dni widząc, że wystawa była próżna, zamknął się znowu, i postanowił nie dopuszczać więcéj nadaremnie błota tylko nanoszących ciekawych.

Rzucił się do pracy, jak do jedynego lekarstwa na boleść, i dopóki stawało pieniędzy, malował od rana do wieczoru; znużony wychodził błąkać się nad Wilią.

Od dwóch czy trzech dni, równie ubogi i biedny snycerz, krajowiec z Włoch przybyły, a jako krajowiec odepchnięty wszędzie, gdy właśnie dla restauracyi katedry sprowadzono Włochów, przywiązał się z namiętną radością do Jana. Obaj razem będąc, mówili przynajmniéj o Włoszech, i pocieszali się podzielając myślami. Obaj narzekali na powrot do ojczyzny, gdzie artysta, poeta, im bardziéj artysta i poeta, tém pewniejszy umrzeć z głodu, nędzy i niepoznania. Tymczasem bazgracze umiejący pochlebiać, płaszczyć się, uniżać i przemawiać jak kto chciał, robiąc co się komu podobało, bez pojęcia sztuki, bez myśli, bez sumienia i zapału w wykonaniu, zbogacali się codzień. Jan chciał wszystko co miał sprzedać i do Włoch powrócić.

— Będę żebrał—mówił—będę żebrał patrząc na cudne ruiny, na arcydzieła mistrzów, mając z kim myślą się i wzruszeniem podzielić. Zostanę *ciccrone* przy jakiéj galeryi, stróżem jakiego pustego pałacu w Wenecyi.

W istocie nic go nie wiązało do kraju od śmierci matki. Kilka razy od czasu przybycia do Wilna, chodził ku oknom, gdzie widywał Jagusię, ale tam mieszkał już kto inny, a dziewczę znikło jak sen.

Różność charakterów tych dwóch ludzi łączyła ich silniéj może jeszcze, niż podobieństwo przeznaczeń i jedna u obu miłość sztuki. Snycerz jak Jan dziecię ubóztwa, dziwnym trafem mając w ręku dłóto i młot artysty, opuszczony od swoich, wspomagany przez obcych dumnie i pogardliwie, z ową wzgardą, która odejmuje wartość nawet dobremu uczynkowi, poniewierany, zmuszony zamknąć się w sobie, nabrał niechęci ku światu, odrazy ku wszystkiemu co błyszczy, upodobania w samotności, niewiary w los i ludzi, które odznaczają prześladowanych, biednych, a w duszy czujących się godnymi lepszego czegoś nad to, co mają. Tytus Mamonicz, jedyny potomek dawniéj możnéj i znacznéj w Wilnie rodziny, kosztem kilku dalekich krewnych i Chreptowicza, wyszedł i wyuczył się na snycerza. Ale wśród studyów swych we Włoszech nagle opuszczony, zapomniany, o chlebie suchym przywlókł się do kraju, do którego czuł nioopisaną tęsknicę. Powrócił; ale niedługo potém mówił z gorzkim uśmiechem Janowi:

— Nie było po co!

Nikt go nie znał, nikt nie chciał, nikt nie potrzebował.

Powierzchowność wcale nieuprzedzająca, bo Mamonicz był mały, czarny, o kwadratowym torsie, muskularnych rękach, które praca powiększyła jeszcze, szerokich ramion, szerokiego czoła, dumnego szyderskiego uśmiechu, z jakimś wyrazem w twarzy, któryby Porta nazwał pokrewieństwem z bykiem,—powierzchowność nie pociągała ku niemu. Spojrzenie prze-

nikające, bystre małych czarnych jego oczu, czasem przykre było jak uderzenie; a gdy mu towarzyszyło skrzywienie warg, cofnąć się było można od niego, tak srogim wyrazem przerażał. Lecz w innych chwilach też same oczy bywały słodkie, bywały zadumane i niewinne jak dziecięcia.

Tytus Mamonicz, pomimo najlepszego serca, szydził ze wszystkiego. Ubóztwo zniszczyło w nim, pozornie przynajmniéj, w głębi najszlachetniejsze instynkta. O wygody życia dbał bardzo mało, i żadnéj do nich nie przywiązywał wagi; cały zajęty sztuką, miał ją za cel jedyny, a resztę za dodatki. Tych, co sztuki nie pojmowali, bez litości wskazywał hurtem na pogardę powszechną. Dobroczynny, ale raptusowo i jakby od niechcenia, w sercu pełen namiętności i uczucia, szydził, aby pokryć jak wiele cierpiał, jak czuł wiele. Życie, świat, ludzie, dla niego, mawiał, byli ziarnami piasku. Wytrwałość stoika, niekiedy cyniczna obojętność na przyzwoitości, piętnowały go także cechą mu właściwą. Jan przeciwnie pełen uczucia, ale przelewającego się co chwila z ust jego i oczu, choć zahartowany, przecięż łatwo przeciwnością się złamać dający, czulszy a mniéj pamiętny, przy Tytusie twardym i obojętnym przeciw losom, wyglądał na słabą niewiastę. Poprzyjaźnienie się ich, dla obu było wypadkiem wielkiéj wagi. Nic o tém nie mówiąc, poprzysięgli sobie wieczny związek i przywiązanie niezłomne. Tytus rzekł w duszy: „Wszystko dla niego;" Jan: „Nie rozdzielimy się nigdy." Ale gdy pierwszy rozważał już jakby przyjacielowi dopomódz, drugi tylko rozmyślał nad odkrywanemi codzień przymioty Tytusa.

Codziennie Tytus przychodził do Jana, a widząc go

zrażonym, przygnębionym, smutnym, szydził po trosze dziwując się, iż tak łatwo zwalczyć się daje.

— Co u licha! mówił: masz chleb powszedni, masz dach, czas swój nikomu niezaprzedany, czujesz w sobie natchnienie, a skarżysz się? Czegoż ci u kaduka potrzeba?

— Wiesz? współczucia! poklasku! zachęty! rzekł Jan.

— A! dymu!

— Nie dymu, Tytusie! Pomyśl, ilu to wielkich ludzi stworzyło współczucie i oklaski ludu! Czyby Rafael stworzył kiedy swe loże i freski, gdyby go następca Świętego Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłżeby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześciaństwa kościół, gdyby nędza i zapomnienie marzyć nawet o tém dziele nie dozwalały? Wierz mi, los, traf, szczęście czy Opatrzność, jak je nazwać zechcesz, wiele wpływają na podniesienie człowieka. Wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiéj nieuwagi spowodowanéj wypadkami, i odepchnione zostaje zimno. On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznéj, traci siłę, zapał i gaśnie. Ileż takich nieznanych upadło geniuszów!

— Być może, ale w naszéjże mocy temu zapobiedz? W naszéj tylko nie zrażać się i pracować, nie szukać zasiłku po za sztuką i żyć nią samą.

— Tak! daj na to siły! Jeżeli ich zabraknie, giniemy.

— Nie! nie ginąć, wytrwać i żyć! Z losu przeciwnego drwijmy. Righi dał mi modelować statuetkę, którą potém sam ma poprawić; będę miał na miesiąc roboty i chleba. Jużem syt i szczęśliwy. A głową

tymczasem marzę, marzę, o mojéj gruppie Herkulesa ze Lwem! Co za szczęście marzyć! Dni, noce, widzę tę swoją gruppę przed sobą ze spiżu wylaną, na wspaniałéj podstawie! gdzieś tak jak Perseusz Benvenuta! Lecz potrzeba mi gwałtem wzoru do Lwa rozjuszonego, a o to do licha trudno. Często mi przychodzi na myśl dać się schwytać w niewolę algerskim piratom, aby się dostać do pustyń libijskich. Tam pójść do do schronienia lwicy, rozjuszyć ją, walczyć i schwytać do swojéj gruppy! Na Herkulesa dyable mi też brak wzoru. Naprzykład ręce! ręce! Wyobrażasz ty sobie ręce Herkulesa, napięte od wysilenia, muskularne, potężne, żelazne a piękne! Cały tors najeżony muskułami, a nieskarykaturowany przecięż niemi; twarz wyrażająca odwagę zimną! Obok złośliwe, gniewne, bezsilne miotanie się lwa w ręku bohatera! Co za przedmiot dla snycerza! jaka gruppa! Odlana z bronzu, postawiona gdzie w stolicy...

— Mój drogi! rzekł Jan: odlewaj ją w myśli, bo inaczéj...

— W myśli! to właśnie najlepiéj. Umrę z mojém arcydziełem, pieszcząc się niém i codzień mu coś dodając. Ot, wiesz co Janie? i ty zrób podobnie. Utwórz sobie myśl wielką, pracuj nad nią, a świata zewnętrznego nie uczujesz... Wyobraź sobie naprzykład ogromne płótno jak jedna z uczt Weronezyusza, a na niém...

— Cóż na niém? spytał Jan.

— Co? ogromną jaką kompozycyę, którąby życie ci kosztowała całe. Naprzykład wystawiłbym chrześcianina rzuconego na pastwę zwierzętom w cyrku. W górze Neron, widzowie, tłum głupi, drudzy oświeceni nagle męczeństwem, i spokój oblicza Świętych

nie czujących nic, i zażarcie bestyj głodnych, i tylu ludzi!... Co za sprzeczność, ile charakterów, jaki obraz!

— A gdzież go umieścisz?

— Na ścianie.

— Kiedy nie będzie nawet za co nająć ściany, żeby go rozwiesić—kupić farb, żeby go odmalować!

— To zawieś go w duszy twojéj, odparł Tytus. Tam mu będzie najwygodniéj.

Jan nie zrozumiał spełna słów przyjaciela, i nie pojął, jakby obraz chrześcianina, męczennika zaludnił był pustynie jego duszy.

Rozprawiali tak codzień, a codzień Jan bardziéj upadał na siłach.

Jednego dnia z wieczoru przyszedł snycerz weselszy niż wprzódy, chodził po izdebce i świstał.

— Co to? spytał: nie malujesz, Janie?

— Ochota mi odpadła! Dla kogo?

— Dla przyszłości, dla potomnych.

— A! daj mi pokój z nimi!

— Patrz co za różnica między nami! Jam znowu szczęśliwy. Robię za kilkaset złotych dwanaście posążków drewnianych do kościoła Karmelitów na Żmujdzi. Otoż będę ciął drzewo! toż to wyrzucę z duszy tyle oryginalnych postaci! Prawda, że praca tania, że ledwie jest wyżyć za co, ale co mi tam! Chleb bielszy czy czarniejszy? trochę go mniéj lub więcéj? Nie samym chlebem żyje człowiek! Będę tworzył, będę marzył! Robię makiety, roję fizyognomię dla Świętego Piotra (zobaczysz, co za majestatyczną dam mu łysinę), dla Świętego Pawła, dla ukochanego Jezusowi Jana (będzie to twój portret), dla Jakóba!... Jest czém żyć długo i po królewsku! A teraz chodź-

my nad Wilię! Przechadzka jest dla mnie potrzebna, ruch, powietrze, ludzie, i tém się żyje także. No, chodź, mój gnuśny rozpaczliwcze! i rozpogodź czoło!

To mówiąc, pociągnął go gwałtem prawie za sobą..

Wiosna była tak świeża, piękna i porywająca, że Jan nawet rozmarzył się, poglądając na nią. Mamonicz co chwila unosił się i wykrzykiwał, wskazując umyślnie rozmaite postaci, różne świateł i cieni rzuty malownicze, dla zajęcia przyjaciela i ożywienia go. Wtém na zakręcie ulicy, która od dawnego zamku biegła ku Antokolowi, powóz wytworny ówczesną modą, fabryki sławnego Dangla, zwrócił ich oczy. Cztery piękne konie tarantowate, wolnym kłusem umyślnie zapewne idące, przesuwały się, pociągając za sobą spuszczoną karetę. Dwóch wygalonowanych służących stało z tyłu, w pośrodku siedzieli mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna, młody jeszcze człowiek, blondyn, wytwornie bardzo ubrany, z wyrazem pańskiéj obojętności na ustach i czole, tak zdawał się podobny do owego wojewodzica, którego Jan spotkał w drodze do Warszawy i któremu był winien umieszczenie u Bacciarellego, że malarz zastanowił się, wahając, czy ma się ukłonić lub nie. Ale wojewodzic po upływie tylu lat mógłże go poznać? Oczy artysty padły mimowolnie na siedzącą obok kobietę, piękną jak piękny być może wzór, któryby obrał artysta do głównego swego obrazu. Siedziała w powozie z wdziękiem pięknéj pani, co każdy swój ruch stara się uczynić idealnym; która wie, że jest piękną, i korzysta z tego. Zgięcie białéj jéj szyi, założenie rączek, zmrużenie oczu, niedbałe niby osunięcie ciała utopionego

w poduszkach aksamitnych, prawdziwie były malownicze. Niezbyt biała, z czarnemi oczyma, czarnemi brwiami zakreślonemi jakby pendzlem Chińczyka, z maleńkiemi usteczkami różowemi, zdawała się znużona, nierada sobie. Wzrok jéj w przeciwną od mężczyzny biegł stronę; nuda, ten trąd duszy, widocznie ją pożerała. Wzrok téj kobiety przez chwilę zatrzymał się na Janie, a Jan, spotkawszy go, doznał wzruszenia jakby od przebiegających po piersi płomieni. Kobieta odwróciła się za nim raz jeszcze. Mężczyzna obok siedzący, śledząc na co poglądała, odwrócił się także, spojrzał uważniéj na Jana, który sięgał do kapelusza, pozdrowił go uprzejmie skinieniem głowy z uśmiechem, i kazał zatrzymać konie.

Jan zbliżył się do powozu, od którego z daleka pozostał Mamonicz.

— Nie mylę się, rzekł dość grzecznie wojewodzic: nie jestżeś pan tym artystą, którego miałem przyjemność spotkać lat temu kilka i... polecić poczciwemu Bacciarellemu?

— Tak jest! odpowiedział Jan, rumieniąc się, bo to wspomnienie w obec kobiety wpatrującéj się w niego ciekawie i zalotnie, ubodło go okrutnie. Ja to jestem szczęśliwy, że mogę mu wynurzyć prawdziwą wdzięczność.

— Cóż się z panem stało? Nie widziałem go ostatniemi czasy w Warszawie?

— Byłem we Włoszech.

— A! byłeś pan w Rzymie! A więc doszedłeś celu upragnionego! Lecz dla czegoż wróciłeś tutaj?

— Sam się teraz pytam o to siebie. We Włoszech tęsknota do kraju wypędzała mnie do domu; w Warszawie zbyt wielu znalazłem artystów i umieścić

się było mi trudno. Sądziłem, że tu łatwiéj mi pójdzie; lecz dotąd...

— O! domyślam się jak ciężko iść musi! U nas sztuka nic płaci. Proszę go jutro do siebie. Mieszkam w pałacu Ogińskich, moich krewnych... O czwartéj z południa.

Jan ukłonił się i odstąpił; powóz ruszył.

Ta króciuchna scena, w ciągu któréj kobieta milcząca wpatrywała się z ciekawością nudy nowemu przedmiotowi mogącemu ją rozerwać, trwała chwilę; ale melancholiczne, czarne oczy pani poruszyły do głębi biednego artystę i zawróciły mu głowę, tyle w nich było wyrazu zaczepnego, tyle wyznań, tyle obietnic.

Jan w saméj sile młodości, piękny jak Antinous, a nietknięty dotąd żadną gwałtowną namiętnością, prócz dziecinnego przywiązania do Jagusi, urodzonego w oknie a skończonego w kościele, mógł roić bez zarozumiałości, że choć raz w życiu znajdzie to, co drudzy spotykają co chwila: miłość. Ta myśl rozweseliła go i sił mu dodała. O kilka kroków spotkał się z Mamoniczem, który szydersko spojrzał mu w oczy, tak, że go zmieszał i zarumienił, a potém dodał z uśmiechem nielitościwym:

— Cóż tam, Jasiu kochany, cieszymy się?

— A! znalazłem protektora.

— Myślę, że i protektorkę razem. Widzę już twoje nadzieje, jak rybki pływające w przezroczystéj wodzie. Ale biada ci, jeśli się tym rybkom unieść pozwolisz! Nie dla nas życie i stosunki, które zdają się tu czekać cię. Miłość téj pani może cię kosztować życie: ona znudzona tylko, tyś zapalony i zaufania pełen. W domownictwie panów wiele zapewne

zyskać możesz, ale drogo to opłacisz. Nie milszaż ci nasza swoboda, nasze poufałe rozmowy, nad grzeczne ich wzgardy, dobrotliwe, protekcyonalne szyderstwa? O serce tam trudno!

— O! jak niesprawiedliwy jesteś! W ich świecie wszystko znajdziesz co u nas piękne: kobiety, uczucia, myśli. Bogactwa ich czynią naturalnymi protektorami sztuki; bez nich my nic uczynić nie możemy, oni nasza podpora. Wojewodzic....

— Już nie wojewodzic, ale kasztelan, przerwał Mamonicz; opowiem ci zaraz jego historyę. Ty jeden może jéj nie wiesz, bo dotąd nie miałeś ucha i oka, tylko dla sztuki i dla własnych swoich strapień.

— Zkądże ty wiesz jego historyę tak dobrze?

— Ja! co za dziw? Historya jego chodzi po ulicach, złapałem ją nie wiem gdzie i jak. Posłuchaj. Wojewodzic, dzisiejszy kasztelan, jest dzieckiem ostatniém możnéj i znacznéj rodziny; tego ci mówić nie potrzebuję, dość imienia. Imię to jest wypisane na mnóztwie pomników, grobowych wiek, i na zbutwiałych kartach naszych kronik. Jego ród i on sam w ostatku najlepiéj przedstawiają historyę panów w naszym kraju. Rodzina ta, jedna z najstarszych szlacheckich, późno się zjawia między panami. Istotnie wielkie zasługi wojenne jednego człowieka, jego zwycięztwa głośne, ofiary majątkowe, czynne i śmiałe stanie przy władzy królewskiéj, nagle podnoszą szlachcica zamożnego do rzędu panów, w XIV wieku czy późniéj. Ten jeden wielki mąż, którego portret pełen majestatycznéj powagi, choć niezgrabnie zrobiony, wczoraj razem oglądaliśmy w kościele... przypominasz?... wprowadza przodków kasztelana w koło starych magnatów, *proceres regni*. Z początku, jak zawsze, kwaśno go przyjmu-

ją; ale trzykrotne związki małżeńskie łączą go nierozerwanemi węzły z wielkiemi imionami Górków, Tęczyńskich, Leszczyńskich i kniaziów Litwy i Rusi. Synowie bohatera są już *panami* i przyjętymi za takich... Aliści w panach, w synach magnatach, niknie geniusz ojcowski... Z ludzi użytecznych, panowie nasi wychodzą na niebezpiecznych; kupowani starostwami i darami, zapominają powoli, że obowiązkiem jest panów: ofiarą i myślą przed innymi przodkować. Jak skoro panowie umysłowo nie są pierwsi, nie są pierwsi cnotami i poświęceniem, już po nich. Missya ich prowadzi do prawdy i postępu... W czasach reformy, dwóch z téj rodziny odpada od kościoła katolickiego. Rodzina dzieli się na dwoje: katolicy zostają przy królu, protestanci idą z oppozycyą, co była pierwsza zarodem bezrządu i słabości. Pod pozorem zyskania coraz większych i wyłączniejszych dla stanu jednego przywilejów, protestanci podkopują tron, jedyne ognisko siły i spójności. Lecz słabe na pozór i nieszczęściami brzemienne panowanie Zygmunta III, zwraca znowu prawie wszystkich odpadłych panów do katolicyzmu. Szlachta, co za ich przykładem przyjęła reformę, trzyma się jéj szczerze; panowie rzucają lekko jak wzięli. Burzą oni zbory postawiane przez ojców, wznoszą kościoły i nawracają uroczyście, zwiększając liczbę penitentów wymownego i prawdziwie wielkiego Skargi. Od Zygmunta III począwszy, nie ma już w téj rodzinie wielkich ludzi; kłótnie rodziny z rodziną o procedencyę, o majątki, o dziedziczki bogate, Bóg sam wie o co, spory domowe, w których szlachta gra smutną rolę — różnią panów między sobą. Dziadowie kasztelana nie stawią półków na wojnę, aby nie iść pod buławę hetmana nieprzyjaznéj im familii... Ojciec kasz-

telana jest już tak dalece panem, że nic poświęcić nie chce, i żyje sobie i dla siebie. Żeni się z Niemką wysokiego rodu, a tytuł wojewody wcale go już nie obowiązuje do niczego, prócz do zasiadania w senacie milcząco, dumnie i znudzono. Zcudzoziemczały przez wychowanie i żonę, jedynego syna wysyła za granicę, przebiera po francuzku, ze wzgardą przed nim o swoim kraju się wyrażając. Fryderyk, dzisiejszy kasztelan, wychowuje się w Paryżu. Wróciwszy do kraju, bawi się, baluje, szydzi z kontuszowych i łbów wygolonych, rusza ramionami na widok chat brudnych i pyta: „Czemu ci niegodziwi chłopi *nie chcą* sobie budować domków porządnych jak niemieccy wieśniacy?” Bawi się, bawi, nudzi zabawą, i wyczerpany, zmęczony, gdy go kto wielką jaką myślą budzi, ziewa, przeciąga się i odpowiada: „O! dajcie mi pokój, *c'est assommant...*” Kasztelanowa, którą tylko co widziałeś, nie jest Polką.

— O! to widać! rzekł Jan: ma duszę.

— Wielka kwestya! Rodem z Paryża, zkąd owe nasze d'Arquien i tyle innych weszły. Wojewodzic wziął ją nikt nie wie zkąd; mówią, że jest znakomitego urodzenia, ale zupełnie uboga. Rodzina jéj przez dwór protegowana; król sam pisał się do intercyzy kasztelana, ale niemniéj kasztelan sam wyprawę żonie sprawiać musiał. Uboga Francuzica nudzi się w Polsce, i utrzymuje, że zrobiła z siebie ofiarę, idąc za bogatego pana polskiego, w kraj niedźwiedzi i lodu. Bo tak z Desportem jeszcze dotąd zowią naszą ziemię na Zachodzie i Południu. Kasztelan nudzi się żoną, która go zmęczyła; utrzymuje kochankę, równie podobno z Paryża wywiezioną za drugiéj tam przeszłorocznéj bytności.

— A! rozpustnik! zawołał Jan z oburzeniem. Tak piękną mając żonę, tak niegodnie ją opuścić!

— Piękne kobiety póty są tylko pięknemi, póki się nie przejedzą, rzekł Mamonicz: stary to aksyomat. Ale nie widziałeś kochanki, kto wie czy nie piękniejsza od żony?

— Tyś ją widział?

— Sto razy. Wiedz, że zna ją całe miasto z daleka, *z widzenia*. Jest to Aspazya, Lais, Fryna całą gębą. Piękna, wesoła, dowcipna, a niedowiarek, a cynik z niéj opętany, niepojęty! Mnieby może ta dziwna kobieta lepiéj się pewnie podobała i łatwiéj chwyciła za ręce, od znużonéj pani, która nawet śpiąc pamięta, kto ją rodzi i z kim się krewni. Tam uczucia za herbowną tarczą nie szukaj.

— Dopóki uczucie nie przejdzie w gwałtowną namiętność.

— Ono nigdy u nich w namiętność nie przechodzi. Wiesz, że są rośliny, co wybujawszy w liście, nie kwitną całkiem. Tak z niemi: zdaje się zbierać na pączki, ale z nich tylko nowe liście wystrzelą.

Jan nie chcąc się uparcie sprzeczać, zamilkł. Chodzili długo, a Mamonicz zmienił przedmiot rozmowy. Gdy już wracali ku miastu, odezwał się, ściskając Jana za rękę:

— Mój Janie, jeśli chcesz iść do kasztelana, może ci dać zajęcie, okryć cię swoją protekcyą, ale zaklinam cię, strzeż się oczu Francuzicy! Pamiętaj, że tam mogą cię spotkać tylko zawody i próżne męczarnie, jeśli tak nieostrożny będziesz, że dasz się jak naiwne zwierzątko w pastkę spojrzenia złapać... To nie nasz świat! — powiedzmy to sobie dobitnie i pamiętajmy o tém.

Rozeszli się, a Jan z głową pełną marzeń, całą noc czuwał. Nazajutrz ubrany starannie, ledwie mogąc wytrzymać do czwartéj, stawił się w mieszkaniu kasztelana. Słudzy w przedpokoju grający w karty, nie powstali nawet gdy wszedł, a na jego zapytanie odpowiedzieli hardo, mierząc go wzrokiem badawczym i szyderskim:

— Jaśnie wielmożnego kasztelana nie ma.

— Naznaczył mi wczoraj tę godzinę.

— To ten jegomość — odezwał się jeden z ludzi — co się z nami wczoraj spotkał na Antokolu. — Szerepetka! dodał ciszéj.

— Cóż ztąd? rzekł drugi starszy. Pana nie ma, wróć waćpan jutro.

Odprawiony tak grubiańsko i zuchwale, wycierpiawszy pod wzrokiem sług pańskich więcéj w jednéj chwili, niż przez kilka dni od własnych myśli, skosztowawszy próbki życia w tym świecie, do którego tak się wyrywał, Jan zbiegł ze wschodów, obiecując sobie nie powrócić więcéj. Ale zaledwie był na dole, gdy starszy ów sługa niedbale wychyliwszy się z galeryi, zawołał:

— Proszę-no pana!

— Wszakże kasztelana nie ma w domu? spytał Jan.

— Jaśnie wielmożna pani prosi go!

To: *pani prosi*, rumieniec wywołało na twarz Jana. Powrócił i wszedł do salonu przyciemnionego, materyą w kwiaty złociste naprędce widać ociągnionego. Przepych dobrego tonu bez błyskotek, świecideł i niesmacznych drobnostek, uderzył go na wstępie. Srebrny stolik o kręconych nogach, z zegarem prześlicznéj ro-

boty, na perskim dywanie, stał przy sofie obitéj aksamitem. Meble wszystkie podobną materyą były okryte. Ogromne zwierciadła w srebrnych ramach zdobiły ściany. Szpinet palisandrowy, inkrustowany hebanem i perłową macicą, stał w kąciku. Sama pani leżała raczéj niż siedziała na sofie. Firanki zmniejszały światło dzienne w pokoju i przedstawiały ją w uroczym pół-mroku. Piękniejsza jeszcze, ale jeszcze bardziéj znudzona pani, podniosła się nieco, wsparta na łokciu, uśmiechem i główki kiwnięciem niedbale pozdrawiając artystę.

— Mój mąż wyjechał — odezwała się — jutro powróci; nie chciałam dozwolić na niegrzeczne odprawienie pana, i dla tego kazałam go prosić. Jutro z moim mężem widzieć się będzie można. Pan jesteś malarzem?... dodała po chwili milczenia, topiąc w nim oczy ciekawe i poprawując opuszczone pukle włosów.

— Tak jest, pani.

— Pan byłeś w Paryżu?

— Nie, ale w Rzymie i Florencyi, zkąd wracam.

— A!... i skrzywiła się trochę. Cóż pan maluje? spytała.

— Obrazy historyczne, pejzaże.

— A portrety?

— Rzadko, lecz...

— Chciałabym bardzo mieć swój portret dla krewnych w Paryżu; podjąłbyś się pan go?

— Z prawdziwą wdzięcznością.

Kasztelanowa uśmiechnęła się, widząc jak szybkie wrażenie robił wzrok jéj na Janie. Była chwilka milczenia.

— Tylko proszę mi nie pochlebiać: zrób mnie pan

smutną, znudzoną jak jestem; niech wiedzą w Paryżu, że mrę tu pod waszém zimném niebem.

Malarz nic nie odpowiedział, ale westchnął tylko.

— Kiedyż zaczniemy?

— Kiedy pani rozkażesz.

— A! ale to podobno potrzeba jakiegoś umyślnego światła; trzeba siedzieć nieruchomie, długo, niewygodnie, nudno.

— Niekoniecznie.

— Malowano mnie w Paryżu. Takem się znudziła! A! od tego czasu zbrzydłam tak bardzo, zmizerniałam! dodała, jakby do siebie mówiąc i poglądająć ukradkiem w zwierciadło.

Jan spuścił oczy.

— Więc jutro o południu, każ pan przynieść co potrzeba do malowania.

I skłoniła głową; ale do obojętnych wyrazów, do tonu prawie wzgardliwego, przyłączyła wzrok tak wymowny, tak silnie przenikający, że Jan wyszedł oszalały. Nie wiedział, że często panie próbują wzroku *in anima vili*, jak strzelcy broni na wróblach i jaskółkach, czy też dobrze bije?... Artysta wziął za jutrzenkę szczęścia, co było błyskawicą burzy.

Uszczęśliwiony, spotkawszy Mamonicza, opowiedział mu wszystko.

— A! co za wzrok! dodał, kończąc powieść:—ile on mówi, ile mówi!

— Wzrok — rzekł Tytus zimno — tyle tylko mówi, ile chcemy aby mówił. Wzrok kobiety jest najzwodniejszém ze zjawisk. Strzeż się, powiadam ci. To zalotnica, która przywiodłszy cię do rozpaczy, śmiać się z ciebie będzie.

— Tytusie, nie masz serca!

— Janie, nie masz głowy! Wymów się od tego malowania, na Boga! wymów się, bo widzę jak zginiesz. Lepiéj nie mieć roboty, niż wleźć w taką przepaść.

Jan ruszył ramionami zniecierpliwiony, ścisnął za rękę Tytusa i odszedł, nie chcąc dłużéj słuchać jego przestróg.

Jutro przyszło nareszcie, a malarskie przybory odesłane wprzód do pałacu, oczekiwały na Jana. Słudzy w przedpokoju głupowatym śmiechem przyjęli go, nim wpuścili do salonu, wpatrując się w dosyć biedne ubranie, chociaż to było jego najlepsze. Prawie pogardliwie kamerdyner wskazał mu drzwi, nie racząc ich otworzyć, i usiadł w oknie z powagą. Upokorzony Jan wszedł, ale w salonie nikogo nie było. Z drugiego pokoju odezwał się głos:

— Kto tam?

— Ja, pani.

— Cóż za ja? powtórzył głos.

Kasztelan ukazał swą upudrowaną głowę.

— A, to wy! prosimy... Kasztelanowa czeka na niego. Do roboty, do roboty! bo się znudzi.

I skinął na malarza, który po dywanie przeszedł do drugiego pokoju.

— Jestem sam trochę artystą, rzekł kasztelan; ustawiłem wam trójnóg i wybrałem światło. Ale spieramy się od pół godziny z panią o kolor sukni i o akcessorya portretu.

W téj chwili ujrzał Jan panią siedzącą w krześle z książką w ręku i mdlejący wzrok zwracającą ku niemu ze skinieniem głowy i uśmiechem.

Ubrana była w ciemną aksamitną suknię, z koronkami białemi, różę miała we włosach. Ślicznie jéj było.

— Możeż być lepiéj niż jest? zawołał Jan.

— A widzisz pan! odezwała się kobieta.

Kasztelan rzekł, rzucając się na siedzenie:

— Ja chciałem cię widzieć weseléj ubraną.

— Dla czego? Tu tak zimno, smutno i nudno w tym waszym kraju chmur i błota.

— Dziękuję! rzekł kasztelan. Światło wszak dobre? spytał.

— Wyborne.

— Widzisz, że się znam na tém. No, malujmy.

— O! malujmy, bo długo tak nie wytrzymam... uprzedzam, przerwała Francuzka. Godziny siedzę czasem z wlepionemi nie wiem gdzie oczyma nieporuszona, ale gdy mi siedzieć każą! o! nie cierpię posłuszeństwa. *C'est plus fort que moi.* Proszę się śpieszyć.

— Niech pani jeśli chce, jak chce się porusza, rzekł Jan siadając — mówi, chodzi, to nic nie będzie przeszkadzało portretowi. Podłożę go i tak, a suknie i draperye w domu dokończę. Dziś może schwycę tylko rysy.

— A! jakżeś pan grzeczny! znów go rozbijając wzrokiem dodała kobieta. Pozwalasz mi się ruszać!

— Znalazł sposób, żebyś siedziała jak przykuta, szepnął kasztelan. No, zostawiam was, jadę do księcia biskupa na śniadanie.

Kiwnął głową i wyszedł.

Kasztelanowa pogoniła wzrokiem za mężem, ale wzrokiem obojętności, niechęci; skrzywiła usta jakby mówić chciała: „Gardzę tobą, brzydzę się.”

A potém zwróciła tak uporczywe wejrzenie na Jana, że rysującemu ręka się zatrzęsła. Słabym głosem rzekł do niéj:

— Pani zapewne każesz się malować *à regard perdu*, to doda smutku wyrazowi twarzy. Prosiłbym więc o odwrócenie oczu w głąb.

— Boisz się pan? zawołała ze śmiechem.

Jan zaczerwienił się, ale nic nie śmiał odpowiedzieć.

— Nie, chcę mieć wzrok jak jest.

Ile razy spojrzał malarz, tyle razy znalazł jéj oczy utkwione w sobie: wejrzenie to uporczywe, ogniste, przejmowało go do głębi. Męczył się jak Damokles pod mieczem, ocierał czoło i cierpiał widocznie.

— Gorąco panu może? spytała szydersko kasztelanowa.

— O! gorąco.

— Mnie tak chłodno! dodała ze znaczącém znowu spojrzeniem.

Jan rysował, ale co chwila ręka go zawodziła. Owal twarzy narzucony zręcznie, oznaczone usta i oczy nie zaspakajały go: mazał i poprawiał.

— Mogę się ruszyć? spytała.

— Jak pani zechce.

Poruszyła się zaraz, ale wzrok niezmiennie pozostał utkwiony w malarzu.

— Ile pan masz lat? spytała po krótkiém milczeniu.

— Dwadzieścia kilka.

— Długo pan byłeś we Włoszech?

— Chwilę, tak mi się tam lata wydały krótkiemi.

— Przysięgnę, żeś pan tam zostawił kogoś, po kim ci tęskno? nie prawdaż? spytała ze znaczącém wejrzeniem.

Ale na to pytanie łzy wytrysły z oczu Janowi, bo głaz na cmentarzu Świętego Kaliksta przypomniał

mu się; pobladł, błagająco spojrzał, a cicho odpowiedział:

— Nie zostawiłem nikogo.

— Panbyś nie kochał dotąd?

— Nie miałem czasu... kochałem, ale sztukę.

— Jak to! nigdy? ani razu? męczyła go nielitościwa Francuzka.

— Nigdy.

— O! to być nie może!

— W mojém położeniu to naturalne.

— Pod waszém niebem, prawda! wszystko tu tak zimne!

— Nie, pani: tu gorące serca, ale głęboko kryją się płomienie.

— Doprawdy! szepnęła już szydząc. Przecięż jak wulkan płomienie te kiedyś buchnąć muszą. Więc pan istotnie nie kochałeś?

— Nie, pani.

— I nie znasz co miłość?

— Domyślam się.

— Żałuję pana; tyle straconego czasu!

Znowu urwała się rozmowa, ale uparty szatański jéj wzrok spoczywał na malarzu.

— Ona widocznie chce mnie o szaleństwo przyprawić! zawołał Jan w rozpaczy.

— Jak panu imię? spytała.

— Jan.

— A nazwisko?

— O! panibyś go nawet nie wymówiła—barbarzyńskie. We Włoszech zwano mnie Rupiuti; niech to umiękczone nazwanie służy mi i tutaj.

— Pan masz familię?

— Nikogo.

— Jak to! zupełnie nikogo? zawołała z niejaką radością: zupełnie nikogo?

— Matka moja umarła niedawno, noszę po niéj żałobę. Był to ostatni węzeł łączący mnie z ludźmi. Teraz jestem zupełnie sam.

— Biedny! przerwała. Więc i wy umiecie kochać? Nie jestem więc w kraju zupełnie z uczuć ogołoconym? dodała, widząc łzę w oku Jana. Ja nie znałam matki!

Spuściła głowę, ale rychło ją podniosła, uśmiechając się.

— Jestże życie bez uczucia? odparł malarz.

— A! dość na dziś! zerwała się kasztelanowa: dosyć roboty! dosyć siedzenia! Chodź pan, pokażę mu nasze obrazy. Ciekawyś?

Jan porzucił pendzle, okrył trójnóg i poszedł za nią posłuszny.

Powolnym krokiem przeszła pani po pokojach, uprzedzając go i wskazując mu kilka płócien francuzkiéj szkoły Lesueur'a, Valentin'a, Poussin'a, portrety Largirier'a, które przywiozła z Francyi. Jan, który Lesueur'a zwłaszcza cenił wysoko, unosił się nad śliczną kopią sławnego obrazu jego, świętego Brunona, pełnego uczucia, pełnego wdzięcznéj a surowéj prostoty.

— Pokażesz mi pan jaką swoją robotę?

— Po większéj części przywiozłem z Włoch ogromne obrazy, które przenieść trudno, rzekł Jan; a przytém nie wiem prawdziwie, czy warte są pokazywania.

— Poznałeś pan mego Lesueur'a, mojego Poussin'a; nie wątpię teraz, że musisz pięknie malować. Chcę widzieć koniecznie jego roboty, proszę mi zaraz przysłać jedną z nich. Zaraz, zaraz! dodała nastając.

Na dzwonek kasztelanowéj zbiegli się słudzy; a widząc ją z malarzem, stary kamerdyner nieznacznie pokiwał głową.

— Niech dwóch ludzi idzie do mieszkania tego pana — rzekła, wskazując na Jana — i przyniesie mi tu obraz. Jaki? spytała malarza.

— Ja idę z nimi.

— Nie, nie! powiedz pan tylko jaki przynieść mają?

Jan napisał karteczkę ołówkiem do Mamonicza (który na niego czekał w mieszkaniu), wybrawszy na pokaz prześliczną Magdalenę, malowaną w Rzymie ze sławnéj pokutnicy Anunziaty, i Narcyza w pejzażu, także dzieło w Rzymie zrobione, ale niewielkich rozmiarów.

Gdy z kartką wysłani ludzie śpieszą, kasztelanowa usiadła i wskazała krzesło nieopodal Janowi. Zamilkła, ale wzrok utrapiony z zajadłością niewytłómaczoną zwracała na niego ciągle. Ile razy zadrżał pod nim, znudzona kobieta uśmiechała się do siebie. *Cela lui fait de l'effet*, myślała.

— Czemuż nie przynoszą? czy to tak daleko? rzekła po chwili z niecierpliwością dziecka. Ja tak nie lubię czekać!

— Dość daleko.

— Pan mieszkasz?

— Blizko zamku.

— Ach!

I znowu milczenie; a wśród milczenia spojrzenia jak błyskawice ciche, co uprzedzają burzę, z daleka na horyzoncie bez łoskotu przemykając się, latają raz po raz.

— Pan masz tu dużo znajomych?

— Nikogo. Jednego tylko jak ja artystę.

— A! ten zapewne, który z nim szedł, gdyśmy się spotkali?

— Pani go widziałaś?

— Ja wszystko widzę. Tu tak nudno, tak smutno, że szukam jakiéj mogę rozrywki. A! wyborna myśl. Chciałabym się uczyć rysować, zawołała; pan mnie będziesz uczył.

— Pan kasztelan pozazdrościłby mi tego; on sam...

— Od kilku lat nie trzymał ołówka w ręku.

Nareszcie po dość długiém oczekiwaniu, usłyszano kroki na wschodach, i ludzie weszli, niosąc dwa obrazy. Jan pochwycił je i ustawił w świetle przyzwoitém. Kasztelanowa porwała się z ciekawością, i spojrzawszy na Magdalenę:

— A! to arcydzieło! doprawdy! zawołała. Pan jesteś wielkim malarzem! doprawdy arcydzieło!

Podeszła ku Narcyzowi.

— I to bardzo ładne, ja jednak wolę Magdalenę.

— A ja Narcyza, dodał kasztelan, który był wszedł niepostrzeżony, zaczaił się i przypatrywał. Pańskie roboty! prawdziwie winszuję mu z całego serca.

— Na co mi się to tutaj zdało!.. rzekł Jan: tu, gdzie artystów nie pojmują, nie cenią, nie potrzebują.

— O! pan masz słuszność. To kraj niedźwiedzi. Jedź do Francyi, zobaczysz.

Zaczęto tak wychwalać obrazy, że kasztelan zakończył wreszcie pochwały żądaniem nabycia ich obu.

— Bardzom szczęśliwy, że się podobały. Jest to rzecz małéj wagi, ale gdybym nią mógł okazać wdzięczność, jaką panu winienem, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś pan przyjąć je raczył....

— O! nie, nie! nie tak! żywo obruszył się kasztelan.

Nie słuchając odpowiedzi, Jan porwał za kapelusz i wybiegł szybko się ukłoniwszy, słysząc tylko za sobą śmiechy obojga państwa, które, nie wiem czemu, trochę boleśnie odbiły się w jego duszy. Mamonicz czekał go w mieszkaniu, ale nie sam; przy nim siedział bardzo licho ubrany, podeszłych lat człowiek, siwy, trochę łysy, w czarnéj łatanéj sukni, z laską o gałce kościanéj w ręku. Fizyognomia jego wyrażała dobitnie niespokojną chciwość jakąś, żądzę posiadania, samolubstwo w najwyższym stopniu; najmniéj wprawny badacz charakterów nie mógłby się był omylić na nim.

— Pan Żarski, rzekł Mamonicz: dawny mój znajomy, jako amator chciał widzieć twoje obrazy.

Stary się ukłonił pokornie, uśmiechnął i rzekł cicho:

— Piękne obrazy. Ale dokądże dwa z nich ztąd przy mnie odniesiono?

— Do kasztelana.

— Jak to! sprzedane? spytał; a ja właśnie chciałem mówić o Magdalenie.

— Tak, dodał Tytus: targujemy się o nią od dwóch godzin, odstępowałem ją za 50 dukatów, i chodziło tylko o pięć czy sześć, żebyśmy targu nareszcie dobili.

— Szkoda, bo już nie moja! przerwał Jan.

— A! musiałeś za nią i za Narcyza wziąć dość pieniędzy?

— Darowałem je.

— Pan je mogłeś darować! wykrzyknął stary.

— Zrobiłbyś to głupstwo? rzekł Mamonicz, ruszając ramionami. Śmiać się tylko z ciebie będą zamiast wdzięczności.

— Niech się śmieją, nie chcę być winien, nic nikomu. Kasztelan dopomógł mi, gdym był w potrzebie, zalecił Bacciarellemu, jemu może winienem pobyt we Włoszech.

— To co innego, zapomniałem, rzekł Tytus. Pokwitowałeś się z procentem.

— Nie, rzekł Jan: tego nie czuję; jeszczem mu dłużny pewnie.

Mamonicz śmiał się. Stary począł tchórzliwie dowiadywać się o ceny różnych robot Jana; nareszcie rzekł:

— Wie pan co! to wszystko drogie dla mnie. Ale zbieram roboty artystów krajowych, muszę mieć co pańskiego... potrzebuję też dla krewnych pamiątki, aby ją im po sobie zostawić: nie mógłbyś pan zrobić mojego portretu? wszak malujesz portrety?

— Rzadko i niechętnie.

— Ja nie chcę tuzinkowego portretu, ale takiego, któryby był wypracowanym obrazem, dziełem sztuki, a razem pamiątką.

— Tém trudniéj się go podjąć.

Mamonicz przerwał:

— Maluj, będzie to studyum dla ciebie; głowa oryginalna; patrz jaki w niéj charakter!

Stary się zarumienił.

— A pan Żarski — mówił Mamonicz — za tak wypracowany portret zapłaci...

— Zapłaci! przerwał stary szybko i żywo. Zwykle portrety płacą się u nas sto złotych, a że ten ma być tak bardzo wypracowany, więc podwójną cenę.

— Tysiąc złotych, rzekł Jan.

— Zaraz widać, że pan z za granicy przybywa.

Ale, kochany panie, u nas tysiące nie sypią się tak za obrazy z rękawa; kraj ubogi.

— Nie zmuszam też pana, abyś się malował.

— Radbym mieć pracę takiego artysty jak pan! rzekł staruszek, przypochlebiając się.

— Więc maluję bez żadnéj pretensyi.

— Jak to?

— Nic nie wezmę, z tym tylko warunkiem, że oryginał portretu będzie moją własnością, a kopię zrobię dla niego.

Starzec poskrobał się po łysinie.

— Widzisz! rzekł Mamonicz: czy ci nie wstyd! ty, tak bogaty!

— Ja bogaty! ja bogaty! ze strachem zawołał stary, Kto! ja?... potwarze!

— Tak śliczny mając zbiór obrazów...

— Ja nie mam obrazów.

— O! o! na co te figle z nami! przerwał Tytus rubasznie. Wiemy dobrze o twoich skarbach.

Żarski przerwał rozmowę pożegnaniem nagłém, szepcząc na ucho Janowi:

— Jutro będę mu służył.

— Wiesz? rzekł Mamonicz, gdy wyszedł: jest to osobliwszy dziwak. Nabywa obrazy i zamyka je, aby ich nikt nie widział; nie pokazuje nikomu. W kufrach i pakach leżą u niego kosztowne, po klasztorach za kopie ponabywane płótna, pozwijane starannie, ponumerowane, które nie ujrzą bożego świata, chyba po jego śmierci... Ale powiedz mi, cożeś robił u kasztelaństwa?

Jan nie zataił nic przed przyjacielem; opowiedział mu wszystko.

— Źle! rzekł Tytus. Kasztelanowa chce się widać

ubawić twoim kosztem, a ty poddajesz się kaprysowi jéj jak dziecko. Wiele cię to kosztować może. Zakochanemu w niéj (jeśli na nieszczęście tak być ma), wiesz co ci pozostaje? Udawać doskonałą obojętność, delikatnie szydzić i śmiać się, to jeszcze jeden sposób. Czułością tam nie wygrasz. Francuzica, pewien jestem, z mężem nawet śmiać się z ciebie będzie. Ty będziesz cierpiał, a ona tryumfowała jak z żaka. Źle się to skończy, przepowiadam ci. Stracisz czas daremno. Dałeś im dwa obrazy, czy. niedość? Przestań bywać dla jakiéjkolwiek przyczyny.

— Nie mogę.

— Bądźże zimnym i obojętnym.

— Nie umiem grać komedyi; jestem, jakim mnie okoliczności uczynią.

— Bez trochy komedyi nie ma życia. Zresztą jak chcesz. Co się tycze tego starego, któregom dla ciebie zwerbował, nie puszczaj go z rąk; w najgorszym razie jest to jaki taki ratunek. Ten przynajmniéj lubi obrazy i zna się na nich. Znawstwa nikt mu nie odmówi, a najdziwniejsza i prawie niepojęta, że się chowa z obrazami i pieści jak z klejnotami skąpiec. Całe dni przepędza nad niemi.*) Zdarzało mi się zastawać go nad zczerniałym Bambochem, wyczytującego mozolnie intencye malarza, zgubione effekta, zaczernione wyjściem dna lub niegodziwym werniksem; zdarzało mi się widzieć go klęczącego przed płótnami w ekstazie i zachwycie młodzieńca. Naówczas twarz mu się mieni, oczy łzami zachodzą. Zamknięty na klucz, rozwija swe ulubione obrazy i poczyna ich przegląd. Każdy z nich znany mu jest aż do najdrobniejszych szczegółów, od-

*) Postać historyczna.

czyszczony, odchuchany i najstaranniéj zachowany. Zdaje mu się, że oko obcego ujęłoby coś, przypatrując się jego skarbom. On żyje w idealnym świecie sztuki, jak nikt podobno nie żył jeszcze. Pamiętam raz (bośmy z dawna znajomi), jak mi całą historyę jednego obrazka opowiadał. W ubraniu osób, w ich fizyognomiach, w otaczających akcessoryach, znalazł na czém zbudować całą powieść, odgadywał życie, dokończał dzieła, rzekłbyś, że je sam stworzył, tak znał doskonale. Raz z kimś obojętnym i półznawcą trafiłem do niego na godzinę przeglądu, gdy nie zamknąwszy się rozpatrywał obraz Czechowicza: „Przywrócenie wzroku Świętemu Pawłowi.” Pół-znawca rzucił od niechcenia zdanie, ledwie spojrzawszy z lekka na utwór. Żarski zaczerwienił się oburzony, gniewny, zły aż do passyi. Gniew rozwiązał mu zwykle zamknięte usta: „Pan jesteś ślepym lub płochym!” zawołał. I nuż dopiero w zapale wskazywać piękności, dobywać myśli, tłómaczyć wszystko tak doskonale, że nam się wreszcie profanom oczy rozwarły, i ujrzeliśmy czegośmy się nawet nie domyślali. Przeczytać obraz, dobyć z niego myśli, nie jest to rzecz tak łatwa jak się zdawać może. Koloryt i rysunek łatwiéj ocenić daleko. Szkoda mi twoich darowanych obrazów: Żarski poznał w tobie prawdziwego artystę, i byłby je dobrze zapłacił. Teraz trzymaj się tylko i nic mu nie dawaj darmo, musi w końcu kupić co z twoich robot, bo w nich widocznie smakuje. Oprócz tego, pomimo dziwacznéj skrytości swojéj, Żarski uchodzi za znawcę, a jego bytność u ciebie i zdanie o tobie, z którém się taić nie będzie, zjedna ci pewnie sławę. Bądź zdrów, ja idę dumać o swoim Herkulesie.

I wyszedł Mamonicz z czapką na uchu, śpiewając.

Jan w istocie skutkiem kilku słów rzuconych przypadkowo raczéj niż umyślnie przez kasztelana i Żarskiego, był na drodze do pewnéj wziętości, daleko skuteczniéj popchnięty na nią niż wprzód wystawą swoich obrazów. U nas pospolicie zdanie gotowe bierze tłum i nie wdaje się w rozpoznanie jego słuszności. Jan nagle został znakomitym artystą dla pewnych ludzi, którzy wprzód nie wiedzieli co o nim mówić, ale razem wybuchnęła przeciw niemu silna i potężna zazdrość współubiegających się.

Gdy jedni chwalili, drudzy szydzili, tworząc baśnie dziwne o Janie. Ci powiadali go szpiegiem czyimś (pospolity u nas bardzo zarzut), drudzy nieznanym intrygantem pod obce podszytym nazwisko, inni ogłaszali partołą nieumiejętnym, chwalącym się cudzą pracą. Najlichsi wzmagali się na najczarniejsze brednie. Wysokie ceny jego robót nazwano szaloną szarlataneryą; protekcyę kasztelanica wyśmiewano nielitościwie, domyślając się z góry, że najpodléj pozyskać ją sobie musiał artysta. Słowem, w chwili gdy się znajomszym uczuł Jan w tym nowym świecie, poczuł zarazem na sobie pociski potwarzy, którą usłużni znajomi z gorliwością i pośpiechem co najrychléj mu podawali.

Z pogardą odwrócił się on od tych, którzy udając grzeczność i pochlebiając chętnie, szkalowali go za oczyma. Ale zasłużona wzgarda wydała się im niewdzięcznością, okrzyczano go za dumnego.

Tysiące drobnych pocisków doganiały go wszędzie. Nędzny paszkwil przybito na kamienicy, w któréj mieszkał. Kasztelan odebrał list bezimienny, donoszący mu, że Rugpiutis *nie jest nawet szlachcic!* i kala jego pro-

gi! Cała historya ojca opisana była w tym liście z ohydnemi dodatki. Rzucił go w ogień, nie doczytawszy, oburzony protektor, z obojętnością wielkiego pana ruszywszy tylko ramionami. W ulicy namówieni chłopcy spotykali go co chwila, proponując mu pomalowanie powozu lub drzwi. Przechodząc, spotykał złośliwe spojrzenia wymierzone ku sobie. Ale wszystko to Jan, w téj chwili cały zajęty kasztelanową, zniósł łatwo i niewiele na tém cierpiąc.

Następne posiedzenia malarza wielce były pierwszemu podobne; w godzinie malowania zwykle mąż odchodził, zostawali sami, rozmowa urywała się lub ciągnęła powolnie; ale wzrok, w którego potęgę wierzyła kobieta, trapił Jana bezustannie.

Wzrok ten, przy dość często obojętnéj rozmowie, był niepojętego znaczenia; oczy mówiły całkiem co innego, co innego usta. Jan zrozumieć téj antytezy kobiecéj nie mógł. Czasem piękna pani doprowadzała rozmowę do stromych brzegów, z których łatwo upaść było na kolana i powiedzieć co się w sercu dzieje; ale w chwili niebezpiecznéj, zimno zrywała się z miejsca i stawała znowu kasztelanową. Były to męczarnie słodkie, ale niemniéj męczarnie. Jan śpieszył z portretem, sam pomiarkowawszy nareszcie, że to do niczego doprowadzić go nie może krom boleści zawodu, że służy za jakąś igraszkę. Ale absolutna jak kobieta, pani Elwira nie dozwalała pośpieszyć z robotą, nie pozwalała wziąć portretu do domu, ciągnęła posiedzenia umyślnie.

Jan u siebie, zupełnie z pamięci, odmalował jéj portret drugi, robiąc z niego fantastyczną głowę, ubraną w laur i ze stosownemi akcessoryami. Był to rodzaj Sybilli.

Oczy, co go prześladowały, zwrócił w niebo; leczpomimo odmian stroju i pozy, podobieństwo było uderzające, a Mamonicz przypuszczony do oglądania arcydzieła, unosił się nad têm studyum, wyrazem przypominającém najpiękniejsze utwory Dominichina.

Czas ubiegał szybko, a Jan go tracił, codzień głębiéj plątał się w miłość bez celu i bez wzajemności. To pochlebiał sobie, że może być kochanym i płakał nad dwojgiem nieszczęśliwych; to znowu dumnym niekiedy pożegnany wzrokiem, rozpaczał o sobie.

A Mamonicz mówił mu:

— Dopóki czas jeszcze, proszę cię, przestań tam bywać.

Kasztelan złośliwie zagadnął go kilka razy:

— Ten portret będzie arcydziełem, tak pan nad nim pracujesz!

— Ja od dawnabym go skończył, lecz nie jestem panem mojéj roboty, słucham rozkazów.

— Ma chère, spytał mąż żony, dopókiż malować się będziesz?

— Dopóki mi się podoba. To mnie bawi, mam jakąś rozrywkę.

— Ale ten biedny malarz?

— Traci czas? Cóż? Zapłacimy mu...

I uśmiechnęła się.

W istocie, Janowi w téj porze dawano robotę w katedrze i do innych kościołów odświeżających się, poprawki w Pożajściu u Kamedułów, lecz musiał odmówić wszystkiego; a gdy kasztelan dopytywał go, czy ma jakie zajęcie inne? odpowiedział, że nie.

Mamonicz, który wiedział o wszystkiém, gniewał się na tę kobietę i klął ją z całego serca. Ale to wcale nie pomagało.

Jan szalał za nią. Od niejakiego czasu bowiem zdawała mu się czulszą, i wzrok zawsze ten sam padał na niego i palił, ale słowa już się z nim nie tak sprzeczały. Kilka razy dozwoliła mu powiedzieć coś dwuznacznego, nie oburzała się, nie wstrzymała, odpowiedziała spojrzeniem. Jan czuł w piersiach pragnienie Tantala, a owoc z gałęzią blizki ust, umykał od nich znowu. Portret nie był dotąd skończony: kasztelanowa wymagała poprawek i przerabiań bez końca.

Już drugi miesiąc téj pracy Penelopy upływał, gdy Jan smutny w milczeniu przybył dnia jednego, i gotując farby, stał zadumany u trójnoga.

— Czegoś pan taki smutny? spytała go Elwira.

— Jestem jak zwykle.

— Więc pan zwykle smutny jesteś?

— Dziwi mnie to pytanie z ust pani: jestem sam na świecie, nie mam przyszłości, straciłem smak i zamiłowanie w sztuce; nikogo, coby mnie kochał, kogobym zajął, ktoby pomyślał o mnie!

— Bo pan sam nie kochasz zapewne nikogo.

— A! pani! godziż się tak szydzić?

— Zkąd ta myśl o szyderstwie? Pan sam zimny jesteś jak lód.

Jan zmilczał jeszcze, ale wzrok jego odpowiedział raz pierwszy z całą siłą na wymowne spojrzenie pani. Ona, nie odwróciła wejrzenia, lecz nagle wyraz jego się zmienił, brwi namarszczyły, zaiskrzyły oczy, i tak stała się dumna, wielka, nieprzystępna, że Jan zadrżał nad swojém zuchwalstwem. Spuścił oczy na płótno, łzy upokorzenia zwijały mu się pod powieką, gniew zawrzał w sercu. Spojrzał ukradkiem. Kasztelanowa znowu spoglądała na niego łagodnie, łzawo, obiecują-

co, zdawała się mówić: „Kocham ciebie, a ty mnie nie chcesz rozumieć!"

Nadzieja odpędzona, jeszcze raz wstąpiła w niego. „Omyliłem się, rzekł w duchu, to było złudzenie."

— Dla czego pan tak upornie milczysz? spytała po chwili kasztelanowa. Chciałabym wiedzieć od pana, czy od czasu, jak się znamy, jak tu bywasz, prawdą jest jeszcze coś mi mówił pierwszy tu raz przybywszy: nie kochałeś nigdy? nie kochasz?

— O! teraz, kocham! zawołał Jan, nie mogąc się powstrzymać.

Pani Elwira zrobiła minkę szyderską.

— Jakżebym rada widzieć tę, którą kochasz! Nieprawdaż, że malarz musi kochać piękną?

— Jak anioł piękna! a każdy ruch jéj, każde skinienie, tyle ma nieopisanego wdzięku!...

— Musi być dobrą jak anioł?

— Jak anioł nieprzystępna i niepochwycona.

— A! a! to coś wysoko oczy pańskie padły! Szkoda!

I zaciąwszy usta zamilkła, a Janowi aż zimno się zrobiło. Wstała z kanapy.

— Dość na dzisiaj, rzekła; jutro skończymy, nieprawdaż?

Powiedziała to zimno i dumnie, wychodząc obojętnie i z miną znudzoną wielkiéj pani do salonu; ale we drzwiach odwróciła się i Jan spotkał wzrok łagodny, pociągający, którego już nie umiał sobie wytłómaczyć. W téj kobiecie były dwie dla niego: jedna czuła i kochająca, druga zimna i dumna. Wybiegł do domu. Mamonicz go tam czekał, wysłuchał wyznań.

— Mój drogi, rzekł: nic oczywistszego nad to, że

żartuje z ciebie. Kończ robotę i porzuć ich do dyabła, uciekaj.

— Uciekaj! powtórzył Jan; dobrze ci to mówić na zimno. Już nie czas! Ja niczego nie żądam, tylko wzgardzony, choćby wyśmiany, być przy niéj, widzieć ją codzień i cierpieć od niéj. Byłbym jéj sługą, byle być z nią. Stała się potrzebą życia; widzę ją we snach, na jawie, w każdéj kobiecie; w każdych oczach, co na mnie patrzą, widzę jéj wejrzenie; zapomniałem dla niéj o wszystkiém. Wiesz, słuchaj, dla niéj gotówbym był zrobić—podłość!

Tytus zbladł.

— Janie, rzekł: nie ręczę za samego siebie, żebym raz w życiu podobnemu jak twoje nie uległ szaleństwu. Ale jeśli to nieszczęście dotknie mnie, to chyba wyrokiem bożym, trafem nieprzewidzianym. Ty zaś sprowadziłeś je sam, dobrowolnie na siebie. Był czas cofnąć się.

Jan spuścił głowę smutnie...

— Już po czasie! rzekł: po czasie!

— Tak, teraz po czasie, ale jeszcze jest ratunek. Nie powracaj jutro, weź się do pracy, przedsięweźmiéj cò wielkiego, zakochaj się zresztą gdzieindziéj, na uleczenie téj choroby zrób sobie drugą. Będzie to rodzaj wezykatoryi.

— Mówisz na zimno, sądzisz bez serca, to niepodobna!

— A! biedny Janie, biedny Janie! otoż może i po całéj twojéj przyszłości! Trzebaż ci było samemu się wplątać?

Nazajutrz miał już wreszcie być skończony portret kasztelanowéj. Jan z gorączkowym niepokojem wybrał się do niéj. Zastał ją oczekującą już na niego, z książ-

ką francuzką w ręku, chmurną, smutną, roztargnioną. Kasztelana nie było.

— Kończmy, rzekła.

Jan stanął do roboty żywo, w milczeniu malował; ona czytała, ale po chwilce odrzuciła książkę z niechęcią, i znowu wzrok swój zbójecki zwróciła namiętnie na niego.

— Prędko pan skończysz? pytała.

— Dzisiaj! Z tą myślą trudno mi się oswoić, tak przywykłem codzień tu być, nie wiem co zrobić z sobą.

— Będziesz pan malował kasztelana dla mnie! dodała szydersko.

— O! to wcale co innego!

— Znajdujesz mnie pan tak dobrą do malowania? Mogłażbym służyć za wzór? Jak to pochlebnie! Ale ja tak zbrzydłam, schudłam, zczerniałam pod waszém niebem szkaradném!

— A! pani aż nadto jesteś piękna!

— Kobieta nie może być nadto piękną, odezwała się z uśmiechem i swojém zwykłém spojrzeniem:—*c'est son métier à elle.*

— Może być nadto piękną, bo często jéj piękność i zwycięztwa są nieszczęściem drugich.

— O! takie nieszczęście! (roześmiała się) to dzieciństwo!

— Dzieciństwo, które może kosztować życie!

— Cóż życie? spytała.

— Zapewne, rzekł malarz; a jeszcze życie jednego robaka!

Gdy to mówił, wzrok jego wypowiadał wyraźnie: „Ja cię kocham!” tego jednak w żaden sposób zrozumieć nie chciała kasztelanowa.

— Mówiłeś mi pan wczoraj, że kochasz? Przy-

znajże mi się kogo? Ciekawam widzieć Fornarinę mojego Rafaela.

— Moja Fornarina! nie nazywaj jéj tak pani, to bóztwo! Ale tak wysoko i tak daleko odemnie!

— Juściż nie ja? nagle marszcząc się i powstając dumnie, a wzgardliwie i z góry mierząc go oczyma, zawołała kasztelanowa.

Jan oniemiał, skostniał, pendzel wypadł mu z ręki, nie śmiał ust otworzyć, ani poruszyć się nawet.

— Od pana do mnie—rzekła—zbyt daleko! Co to jest? pendzel upadł? pan się mienisz? Miałażbym zgadnąć? Dziwnie się zapomniałeś! dodała ruszając ramiony. Kończ z łaski swojéj bezemnie; słyszę głos męża, mam z nim do pomówienia w salonie.

To powiedziawszy, zamknęła (pierwszy raz) drzwi za sobą, i śmiejąc się wyszła do salonu.

Janowi się zdawało, że świat przewrócił się do góry, że księżyc spadł na ziemię, noc w pośród dnia się zrobiła i skończenie świata było blizkie. W oczach mu pociemniało, uszy napełniły się wrzawą szyderskich głosów.

— Nie ja! nie ja! A? a?

Stał z pendzlem i drżał.

A z salonu wyraźnie, dobitnie, dochodziła go dość głośna rozmowa małżonków, w któréj panował zimny, szyderski głos pani kasztelanowéj.

— Wystaw sobie Fryderyku, mówiła: ten twój malarz rzucał mi przez kilka dni tak osobliwsze spojrzenia, tak czułe błyski swoich czarnych oczu, tak dziwne mi rzeczy prawił.

— A! pokochał się w tobie. *Il n'est pas dégouté*, śmiejąc się rzekł kasztelan. Biedny chłopiec!

— Kilka dni dawał mi do zrozumienia swoje za-

pały, ale dziś musiałam go skarcić wzrokiem. Co za zuchwalstwo niepojęte!

— O! patrzałaś bo na niego.

— Alboż mi patrzeć jak chcę nie wolno? Próbowałam siły moich oczu, bo jużem zwątpiła o nich.

— I rozpaliłaś na węgiel biedaka.

— Co mi tam!

— Szkoda, ładny chłopiec! zimno rzekł kasztelan.

— Ładny! hm! juściż...

Reszty już Jan nie słyszał, puścił się ku oknu, które z gniewem nieprzytomny otworzył, rozerwał. Było to na pierwszém piętrze, a okno wychodziło w ogród; ale nad tém, że dwadzieścia łokci dzieliło go od ziemi, Jan nie zastanawiał się wcale. Cały w płomieniach gniewu, oszalały, upokorzony, skoczył z wysokości, upadł, uczuł ból wielki w nodze, i zwyciężając go, powlókł się do fórtki, którą wyłamał raczéj niż otworzył. Nieprzytomny przeleciał ulice, i wbiegłszy do mieszkania swego, rzucił się na łóżko.

W pół godziny potém Mamonicz i lekarz starali się przerwać silną gorączkę, w któréj leżał. Noga była zwichnięta.

W salonie tymczasem ciągnęła się daléj rozmowa. Wreszcie kasztelan, który jako oswojony z obyczajami swego czasu, nie mógł gniewać, śmiejąc się otworzył drzwi zamknięte, chcąc pożartować sobie z artysty.

Spojrzał wewnątrz, dokoła, i zobaczył tylko okno otwarte.

— Gdzie on jest? spytał żony.

— Jak to? alboż go nie ma?

— Chybaby się schował!

Kasztelanowa stanęła w progu.

— Nie ma go i okno otwarte!

— A! słyszał pewnie naszą rozmowę, wyskoczył i może się zabił—biedny!

Kasztelan podbiegł do okna, ale z niego nic nie zobaczył.

— Nic mu się nie stało, uciekł. *Mais c'est un saut perilleux.*

— Uciekł! uciekł! podchwyciła rumieniąc się kobieta. Słyszał! ale to być nie może! Mówiłam cicho, nie prawdaż?

I powróciła na kanapę z udaną obojętnością.

— Trzeba mu jego rzeczy odesłać, portret zapłacić, dorzuciła zimno.

Mąż dość pogardliwie spojrzał na żonę, i usunął się milczący. Ta chłodna krew Francuzki oburzyła go raz pierwszy: nienawidził jéj, nie miała serca.

Gdy się to dzieje w pałacu Ogińskich, Jan leży między życiem a śmiercią. Doktor Fesz, z litości, a raczéj przez chciwość (bo przewiduje, że niemający mu czém opłacić się artysta będzie musiał oddać swój piękny obraz Adonisa i Wenery), przychodzi, odwiedza go i kuruje. Mamonicz poczciwy nie odstępuje od łoża. W nocy modeluje makietki, pracuje za dwóch, bo Jan pozostał bez grosza i sposobu odzyskania zdrowia, nie mając za co się leczyć; gdyby nie Tytus, musianoby go odwieźć do szpitala. Ale Mamonicz rozumie obowiązki przyjaciela, posprzedawał wszystko co miał mieszkanie porzucił, przeniósł się do Jana, i ocalając jego obrazy, pracą go własną żywił i nią opłacał doktora.

Nazajutrz przyszły zaraz pieniądze od kasztelana za portret, w rulon zawinięte; wyjeżdżał bowiem do Warszawy, zostawiając żonę w Wilnie. Ale nie wiedząc, czy Jan użyć ich zechce, czy odesłać nazad, nie mo-

gąc się go o to zapytać, Mamonicz tknąć ich nie śmiał. Jan ciągle leżał w gorączce. Doktor Fesz kiwał głową i przepowiadał długą słabość. Chwilami okropny szał i gwałtowne miotanie się na wszystkich opanowywały chorego; chciał bić, dusić, męczyć, zarzynać i mścić się. Mamonicz porwanym z nienacka nożem o mało bardzo niebezpiecznie skaleczony nie został.

Po takich szałach i przystępach obłąkania, rozpływał się chory we łzach, gadał z matką, uniewinniał się przed Rosą, modlił za duszę Artura, pieścił z gołębiem i śpiewał piosnkę dziecinną. Z piosnki dziecinnéj kończył na *de profundis*.

Słabość przybierała tak dziwne cechy, a tak była uparta, że Tytus począł się lękać obłąkania na zawsze. Wszakże dzień i noc od łoża nie odstępując, sprowadzając najlepszych lekarzy, wysechłszy i wybladłszy od tych strapień, współczucia, bezsenności, pracy, powitał jednego ranka świtającą przytomność! Co to była za radość!

Jan budził się po długim śnie i wyrzekł najprzód:

— Zabiłem ją?

— Ty, kogo?

— Ją!

— Nie.

— Cóż się stało?

— Nic się nie stało; leżysz i chorujesz, a ja cię pilnuję, masz się lepiéj!

— A ona?

— Kto taki?

— Elwira?

— Nie wiem prawdziwie! zapewne musi próbować oczu na kim innym.

Zawstydzony Jan umikł.

Tytus miał jeszcze dość siły, żeby go rozweselać; a gdy widział znaczne polepszenie, przyniósł mu pieniądze kasztelana i list jego.

— Nietknięte? spytał Jan; ale ja tak długo chorowałem! nie było pieniędzy!

Tytus nic nie odpowiedział.

— Przeczytaj mi ten list.

Kasztelan w kilku grzecznych słowach żegnał zimno Jana, przepraszał go za długi czas stracony, i oznajmował mu o wyjeździe swym do Warszawy na sejm. Sto dukatów było w papierze.

— Myślałem—rzekł Tytus—że przez dziwactwo zechcesz je odesłać nazad; dla tego nie śmiałem ich ruszać, wolałem sam się wyprzedać.

Uściskali się w milczeniu.

— Prawda, rzekł Jan: odesłać muszę; napisz słów kilka i zwróć te pieniądze. Napisz, że przyjąć ich nie mogę; adresuj do kasztelana. Takie męki, jakie wycierpiałem, nie płacą się złotem! rzekł z westchnieniem upadając na łóżko.

— Ale powinny być całego życia nauką, dodał Mamonicz. Jesteś przytomny, możemy mówić otwarcie. Teraz ja potrzebuję gwałtownie spoczynku, czuję się trochę znużony, nie mam grosza, potrzeba coś sprzedać. Mnie już nic nie zostało, koléj na ciebie. Żarski chce kupić jeden obraz; bierz co daje, bośmy gwałtownie potrzebni, mamy długi, wczoraj sprzedałem ostatni płaszcz i zegarek.

— Sprzedaj co chcesz, ja do niczego nie przywiązuję wartości, a pieniądze odeszléj.

Tytus poszedł sam, i w ręce marszałka dworu złożył list z pieniędzmi, prosząc o rewers, który mu dano.

Jedna przyjaźń ubogiego może tyle wycierpieć, tyle

ofiar zrobić, i tak się niemi nie wynosić, jak milczący uczynił Tytus dla Jana.

Przychodzącego do zdrowia pocieszał, rozweselał, starał się zwrócić znowu ku sztuce, roił wędrówki artystyczne do Włoch, na brzegi Renu, obiecywał towarzyszyć, a unikał wspomnienia kobiety, która tak srodze zraniła serce łatwowiernego Jana.

(*Dokończenie w tomie jedynastym*).

